



kat. komp.

26107

Mag. St. Dr.

P

Feats n^o 608.



26107

Sam Wang

25 5947

TEATR
DLA
SPOŁECZNOŚCI
CZYLI
KOMEDYE
PANI GENLIS
TŁUMACZONE

przez X. Ładońskiego S. P.

TOM I.



W WARSZAWIE

w Drukarni P. Dufour, Konf. Nadw. J. K. Mei,
i Dyrek. Druk. Korpusu Kadetów.

M. DCCXCIII.



OSOBY.

CELANIA.

ANIELA, *Corka Celanii.*

MELITA, *Kuzyna Celanii.*

EMILIA, *Przyjaciółka Celanii.*

VALCOURT, *Amant Anieli.*

MARGRAF d'HERCY, *Amant Celanii.*

HENRYETKA, *Pokoiowa.*

LOKAY.

26104. I

Scena na Sali w Pałacu Celanii.





M A T K A
WSPOŁ. ZAŁOŹNICA.
KOMEDIA
W PIĄCIU AKTACH.

AKT I.

SCENA 1.

Teatr wystawia Salon, w głębi którego są drzwi szklane na trawnik obrocone.

VALCOURT, EMILIA.

(Wychodzą oboje z Trawniku, Emilia w stroju podróżnym a Valcourt jeszcze nieubrany.)

VALCOURT.

CZY dopiero W. Panna przyjechała?

A 2

MATKA

EMILIA.

Tak jest moy Braciszku, a że dopiero siódma godzina, chciałam się trochę przespać, nim wstanie Celania, lecz ponieważ ciebie tu znajduję....

VALCOURT.

Zwłaszcza że nie długo będziesz czekała, gdyż Celania wstaie zawsze o ósmey godzinie.

EMILIA.

A kiedy tak moy Braciszku, pożytkujemy z czasu, w którym jesteśmy sami, i pogadamy do woli. Po szczęście-miesięczney niebytności, o wiele bardzo rzeczy można się zapytać, zwłaszcza że z twych listów nie łatwo można czego nauczyć się. Od niejakiego czasu zacząłeś używać stylu tak ciemnego, tak zawilego....

VALCOURT.

A W.Panna jesteś tak ciekawa....

EMILIA.

Tak jest, prawda, osobliwie w tym co się tyczy ciebie; ale tę wadę masz przypisać mojemu przywiązaniu ku sobie.

VALCOURT.

Alboż W. Panna nie wierzysz co iey mówię?

EMILIA.

Nie mamże przyczyny bydz nie-wierną? Widziałam cię przez lat pięć zakochanego w Celanii, chociaż pewnie żadney nie miałeś nadziei; a teraz powiadasz, że od pułtora roku przyiaźń zastąpiła mieysce namiętności; ztym wszytłkim dni twoie przepędzasz u Celanii, wszelka inna kompania iest dla ciebie nowa i nie-przyjemna. Będąc młodym, przyjemnym, zabawnym, uchyliłeś się od świata, który cię żałuje, i o którym zapominasz. Niemasz dla ciebie ani festynow, ani uciech świetnych, które twoiemu przyśtoią wiekowi, nic ciebie ztąd oderwać nie potrafi. Zawsze iesteś smutny, zasępiony, zamysłony . . . nawet ta sama rozmowa zdaie ci się bydz nudną, i uprzykrzoną.

VALCOURT.

Kto! ja, moja Siostro!... Prawdziwie nie. Jestem tylko zmartwiony, że

mi niechcesz dać wiary. Nic prawdziwszego nad to, żem do Celanii powziął serce nayżywsze i uprzejme. Po czteroletnich utrudzeniach pracy i stałości, nakoniec puściłem się na iedno. Zatopiona iedynie w Corce swoiey, o edukacyi oney, i iey postanowieniu tylko myśli: te święte obowiązki zajmują iey duszę, i niszczą wszelką w niey czułość. Sama mi o tym tyle razy powtarzała, i swoiemi poślępkami tak przekonała, że bynajmniej wątpić nie mogę, i byłbym nierozsądnym, gdyby. . .

EMILIA.

Ach! dla Boga! nic prawdziwszego; ale miłość czyliż rozumie? Ona ci nakazała milczenie, ona zapewne wymogła na tobie ofiarę z tak szkodliwej namiętności; należało ją przynajmniej ukryć, albo przestać oglądania celu oney; pod tym warunkiem przyiaźń Celanii była ci przyrzeczona, a ty zamiast zachowania tego dobra, które ci ofiarowała, zacząłeś od skrytości, a podobno i w ten moment sam siebie uwodzisz; otoż jest, czego ja się lękam.

VALCOURT.

I coż z tego? Ja W. Pannie poprzysięgam, że się mylisz. Serce moje jest bardzo odmienne. ... Ach! Siostrzyczko, nic nad to pewnieyszego.

EMILIA.

Ten tkliwy ton, bynajmniej nie przekonywa. Jeżeli takim sposobem zapewniasz ją o twojej obojętności, przestrzegam, że nie uwierzy, i ja sama tego na sobie nie przewiodę, aby można tak łatwo od niej oderwać się, poznawszy wdzięki umysłu i charakteru onej, tę jednostrayność tak dokładną, tę dobroć, tę otwartość nadewszystko, która ją odznacza, i wywyższa nad wszystkie inne kobiety. Nie mówię ja nic o regularności i wdziękach iey urody, która się obeydzie bez piękności, ale ta dusza tak czyta, tak wspaniała, tak czuła, ta Matka tak kochająca i przywiązana, która od lat dzieściu zostawszy wdową unika od świata, aby się zupełnie poświęciła wychowaniu Córki iedyney i ukochaney. ... Ach! iakże nie czcić, tylu cnot i tak rzadkich?

VALCOURT.

Z radością serce moje przyjmuje te wszystkie pochwały, które ciey przyjaźń twoja oddaje; Sentyment który mam ku ciey, jest może daleko słodszy nad miłość, która mnie obłąkała, i pewnie oney godniejszy. Gotow jestem poświęcić dla ciey moje szczęście i życie, a pewny będąc powrotu, którego pragnę, mam ukontentowanie z widzenia, i słuchania oney, bez pomieszania gwałtownego, które przedtym truło moją słodycz.

EMILIA.

Ach! moy Braciszku, masz lat dwadzieścia siedm, a wpatruiesz się w nią bez pomieszania! . . . Należało ci unikać widzenia, a byłoby roztropniey chronić się niebezpieczeństwa..

VALCOURT.

Ale proszę cię moja Siostrzyczko..

EMILIA.

No, to już nic nie mówmy, bo się nigdy z sobą nie zgodzimy. Dla odmiany dyskursu, powiedz mi proszę co nowego o Anieli, czy zawsze jest luba?

VALCOURT.

Tak nieinaczey, godna iest fwey Matki, posiada wŝyŝkie iey wdzięki, i cnoty oney rokuie.

EMILIA.

A Celania czy zawsze nie żyie tylko dla niey?

VALCOURT.

Jak iedna, tak druga wystawuia portret bardzo czuły, kochają się niewypowiedzianie, i powiadam WPannie, że trudno iest wyrazić, która z nich ma sentyment żywŝy i przychylniejszy.

EMILIA...

Więc Celania iest bardzo ŝczęśliwa?

VALCOURT.

I w rzeczy ŝamey bydź powinna, iednakże od nieiakiiego czasu zdrowie iey pŝuć się zaczęło; czego przypisac nie mogę tylko pomieszaniu, które poŝrzegam w iey humorze i charakterze.

EMILIA.

Prawda iest, że często, zwłaŝcza od trzech mieŝcy upatruję wliŝtach

iey iakiś smutek, który mnie zadziwił; ale iak powiadasz, to zapewne iej zdrowie popsute iest przyczyną...

VALCOURT.

Wiele ona straciła z tey jednostrajności humoru, którąś w niey dopiero wychwalała; czasem bywa roztargniona i zamyślająca się, nie iest tak wesoła, acz miłsza, że wymówić nie podobna, ma w sobie niewiem coś uymuiącego i miłego, słowem, iest bardzo luba, przyjemna, i interessująca.

EMILIA.

A przecie wpatruiesz się w nią bez pomieszania? To pewnie cię interessuje w skrytości. . . . Przynajmniej mnie się tak zdaie.

VALCOURT.

Czy znowu W. Panna zaczynasz? . .

EMILIA.

Wybacz Braciszku, bo niechcący uczyniłam tę uwagę. Chcąc zakończyć moje pytania, które tu są Osoby, co składają kompanię?

VALCOURT.

Margraf Hercy.

EMILIA.

Bardzo kontenta, gdyż jest twoim przyjacielem, i wart tego, bo równie jest uczciwy iako i grzeczny. Potym ? . . .

VALCOURT.

Kuzyna Celanii Melita.

EMILIA.

O co tey, to nie lubię.

VALCOURT.

A to dlaczego ?

EMILIA.

Ja niewiem, ale zdaie mi się, że jest fałszywa, i zazdrośna. A do tego nie kontenta, że jest wdową Poborcy, mając Siostrę cioteczną wyśokiey dostojności. . . .

VALCOURT.

Bardzo się W. Panna mylisz, upewniam że ona jest bardzo dobra kobieta, kocha mocno Celanią, a nade wszystko Anielą.

EMILIA.

Oy tak, mnie się zdaie, że ona więcej kocha swoją Siostrzenicę niż Kuzynę. Nie może ona zazdrościć urodzie Panienki w lat siedmnaście, ale

będąc w równym wieku z Celanią smutnie pogląda na iey wdzięki, nade wszystko na iey kształtność i talią subtelną, która ią w oczach czyni młodą.

VALCOURT.

Co za imaginacya! Melita nigdy nie była piękną, i nie ma się za urodziwą.

EMILIA.

Och! dla Boga, iakto? ona nie jest w pretenfyi? Bardzo mi śmieszno. Alboż potrzeba bydź piękną, chcąc się mieć za urodziwą? Lubo w tym przypadku nie byłoby nic dziwnego.

VALCOURT.

Ale ia wcale przeczę temu, aby tak było.

EMILIA.

Tak jest, bo umie się sztucznie ukryć z tym co myśli.

VALCOURT.

Jakżeś to W.Panna przeniknęła?

EMILIA.

Męszczyni tego nie znają, ale co my, dociekamy z naydrobnieyszych rzeczy, ktorych wy nie postrzegacie.

VALCOURT.

Sądzicie letko, a zatym bardzo źle.

EMILIA.

Słuchay moy Braciszku, prawda że masz wiele rozumu i przymiotów, jesteś uczciwym i czułym, ale nadto młodym. Zatopiony od lat sześciu w namiętności, która cię zajmuje, wszelkie twoje uwagi i myśli do jednego iedynie zmierzają celu. Dote go, nic nie wiesz, nie masz żadnego doświadczenia, nie znasz ieszcze ludzi, tyśiączne ich wybiegi nie są ci wiadome, naostatek jesteś latwowiernym, boś nigdy nie żył na wielkim świecie.

VALCOURT.

I na coż mi się przyda znać świat, od ktorego uciekać na zawsze umyśliłem?

EMILIA.

Ta znajomość jest zawsze użyteczna. Wierzay mi moy Braciszku, że serce naycnotliwsze potrzebuje oświecenia.

HENRYETKA *nadchodząc do EMILII.*
Jeymość Dobrodzieyka wstała i
przyśyla mnie. . . .

EMILIA.

Idę zaraz Henryetko. *(do Valcoura)*
Bądź zdrow Braciszku, innym cza-
sem wrociemy się do naszej rozmo-
wy. . . . *(wychodzi)*

SCENA II.

VALCOURT *sam.*

ONA rozumie, że mnie przeniknę-
ła. Ach! iak źle czyta w sercu moim!
Już po kilka razy ledwie się nie
wydał. . . . Ale że nie ma nic ukry-
tego dla Celanii, to mnie iedno
wstrzymało. Trzeba będzie iednak
kiedy otworzyć iey nowe czucia ser-
ca moiego. Ta myśl miesza mnie i
czyni niespokojnym, sam nie wiem
dlaczego. O! Celanio, coż mi od-
powiesz, gdy cię obiorę za pośrze-

dniczkę ufzcześnieńia moiego? Czyliż zawsze będzie los moy w rękach twoich? Jakże ci będę mógł powiedzieć, iż nie ty ieśleś którą kocham? Nicieety. Nie mowiłem z nią nigdy o moiej miłości tylko ze drzeniem, a teraz lękam się iej powiedzieć o odmianie, ktorey fama żądała. . . . Co za głupstwo! ktoś idzie. . . . Melita podobno, ona ie-dna potrafiła odkryć skrytości serca mego, i ktorey rady nigdy mi nie mogiły być potrzebniejszye, iak w ten moment.

SCENA III.

MELITA, VALCOURT.

MELITA.

EMilia przyiechała; miałeś z nią sły-szę długą rozmowę, czy tylko cię nie zdradziła?

VALCOURT.

Nie M. Pani, ale się przyznam, że ta skrytość ieś dla mnie nieznośna.

MELITA.

Powiedziałam ci już nie śto razy, że szczęście twoje zależy od postępowania twego i skrytości.

VALCOURT.

To szczęście mnieyby mnie kosztowało niż kogo innego, ukrywać w głębi serca sentyment, który go zajmuje. Przepędziłem moje życie w tey przykrey i smutney gwałtowności. Milczeć przymuszony przez cel pierwszego wyboru, pięć lat upłynęło na nieustannym iey oglądaniu i moim milczeniu, które mi sama nakazała; nie mogłem iey wspomnieć bez narażenia się, a mogęż teraz mówić bez rozgniewania!

MELITA.

Ja ci powtarzam; wprzód nim się oświadczysz, staray się zapewnić o sercu iey corki, powiedz: kocham, i jestem kochany, a umkniesz wszelki pozor odmowienia. Ktoż wie, jeżeli już nie ma innego widoku iey postanowienia? A do tego kochając tak mocno Celanią, to iedno w iey oczach może być wymówką twoiey odmia-

odmiany, gdy ją przekonasz iż jesteś kochany. Ten zysk tobie zaręczy wszystkie inne, on mówię upoważni twoją niestałość i miłość ku Anieli. Celania może sobie mówić: gdybym była czułą iak moja córka, byłabym jeszcze kochaną. Bądź pewny, że próżność iey będzie zaspokoiona, a kochając córkę, szacując ciebie, sprzyiając obojgu zezwoli z radością na wspólne wasze uszczęśliwienie.

VALCOURT.

Ach moja Pani! nie lękam się ja bynajmniej próżności Celanii, żadna nigdy z kobiet nie jest więcej daleka od umizgow. Ale co inne twoie przyczyny mocno mnie przekonywają, bo w rzeczy samej nie byłbym daleki od winy, żem się odmienił, gdybym sobie nie podchlebiał, że jestem wzajemnie kochany. Wiesz o tym W. Pani, gdyś na mnie wymogła sekret, przyznałem się przed nią.

MELITA.

Tak jest, powiedziałeś mi, że przychylność którą powzięłaś ku mojej Siostrzenicy była dla ciebie pierwszą

Teatr.

B

ponętą skłaniającą się ku niej, ale jednak usta iey nie potwierdziły twej nadziei, i może sam siebie zwodzisz.

VALCOURT.

Ach! serce iey otwarte łatwo może być poznane. Powinienemże wyciągać od niej przyrzeczenia, którego dać nie może bez Matki, a jeszcze iakiej Matki!

MELITA.

Ale czy możesz bez wyraźney woli tej, którą kochasz, używać powagi Matki, dla otrzymania oney? Jestże to wspaniale i delikatnie? nakoniec coż jest coby mnie miało pociągać do tego? upewniam że nie mam w tym innego celu, nad uszczęśliwienie moiej Siostrzenicy i jeżeli nie przyjmiesz moiej rady, przestańmy mówić, szukay sobie innych sposobów, i pozwól niech się w to więcej nie mieszam. . . .

VALCOURT.

Ach Pani! moja ufność cała w tobie. Wybacz moiemu wahaniu, które jest nieodstępne od wzruszenia, którym jestem skolatany, rządz mną iak

chcesz, spuszczaam się na ciebie zupełnie.

MELITA.

Powinieneś wierzyć mojemu doświadczeniu, a nadewszystko moiej szczerrey przyiaźni. Rozeydźmy się; trzeba nam się wystrzegać, aby nas kto niezszedł, niechciałabym bowiem, aby się domysłano, że jesteśmy iedney myśli z sobą.

VALCOURT.

Bądź zdrowa Pani! pamiętay, że w twoich ręku złożył los życia mego.

SCENA IV.

MELITA *sama.*

I iakże! zawfze będę przymuszona słuchać pochwał Celanii, co ona ma za sposob wiązania ku sobie ferc wszystkich? . . . O! iakże iey nie-nawidzę. . . . Już co to, nic pewnieyszego, że Margraf Hercy ją adoruie...

Niewdzięcznik! Ale czy skryte uczucia moje są mu wiadome? ... Uczucia, które rozum upoważnia, ambicya wzmacnia, i których mi potłumić ani ukryć nie podobna. Naostatek jeżeli Margraf może nasycić moją próżność swemi ozdobami i dostojenstwem, tedy mój majątek znaczny który posiadam, może nas uczynić sobie równymi. Tak jest, gdyby nie miłość, którą ma ku Celanii, zamyśliły moje przyszłyby do skutku. ... Lecz albo że ja się mylę, albo że serce mey Współ - zalotnicy jest w nadzwyczajnym poruszeniu; czego gdybym dociekła, zapewne Margraf poszedłby na moją stronę. ... Cała rzecz zależy na tym, aby odkryć Celanią. Dotąd wszystko idzie podług chęci moich. Niepotrzeba więcej.... ktoś idzie, trzeba milczeć.



S C E N A V.

MELITA, CELANIA, ANIELA,
EMILIA, HENRYETKA, MARGRAF,
VALCOURT. *Wszyscy w ubiorze rannym.*

CELANIA, *potrzeższy Melitę.*

ACH! widzę ją. Ponieważ tedy
wszyscyśmy się zeszli, zrobmy tu
śniadanie. Henryetko każ przynieść
herbatę.

MELITA, *ściskając Celanię.*

Jak się W. Pani Dobr. miewasz?
Znajduję cię mizerną.

CELANIA.

Już to od nieiakiego czasu bardzom
się zmieniła! . . . (*Spuszcza oczy i
zdaje się być zamyśloną. Przez nieiaki
czas wszyscy Aktorowie milczą i na nią
patrzą.*)

MELITA, *pocichu do Margrafa.*

Nie rozumiem, aby śniadanie było
wesołe.

MARGRAF. *potichu.*

Uważay W. Pani, iak ona iest pię-
kna! powabna!

MELITA. *potichu.*

Straciła cere, i iest prawie nie do
poznania.

EMILIA. *do Anieli połgłosem.*

Ona mię czyni niespokojną. . . .

ANIELA, biorąc za rękę Celanią i całując.

Mania!

CELANIA.

*Wzdycha, oczy podnosi, przytula corkę, po-
gląda na Valkurę, i westchnąwszy ciężko
mowi.*

A herbata? (na stronie) Już więcej
nie mogę się wstrzymać: (Przynoszą
stolik z herbatą Celania siada między Cor-
ką i Emilią, Valkur z drugiej strony bli-
sko Anieli a Margraf między Emilią i
Melitą Dwóch lub trzech Kamedynerów
stoja przy dzieciach dla usługi.

CELANIA, nim posiadali mowi.

Moja corko, usiądź tam, a ty moja
przyjaciółko tu. (do Emilii.) Tym-
czasem Aniela nalewa i rozdaie herbatę,
wszyscy iedzą &c.

MELITA, *do Emilii.*

A W. Pani iechała na Paryż, coż tam słychać nowego?

EMILIA.

Rozumiem iż W. Państwu wiadomo, że Hortensya powtórzyła swoje śluby.

MELITA.

Nie, bynajmniey wcaleśmy o tym niewiedzieli. Jakto! ta kobieta która się okazywała, tak kochać swoje dzieci, która się nie zdawała żyć tylko dla nich. . . .

CELANIA.

Jeżeli to zamęcie nie szkodzi ich majątkowi, zaco W. Pani iey przyganiaasz?

MELITA.

Maiąc dzieci, ia tego poiać nie mogę. . . .

CELANIA, *z marszem.*

Bardzo W. Pani prędko potępiaasz.

MARGRAF.

Alboż dzieci mogą wyciągać po matce ofiary z iey użczęśliwienia?

ANIELA.

Owsem przeciwnie to jest rzeczą naturalną i przyzwoitą!

EMILIA.

A do tego Hortensya nie poszła za swoją skłonnością aż przy końcu szóstego roku, . . .

MELITA.

Otoż to jest właśnie, co ją czyni w oczach moich tym winniejszą. Iakże! przez sześć lat oszukiwała swoje dzieci, swego Amanta, i świat cały; frożyła się przeciw miłości, poczytywała ją za słabość, a w skrytości nią się uwodziła; powiadała że nie kocha tylko dzieci, że nie żyje tylko dla nich; odbierała w tym rozumieniu pochwały i podziwienie od wszystkich ją otaczających, a nie była ich winna, tylko swej fałszywości i długiemu ukrywaniu?

CELANIA.

Ale M. Pani, może ona szczerze opierała się, może spodziewała się pokonać swoje chuci, może sama siebie uwodziła.

MELITA.

Dziwuję się W. Pani, iak możesz wymawiać taką słabość, W. Pani mówię, która jesteś przykładem i wzo-

rem, Matek, W. Pani, któraś nam tak dowiodła. . . .

CELANIA.

Proszę nic nie mówić o mnie; ja wcale niezastługuję na te pochwały, i choćbym ich była warta, nie dałabym się onym uwieść. Prożność nigdy nie kierowała moimi postępками, ani zakładam wziętości i sławy, tylko na mniemaniu tego, co kocham.

ANIELA, *uśmiechając się.*

Tak Mama, możesz iść jeszcze poyść za męża, nie będę sądziła, abyś mnie miała mniej kochać, ani ja nie zmniejszę mojego affektu ku tobie.

EMILIA, *do Celanii.*

To dobrze, o toż teraz możesz uczynić, co ci się podoba.

CELANIA, *do Valkura z pomieszczeniem.*

A W. Pan nic nie powiedziałeś na zamęcie Hortensyi! Chciey nam także dać swoje zdanie.

VALCOURT.

Za zdaniem W. Pani Dobr. poszłoby i moje, a nawet potrafiłoby go odmienić, gdyby było przeciwne. Ale

w tym razie niepotrzebuiesz żadney nademną mocy na przekonanie moje. (*Wskazując na Melitę*) I ja nie pomyślę, aby Jeymość Dobr. mogła szczerze utrzymywać. . . .

EMILIA, *śmieiąc się.*

Czy prawdziwie mój Braciszku nie odrzuciłbyś wdowy, ktoraby uczyniła głupstwo poyść powtornie za mał? Czy szczerze to mówisz?

VALCOURT.

Nic ja nie mówię o rzeczy tak naturalney i sprawiedliwey, ale u mnie nie masz takiey przeciwności ani obłąkania, ktoregoby miłość prawdziwa nie mogła usprawiedliwić.

CELANIA, *uśmiechając się.*

Ten moral nie zewszystkim iest czysty.

MARGRAF.

Jeżeli mu rozum naganania, to ferce na wzgardę onego pochwała.

MELITA, *na stronie.*

Wcale się nie rozumieią.

EMILIA.

Druga nowina że Klaryssa wyszła na świat, tak piękna tak świetna iak nigdy.

VALCOURT.

Jako! już się przestała śmucić?

EMILIA.

Opłakiwała przez lat dwa na ustroniu śmierć swego kochanka, ale z czasem łzy iey oschły.

MELITA.

Ja zawszem o tym wątpiła; stałość jest czystą chimerą.

CELANIA, z żwawością

Ach! dla Boga, M. Pani, a to dla czego?

MELITA

Bo mi wszystko dowodzi.

EMILIA.

Prawda, że we dwudziestym roku wieku opłakiwać śmierć ustawicznie, jest bardzo rzadka, ale co do żyjących, bardzo wierzę stałości. A ty moy Braciszku? . . .

VALCOURT. *pomieszany.*

Teraz zaczyna się rozmowa o stałości.

CELANIA, *po cichu do Emilii.*

Mieszasz go.

EMILIA, *po cichu do Celanii*

Nie mam nad nim żadney litości, tak jest śmieszny. . . .

VALCOURT, *na stronie.*

Muszę odmienić materyą. (głośno do Celanii) M. Dobrodziko, czy zrobimy Muzykę tego wieczora?

CELANIA.

Zapewne; chciałabym żeby Emilia słyszała moją Anielę. Rozumiem że się zadziwi nad iey pojętnością.

EMILIA.

Na coż odkładać to ukontentowanie? Jeżeli chce śpiewać? . . .

CELANIA, *do Anieli.*

Czy będziesz śpiewała?

ANIELA.

Jaką Mama chcesz piosneczkę?

CELANIA.

Którą naybardziejziej lubisz.

ANIELA.

Jest iedna, którą mi dał J. Pan Valcourt. . . Notę iey bardzo lubię.

MELITA, *na stronie.*

A słowa ieszcze bardziejziej.

ANIELA.

Ale nie umiem bardzo dobrze, i mieszać się będę. . .

MELITA, *na stronie.*

I Autor oney toż samo.

CELANIA, *do Emilii.*

Głos ma dość przyjemny, i uważay
jak śpiewanie przydaie iey wdziękow.

ANIELA.

To i sprobuję.

(*śpiewa*)

Kochać a nie mówić śmiale,
Miłości! tenże — los wcale?
Mamże aż do dni skończenia,
Cierpieć frogie udręczenia?

Ty zniewalaśz serca miłe
Słodkim gwałtem w każdą chwilę,
Do mówienia całe życie,
A mnie każesz milczeć skrycie!
Pozwol niech choć nucę ięki.

Kochać a nie mówić śmiale,
Miłości! tenże — los wcale?
Mamże aż do dni skończenia,
Cierpieć frogie udręczenia?

EMILIA.

A to bardzo ładnie. Ona ma uło-
żenie szczere i bardzo miłe, ktore

iey dodaie wdziękow i wyrażenia, ktorego w nikim procz niey nie znayduię. Nuta iest dziwnie piękna; a słowa czy są twoie moy Braciszku?

VALCOURT

Smieszna rzecz, ia nigdy wierşzy nie piſałem.

CELANIA.

No! iuż dzieſiata godzina, czy chcecie W. Państwo wyjść na ſpacyer?

EMILIA.

A czy tam znajdziemy cień wygodny, bo teraz pali ſłońce. . . .

CELANIA.

Tak iest, tak, poydźcie, zaprowadzę was do moich Rzemieſlnikow.

EMILIA

Bardzo dobrze. *(wszyscy wychodzą. Aniela zoſtaie troche w tyle z Valkurem i mowi do niego. Bardzom złe ſpiewała . . . gdyż całam ſię trzęſta. . . .*

VALCOURT

A to czemu? Alboż nie ieſteś pewna, że zawſze ſpiewaſz wdzięcznie?

ANIELA.

Ach! pewna. . . . Nie.

VALCOURT.

W. Panna z natury jesteś szczerą.

ANIELA.

W. Pan widzę, chcesz mi wyrzucać.

VALCOURT.

Mam po sobie prawo, i W. Panna
wiesz dobrze.

ANIELA.

Muszę pójść za moją Matką.

VALCOURT.

Jeszcze słowko.

ANIELA.

Nic, ja nie chcę odpowiadać.

VALCOURT.

Przynajmniej posłuchaj mnie. . .

(wychodzą)

Koniec pierwszego Aktu.

 A K T II.

S C E N A I.

H E N R Y E T K A, M A R G R A F.

Henryetka ukazuje się, za którą idzie Lokay niosący paczkę, Margraf wchodzi i zatrzymuje ją.

H E N R Y E T K A. M A R G R A F.
 Henryetko, gdzie idziesz?

H E N R Y E T K A, uśmiechając się
 Jest w tym sekret; mogę go jednak
 W. Panu powierzyć. (do Lokaya)
 Kwiatkowi, otworz tę paczkę.
 (Lokay odstawia suknię kwiatkami ozdobioną.)

M A R G R A F.
 Ach! iak ładna.

H E N R Y E T K A.
 Jest to grzeczność Jmci Dobrodzi-
 ki, czy zgadniesz W. Pan dla kogo?

M A R G R A F.

MARGRAF.

Dla Anieli zapewne.

HENRYETKA.

Tak jest ; będzie temu pięć lub sześć dni iak Panna Aniela trafunkiem pochwaliła Polonezę. Zaraz kuryer pobiegł do Paryża i przywiozł tę suknię. Jak powroci Panna ze spaceru, znajdzie ją w swoim pokoju rozwieszoną.

MARGRAF.

Co za staranie, co za usilność w naydrobniejszych rzeczach !

HENRYETKA.

O ! Mospanie, ieszcze to nic, gdybyś W. Pan wiedział o wszystkich fczegulnościach w tym rodzaju, na ktore ja patrzę, a nikt o nich nie wie.

MARGRAF.

Moja kochana Henryetko, twoja Pani jest nieporównana.

HENRYETKA.

Nieporównana ! to prawda, a przytym rozum. . . . Słowem cokolwiek Panna umie, wszystko iey winna.

Teatr.

C

M A R G R A F.

Czy nie miała żadnych innych Nauczycielow procz Matki?

H E N R Y E T K A.

Jeymość, iak ja W. Pan znasz, piękna i kochana, opuściwszy wszystko, całe życie zatrudnia się nauką, będąc zawsze zamknięta z Nauczycielami, a to iedynie tym końcem, aby mogła sama corce dawać lekcyę.

M A R G R A F.

Czy tak iest w rzeczy samey?

H E N R Y E T K A.

Tak. Mości Dobrodzieiu, a to iuż od lat dwunastu, nie uchybiając i iedney minuty. Ale Jeymość nie lubi się chwalić, nawetby mnie połaiała, gdyby wiedziała, że ja o tym gadam, iednakowoż to iest nad siły moje, abym mogła milczeć.

M A R G R A F.

Potrzebaż aby tylko do iednego celu serce tak czule przywiązywała!

H E N R Y E T K A.

Och! ona iest bardzo dobrą przyiaciołką, bardzo czułą; a zaś w u-

czynności i dobroczynności.... nikt
iej nie wyrowna.... Ale względem
tego, co się nazywa kochać... w tym
zupełnie.... Sama tylko Panna...
ieść dla niej niby namiętnością; sło-
wem Mości Dobrodzieiu, wyśław sobie
że ieść współ-zalotnicą.

MARGRAF.

Jakto?

HENRYETKA.

Tak, gdyby ona wiedziała, że Pan-
na ma więcej przyjaźni dla kogo,
iak dla niej, rozumiem żeby umar-
ła... a nadewszystko zaufania. Ach
co w tey mierze, gdyby Panna uchy-
biła, od rozumuby odeszła.

MARGRAF.

Byłaby Aniela bardzo niewdzięczna,
to niepodobna....

HENRYETKA.

Och! co to nigdy nie będzie, ona
ieść z natury dobra. Ale ia zagada-
wszy się, zapomniałam o wszystkim.
Właśnie o tey godzinie miałą powra-
cać ze spaceru, a ia nie mam czasu.

MARGRAF.

Bardzo ci dziękuję moja kochana Henryetko za tę rozmowę; znalazłem ją wielce interesującą.

HENRYETKA.

O i ja także Mości Dobrodzieiu, bardzom kontenta, kiedy mówię o mojej Pani. Zdać mi się, że kogoś słyszę, muszę uciekać. (*wychodzi*)

S C E N A . II.

MARGRAF *sam.*

Z iaką otwartością ta dziewczyna wyraża swoje podziwienie! Jakaś to wdzięczność! Jak ieść podchlebna i rzadka! z iaką chciwością słucham tych pochwał prostych i szczerych!.. Lecz nic prawdziwszego, że ona nikogo więcej kochać nie może, tylko Anielę, a ja przecie czynię sobie iakieś nadzieie!... O Celanio! iak cię można widzieć, iak znać bez u-

wielbienia? Będę z nią mówił, z jakim bądź skutkiem, przecież ten moment będzie słodkim dla mnie! ktoś idzie. O nieba! to Melita; iakże ona mi ieść natrętną od momentu, gdym w niej poznał zazdrość i iej czucia skryte! Zbliża się, muszę się ułożyć, tylko byłem potrafił.

SCENA III.

MELITA, MARGRAF.

MELITA.

ACH Margraf! iakżem kontenta, żem cię tu zastała. Czy nie poszedłeś na spacer? Przyznay sam, że zaczynasz z sobą nudzić.

MARGRAF.

Ja M. Pani, a to zaco?

MELITA.

W rzeczy samey, ia się temu nie dziwiuję, rozmowa nasza nie była

bardzo przyjemna. To przywiązanie Celanii i zatopienie się w corce swoiey, . . .

MARGRAF.

Alboż taki widok może W. Panią nudzić?

MELITA.

To pewna, że kocham Celanią z całego serca. Patrzą na iey corkę, iak na swoią; ale przyznam się, ta ustawiczna podłość wielce mi się nie podoba; ia w tym znajduję coś wymuszonego. . . .

MARGRAF.

Wymuszonego! ach, Celania iest daleka od wymuszenia, ma ona cnotę naturalną i prosta. Ja rozumiem że u świata ten portret tak czuły dla nas, może bydz nieprzyjemny, i że zazdrość potrafiła go uczynić dziwnym, ale na łonie przyjaciół Celania niczego obawiać się nie powinna.

MELITA.

Ach dla Boga! bardzo mnie W. Pan kontentujesz. Tym lepiey ieżelim źle o niey trzymała. Radabym w osobach, ktore kocham, taką znajdo-

wała doskonałość, aby wady które częstokroć miewaia, nie były przywidziane. Jest to chęć tak żywa....

MARGRAF.

Gdy tak jest, zaspokoy się M. Pani nad podziwieniem szczerym i naturalnym, które w tobie wznieca nieoszacowana twoia kuzyna.

MELITA.

Przyznay jednak Margrafie, że znajdziesz w niej wadę.

MARGRAF.

Wadę, ia?

MELITA.

Tak jest, wadę... iej nieczułość i oddalenie od miłości.

MARGRAF.

Ta wada jest naturalna. Ktożby się sądził bydź iej godnym?

MELITA.

Więc tylko sama próżność zachowała ją od miłości. Ta uwaga nie wiele ją czyni interessowaną. Ale ia niczemu nie wierzę, i mam szczególne myśli w tey mierze.

MARGRAF.

Czy mogę się spytać o nie W. Panią?

MELITA.

Jakie masz prawo do moiego zaufania?

MARGRAF.

Zadnego, wyznaię.

MELITA.

Nie myślisz o nim... Ale mam się W. Pana o iedną rzecz spytać, czy mi odpowiesz?

MARGRAF.

Odpowiem, ieżeli się nie ściaga tylko do mnie.

MELITA.

Wyznay W. Pan sam. ... Czylibyś się nie litował nad kobietą, która będąc wolną, przy znacznym majątku mogącą uszczęśliwić człowieka, ktorego iedynie kocha, gdyby się widziała bydź wzgardzoną od niego dla współ-zalotnicy, dla kobiety, którą skrycie przekłada nad nią?...

MARGRAF.

Nie, M. Pani, bynaimniey nie wierzyłbym temu, Celania iest bez nagany.

MELITA.

Ktoż ci o niey powiada, i coż sobie wnosisz? . . . Ale nakoniec jeszcze ci powiem iedne słowo. Otworz oczy, rozważ dziś rozmaite Sceny, których będziesz świadkiem... potym załtanowisz się i będziesz mógł. . . . Znajdziesz jeszcze serce, które warte było szacunku.

MARGRAF.

Mościa Dobrodziko... moje zadziwienie. . . .

MELITA.

Widzę W. Pana zmieszanie.... Nie wyciągam od niego odpowiedzi w ten moment. Proszę tylko o sekret tego, com mu powiedziała. W. Pan jesteś uczciwy, mogę mu zaufać. Słyszę kogoś, ukrył swoje pomieszanie.

MARGRAF, na stronie.

O nieba! coż ona chciała, abym przez to rozumiał? . . . To zapewne jest w tym jakiś podstęp. . . . Ale na mało iey się to przyda; dziś nawet Celanii wiadoma będzie moja miłość...



S C E N A . IV.

MELITA, MARGRAF, ANIELA.

ANIELA.

A CH! Mościa Dobrodziko, iam iey
szukała.

MELITA.

Jak W. Pana ubrana!

ANIELA.

To moja Matka....

MELITA.

Wiem ia o tym.

MARGRAF.

Ze W. Panna Dobrodzika masz szczę-
ście bydź kochaną sposobem tak deli-
katnym i czułym! Godnaś iest zai-
ste Matki nayczulszey i naykochań-
szey.

ANIELA.

Ach! gdybym mogła przynaymniey
wyrzucić co czuję. ... Nie iestem ni-
gdy kontenta z dowodow moiey
wdzięczności. A ieszcze w ten mo-

ment ją porzucam, i nie mogę podług moiey chęci okazać, iak tylko mierne oświadczenia.

MARGRAF.

Poydę ja do niey, i opowiem twoy żal tak czuły i sprawiedliwy. Mówić przed nią o W. Pannie, iest tym samym iey podobać się. (*poglądając na Melitę.*) i obieram sobie ten śrzodek za nayśłodczy i naypewniejszy.

SCENA V.

MELITA, ANIELA.

MELITA, *na stronie.*

NIEWdzięcznik . . . ha, przynajmniej pomfzczę się. (*głośno.*) Mówiłaś Aniello, że mnie szukasz, a iednak zmieszało cię spotkanie moje... Czy tylko mnie szukasz?

ANIELA.

Ach dla Boga! coż W. Pani Dobro-
dzika sądzisz?

MELITA

Od wczorajszego dnia czytam w
fercu twoim.

ANIELA.

Ach !

MELITA.

Wzdychasz ?

ANIELA.

Ach ! M. Dobrodziko !

MELITA.

Skończ.

ANIELA.

Nie mogę , i nie powinnam.

MELITA.

Jakto ! mogłażbyś odmówić two-
iego dla mnie zaufania ?

ANIELA.

Zaufania ! ... Ach ! winnam go zu-
pełnie moiej Matce , i ieżeli przed
nią milczę

MELITA.

Ale ieżeli ia więcey widzę od niey,
ieżeli cię przenikam i dochodzę , bę-
dzieszże się zapierała ? . . .

ANIELA.

Zamroź oczy ... i nie przymuszaj
mię do zerwania milczenia.

MELITA.

Ja ci chcę usłużyć. Bądź pewna że
moja pomoc nie będzie nadaremna....
Bardzo iej potrzebuiesz.

ANIELA.

Jako! Sądziysz W.Pani, iż moja Ma-
tka może być przeciwna mojemu u-
szczęśliwieniu?

MELITA.

Potrzeba czasu, a może i ukła-
dności.

ANIELA.

Z nią układności, nie byłoby to
podstępem i czarnością?

MELITA.

Młoda jesteś i bez doświadczenia.
Mam moje przyczyny, że ci tak mo-
wię.

ANIELA.

O nieba! przerażaśz mię. Ach!
moja Stryienko, ponieważes mi wy-
darła moy sekret, otwieram ci serce
zupełnie. Prawda, kocham.... ko-
cham iedynie... Powinnam była z tym
zwierzyć się moiej Matce, ale nie
wim co za boiaźń, co za lęklivość
dotąd mnie od tego wstrzymywała.

Nie sto razy gdym z nią rozmawiała, już miałam słowa na języku. Okryta iey łaskami, iey miłością, będąc ie-
szcze młodą, i tak szczęśliwą przy
niey, śmieć czynić wybor, prosić
o przeznaczenie losu dla mnie tak
miłego; i te to tak okrutne uwagi
wciągnęły mnie poniewolnie do obłą-
kania... Nie wątpiłam bynajmniey
o iey dobroci, alem sobie wyrzucała
czułość, którey mi granic nie prze-
pisała. Ztym wszystkim po tylu nie-
pewnościach i ugryzieniu, dziś mia-
łam iey wszystko odkryć.

MELITA.

Ach! nie czyn tego; ona nie po-
zwoli....

ANIELA.

O Boże! czynisz mię tym winnię-
fzą. Odważyłam się uczynić wybor,
który się iey może niepodobać. Ach!
jeżeli tak jest, muszę umrzeć, mu-
szę się odrzec wszystkiego.... Zapo-
mniey o moiey nieroztropności nie-
szczęsney.

MELITA.

Uspokoy się moje dziecię, uspokoy..
Wierz mi, że możesz być pewna

moiego milczczenia i przywiązania ku tobie. Spuść się na mnie, a zaręczam że wszystko życzyć.

ANIELA.

Ale cożby mogło przeszkadzać moiej Matce? ...

MELITA.

Nie mogę ci więcej powiedzieć. Jeszcze raz mówię, spuść się na mnie.

ANIELA.

Poydźmy M. Dobrodziko, wszystko iey odkryjemy. Chciey mnie złożyć u nog iey.

MELITA.

Czy chcesz się zgubić. Alboż nie znasz iey zazdrości? Gdy pozna, że się pierwej dowiedziała niż ona. . . .

ANIELA.

Otoż jest do czegoś mnie przywiódł! Trzebaż ją teraz oszukać, albo rozgniewać . . . ale mnieysza oto . . . wykonam, com zamyśliła . . . Wyczytałaś w sercu moim pomimo mey woli, zdradziłam się niechcący, ale żał moją łanie za wymówkę.

M E L I T A.

Daley M, Panno, brniy aż do końca w swoiey niewdzięczności. Giń sama, i zgub swojego kochanka, pozwalam. Co mnie z tego, nie mam ia w tym żadnego interessu.

A N I E L A.

Niestety! daruy mi, ach! ia nie-
szczęśliwa!

S C E N A VI.

MELITA, ANIELA, VALCOURT.

M E L I T A.

Poydź, poydź Valcourt, pomoż mi...

A N I E L A.

O nieba! M. Dobrodziko, będzie-
że mogła mu powiedzieć?...

M E L I T A.

Troskliwość o twoie szczęście ia u-
nosi. Daruję iey moią słuszną urazę.
Moy przyjacielu zreflektuy ia, może
ci lepiej uwierzy.

V A L C O U R T

VALCOURT.

Ach M. Dobrodziko!

ANIELA.

Nie, M. Panie, nie spodzieway się nigdy.

MELITA.

Na co się przydadzą te wszystkie wybiegi, wszakżeś powiedziała mi, że go kochasz. Godzien jest twego zaufania, przestań się zapierać, zwłaszcza że cię zapewniam, iż twoja Matka zezwoli. Nim zacznę kierować interes, chciałam wprzód poznać wasze serca. Teraz już nic nie potrzebuje; zalecam tylko milczenie, które jest koniecznie w tym razie potrzebne, a za skutek pewnie zaręczam. (*wychodzi.*)

S C E N A VII.

ANIELA, VALCOURT.

VALCOURT.

I jakże M. Dobrodziko. nigdy nie przestaniesz milczeć? Mow, niech wiem, czego się mam spodziewać.

Teatr. *(wchodzi.)* D

ANIELA.

Jestem niewzruszoną. . . . Jakże!
nie dosyć mi było wydrzeć moy se-
kret, ieszcze go śmie W. Panu wyia-
wiać.

VALCOURT.

Możesz się ieszcze przed nią zapie-
rać? ale ia nikomu wierzyć niechcę,
tylko W. Pannie Dobr.

ANIELA.

Niežnośny to jest i daremny wy-
bieg! Zle użyliście oboie moiey pro-
stoty, moiey otwartości. . . . O moja
Matko! tyś więc jest iedna teraz,
ktora nie znasz serca mego. . . . Ta
myśl życie mi odbiera.

VALCOURT.

Rozdzierasz serce moie.

ANIELA.

Zgubiłeś mnie. Wydarłeś mi całe
moie ufzcześnieście, całą moją spo-
koyność. Matka moja nigdy mi nie
odpuści; iak iey teraz powiedzieć?..
Jak się iey oczom pokazać? . . . Jakim
czołem odbierać będę upominki tak
czulego iey przywiązania, iey fza-
cunku, iey zaufania? O iakżem nie-
fzcześnieście!

VALCOURT.

— Ale proszę posłuchaj mnie. Mogłem bez twego wyznania, bez twego nawet rozkazu prosić o ciebie, abym otrzymał?

ANIELA.

Jeżeliś mnie kochał, należało nade wszystko poważać moje obowiązki.

VALCOURT.

Usłuchałem rady Melity, dała mi przyczyny wielce przekonywające.

ANIELA.

A na co iey się było zwierzać? Czemuś nie mówił z moją Matką? Jey szczęśliwość nie iestże równie moją? Mogłeś pomyśleć, że się sprzeciwi moim chuciom?

VALCOURT.

Obawiałem się, abym nie był winien, tylko twemu posłuszeństwu; a dlatego Melita czytała w sercu moim. Nakoniec, kiedy mam ci się przyznać, miałem przeszkodę nieuchronną do zwierzenia się Celanii.

ANIELA.

Mojej Matce?

VALCOURT

Obiawiam teraz moy sekret, którego ci nie lękam się powierzyć. Do tego momentu, poki wiek i rozum nie odkrył w tobie twych wdziękow, ktore mnie ujęły, nigdy infty cel...

ANIELA.

W. Pan?

VALCOURT.

Namiętność nieszczęsna przez lat pięć tręła moje życie.

ANIELA.

I iakże, nie byłeś kochany?

VALCOURT.

Zostawiono mi sentyment mocniejszy nad miłość. Poświęcając się onemu zupełnie, wzgardzono moim usiłowaniem, i wymuszono, abym z niego uczynił ofiarę.

ANIELA.

Serce we mnie biie.... Coż to był za cel? powiedz.

VALCOURT.

Celania. . .

ANIELA.

I W. Pan się odmięniłeś?

VALCOURT.

Przepisano mi prawo.

ANIELA.

Co! bezemnie, bez swoiey Corki, onaby cię miała kochać.... Wszakżem ia była iedynym iey celem.... O' nieba! równie pomnażasz we mnie żal, iako i wdzięczność.

VALCOURT.

Patrzayże w iakim iestem teraz stanie i poznay słabość moią.... Niemożem się dotąd odważyć, abym wyznał moią odmianę, ktorey sam nie poymuję, zwłaszcza nie będąc pewny ieżelim iest kochany. W Oczach osoby szacunku godney iest rzeczą nieznośną zapierać się. Obawiałem się zepsuć w niey mniemania, ktore sobie o mnie czynić mogła. Boiażn, pomieszanie...

ANIELA.

Jakżeś ią źle poznał! Chodziło o moje uszczęśliwienie, to iedno mogło ią załżanować

VALCOURT.

O twoie uszczęśliwienie! ach to słowo stanowi moje szczęście!... Ale nie wiedziałem o twoich sentymentach. . . .

ANIELA.

W iak okropne pograżasz mię pomieszanie!... Czegoż się mam iść?

VALCOURT.

Milczec, ten szrodek iest nayprostszy i naypewniejszy. Melita rozumie, że Celania ma inny widok twoiego postanowienia; będzie z nią o tym mówiła, i spodziewa się od niego odwieść, a po tey rozmowie ia się wytłomaczę. W. Panna będziesz za-
pytana; a w tenczas ośmiel się wyznać, że mnie wybierasz, przez co uszczęśliwisz mnie i zapewnisz los życia mego.

ANIELA.

Jednakże muszę zamilczec o wszystkim co się stało... Potrzeba będzie oszukać moją Matkę... Nie, nie, nigdy tego nie uczynię. Poydę do niej, i wszystko iey odkryję.

VALCOURT.

Ach! skłócisz ją z Melitą ktorey intencye są tak czyste.

ANIELA.

Ja o tym nie wątpię, ale poiać nie mogę iey sposobu postępowania, ona mnie w naywyższym stopniu obraża.

VALCOURT.

Jey postępowania pochodzą z przywiązania ku tobie, nieznaydziesz w nich innego celu. A dotego rozgniewasz na mnie zapewne Celanią.

ANIELA.

Ach to prawda. Ale ci powtarzam, żeś mię wprowadził w stan nayokropniejszy i nayzawikławszy....

VALCOURT

Prawda, ten tylko moment będzie przykry dla twoiego serca, dla twoiej otwartości, bądź pewna, że naymniejsza twoja dolegliwość jest moim podziałem, i wszelkie twoie czucia są moimi.

ANIELA.

I moja Matka tak ci miła będzie, iak mnie?

VALCOURT.

Jak iedna, tak druga jesteście koniecznie potrzebne do uszczęśliwienia mego.

ANIELA.

Ach! iak to zapewnienie czyni mnie szczęśliwą!... Kocham cię tym więcej.

VALCOURT.

Kochasz mię? raczysz mi to przecie mówić bez boiaźni, bez wstřętu! Ach, czy poymuiesz zbytek moiego ukontentowania?

ANIELA.

Niestety! rokosz tak słodka, którą smakuję, zawiesiła na moment wszelkie moje uwagi; ale gdy będę sama z sobą, ileż wyrzutów...

VALCOURT.

Nie myśl tylko o przeznaczeniu, które nas czeka.... Wtym to miejscu, w tey fzcześnieuy osobności, którą miłość i przyiaźń czyni mi tak przyjemną; z tobą iedną upływać będą dni moje, które ci poświęcam na zawsze. Sława iedna oderwać mnie od ciebie może, ale cię zostawię na łonie Matki, na łonie przyiaciołki.

ANIELA.

Co za układ! . . . Jak pięknie umiesz malować sercu memu, co go wzruszyć może! Jak mi iest miło widzieć w tobie tak czułe sentymenta, a nadewszystko to przywiązanie do

mojej Matki! O jak śladko jest dla mnie kochać tego, który ją kocha!

VALCOURT.

Ach! serce moje otwarte jest dla ciebie. Dwa przedmioty napelniają go zupełnie; gdybym stracił jedną lub drugą, nie wiem czyby pozostała wydołała mnie pocieszyć. Ja cię wielbię, ale czczę i Celanią; trzeba było zagoić głęboką w sercu ranę, ona mnie kosztowała tyle łez, ona była od tak dawnego czasu jedynym celem wszystkich moich myśli, że nie mogła być dla mnie pośpolitą przyjaciółką. Mam ku niej sentyment nieodistoczony, który nie jest więcej miłością, ale jednak sto razy mocniejszy i żywszy nad przyjaźń.... Coż ja widzę! W. Panna płaczesz?

ANIELA.

Ach utrzymać się nie mogę... Rozrzewniaasz mię, dziwnym napelniasz ukontentowaniem, każde słowo co wymawiasz, przenika aż do gruntu serca mego, i tym więcej do ciebie przywiązuje. O jak ja cię kocham!.. Tak jest, wszystkie twoje sentymenty

ta są moiemi. . . . Moia Matka i ty, to jest, co mi może być najmilszym ; moje szczęście zawisło od was obojga ; łożyć go będę dla iednego i dla drugiego , a gdyby potrzeba i życie moje. . . . Co za szczęśliwości, co za ukontentowania doznaię powtarzając coś mi dopiero powiedział !

V A L C O U R T.

O Boże ! a ja , iakże ci wyrażę ? ..

A N I E L A.

Słyszę iakiś szeleść , musimy się rozeyść.

V A L C O U R T.

Jakto ! już ?

A N I E L A.

Ach ! proszę uciekay ; pozwol mi niech się uspokoię. . . . ktoś idzie , wychodź.

V A L C O U R T.

Odchodzę. Ale chciey pamiętać żeś mnie uczyniła z ludzi najszczęśliwszym. (wychodzi)



S C E N A VIII.

ANIELA *sama.*

DRzę cała. — Czy tylko nie moja Matka. O Boże! iak ia się lękam iey przytomności. Ach! więcze iestem winna. . . Muszę milczeć, przyobiecалам. . . . I iakże, będę ukrywać przed nią naypierwszy sekret w życiu moim! Co mówię? owżem naywyższey wagi co bydz może. Ona o nim nigdy wiedzieć nie będzie. . . . Ale ia wiem i wyrzucać sobie będę na zawsze. . . . On ia adorował. . . Ale ona kochać nie mogła tylko mnie. . . Zdać mi się, że ia słyszę. . . . Moia Corka, moja Aniela iest dla mnie wszystkim, ia dla niey odstępuję świata, iego uciech, moicy młodości. Dla niey poświęcam moie życie. . . . Otoż to iest, co sama do siebie mawiała. . . . O Boże! . . . A ia. . . . A ia. . . . O iuż co teraz pewnie ktoś idzie. Wszak to iey głos? . . . Tak iest, ona. . . . O moy Boże! . . . słabo mi.

SCENA IX.

ANIELA, CELANIA.

CELANIA.

POYdźże do stołu moja Corko, czekaia na ciebie, ... Ale dla Boga ! iakżeś blada i mizerna ?

ANIELA.

Nic to Mama. ... nie, ... to nic.

CELANIA.

Ale moje dziecię ty drżysz cała ?

ANIELA.

Miałam nakoszt dreszczu. . . Ale już minęło. . . Już mi dobrze.

CELANIA.

Jesteś wielce niespokojna.

ANIELA, biorąc ją za rękę.

Jakżeś ty dobra ! ... Ach Mama !

CELANIA.

Moja Corko ! ... Ty nie wiesz do iakiego stopnia cię kocham.

ANIELA.

Ach Boże ! ia nie wiem ? gdy mi co moment wszystko dowodzi.

CELANIA.

Ty będziesz zawsze celem nayulubieńszym odemnie, czy uwierzysz temu?... Niech będzie iaki chce los życia mego.

ANIELA.

Niestety! gdyś wszystko uczyniła dla mnie, czy możesz wątpić o sercu moim, iakżem się powinna lękać twego mniemania o sentymentach moich!... Ja która niczym niedowiodłam...

CELANIA.

Ach! moje dziecię; alboż nie upatrywałam zawsze w gruncie serca twego szczerulnego dobra, które potrafi nadgrodzić moje starania i przywiązanie? Byłam tylko twoją Matką, a tyś mnie uczyniła i przyiaciołką, posiadam całe twoje zaufanie, a czego mi więcę potrzeba?... Day pokoy, więcę ty czynisz dla moiego uszczęśliwienia, niżeli ja mogę uczynić dla twego.

ANIELA, *na stronie.*

Co za wyraz przenikający!

CELANIA.

Gdybyś wiedziała, jakie jest dla mnie ukontentowanie czytać w sercu twoim, w sercu mówię tak otwartym i tak czułym! . . . Jedney tylko rzeczy niedostanie do uszczęśliwienia mego, muszę ci się przyznać. . . , Ufność między nami nie była i być nie mogła zupełnie wzajemną. Twoja zbytnia młodość była mi na przeszkodzie, ale iak mię to często wiele kosztowało! . . . Jak wiele razy moja przychylność ku tobie, wyrzucała mi tę uprzykrzoną rozsądnosć! . . . Naostatek rozsądek twój uformowany i wydoskonalony zbliża teraz nasze wieki, i wkrótce przyidzie czas, że nie będę miała dla ciebie żadnego sekretu. . . Od owego momentu będę dopiero zupełnie szczęśliwą.

ANIELA, *na stronie.*

Ach nie mogę się więcej utrzymać..
(*pada iey do nog.*) Ach to jest nadto.

CELANIA, *ią podnosząc ścisła.*

Jak mnie ta czułość przenika. . . .
Ach moje dziecię! . . . twarz twoją

zalewasz łzami. . . . Ach iak warta
ieścieś . . .

ANIELA, *z żwawością.*

Słuchay Mama, słuchay mnie pro-
szę.

MARSZAŁEK.

Mościa Dobr. już do stołu.

CELANIA.

Otrzyi łzy moje dziecię, będą ro-
zumieli, żem cię połaiała. . . Poydź. . .
Ach iak mi ieść przykro przerywać
tak słodką rozmowę! (*Sciśka ią.*)

ANIELA, *na stronie.*

Chciałam wszystko odkryć.

CELANIA.

Poydź moja Corko, czekaia na nas.
Poydź, tego wieczora będziemy mo-
wiły z sobą.

ANIELA, *na stronie, wychodząc.*

Nieśtety! iak ciężko wyrazić, com
ia ucierpiała. (*wychodzą.*)

Koniec drugiego Aktu.



A K T III.

S C E N A I.

CELANIA. EMILIA.

TAK jest. mam ci powiedzieć jeden sekret wielkiej wagi, sekret który cię zadziwi, sekret mówię....

EMILIA.

Skończże, na co mnie uprzedzać, czegom doznawała; umieram z ciekawości.

CELANIA.

Nadto jesteś żywa. . . . Ale czy podobna żebyś nie przeniknęła?

EMILIA.

Ach dla Boga? iaki wstęp! Gdyby to był kto inszy nie W. Pani, rozumiałabym prawdziwie, że idzie o zwierzenie się miłosne.

CELANIA.

Więc cię to mocno zadziwia?

EMILIA.

EMILIA.

Otoż piękne żarty, a właśnie wczas
gdy widzisz moją niespokojność.

CELANIA.

Ja mówię szczerze.

EMILIA.

Jako! bydz to może?... Ale nie,
to nie podobna.

CELANIA.

Jakżem się nie powinna wstydzić
słabości, która dla ciebie jest nie do
wierzenia?

EMILIA.

Jako! W. Panibys miała kochać?

CELANIA.

Mordowałam się z sobą nie raz....
Ale nakoniec Corka moja jest doro-
sła, chcę ją wydać za mąż.

EMILIA.

Czy jużes go sobie wybrała, ach
trętwieię.... Ale proszę, powiedź
kogo?

CELANIA.

Czy możesz się o to pytać? Samaś
świadkiem od lat sześciu....

EMILIA.

Mego Brata?....

Teatr. E

CELANIA.

A ktoż może być nad niego ?

EMILIA.

Ach ! oddycham. O moja kochana przyjaciółko jak mnie kontentujesz !
Moy Brat ! ach iaka będzie jego radość, jego ukontentowanie ! ... Ale iakeś mogła przez tak długi czas utaić ?

CELANIA.

Słuchay całej historyi i moiego usprawiedliwienia. W pierwszych dniach namiętności twego Brata rozmaite przeszkody były na zawadzie, żem nie mogła być czułą ; młodość jego, wychowanie moiej Corki, które wyciągało moiego starania, wszystko to oddalało mnie od niego. Potym, jego stałość, cnoty, i talenta, które codzień w nim upatrywałam, ziednały moy szacunek dla niego i przyjaźń ; ale serce moje było ieszcze spokojne, gdym zaś poczęła zniewalać miłość jego do milczenia, gdym mu odjęła resztę nadziei, którą sobie przecież czynił, żal jego wzruszył mnie, ale nie odmienił.

Pewna byłam, że nakoniec rozmyśli się, oddali odemnie, i zaspokoï. Lecz iak mnie to zdziwiło, gdym go znalazła tym nieodstępnieyszym, tym żywszym iak nigdy, nie śmiejąc ani się żalić, ani wyrzucać, przeistając na samym mnie oglądaniu, i poświęcaniu dla mnie dni swoich? Tak wielka podległość, taka stałość i delikatność, ujęły nakoniec serce moje. Długom się uwodziła z moim czuciem, ktoregom doznawała. Chciałam tego nie brać tylko za skutek wdzięczności, lecz wnet omamienie ustało. Poznałam że go kocham tyle, ile sędzę że jestem kochaną. Nadaremniem chciała powściągnąć tę tak lubą skłonność, już było po czasie.

EMILIA.

A na coż ją powściągać? Nie jest-żeś nadto szczęśliwa, że kochasz cel który cię uwielbia, mogąc iednym słowem nadgrodzić mu to wszystko co ucierpiał?

CELANIA.

Wprzod nim się zatrudnię moim losem, chcę go ugruntować dla moiej

Corki, i nie myśleć o sobie, aż po
iey postanowieniu.

EMILIA.

Twoie zamęcie nic go nie odmie-
ni. Maiątek brata mego iest dość
znaczny. . . .

CELANIA.

Co do tego iestem spokojna; iuż i
dla Anieli uczyniłam wybor.

EMILIA.

A ona wie o tym?

CELANIA.

Nie, ale chcę iey obiawić, i za-
kończyć bez odwołki.

EMILIA.

A kogożeś wybrała?

CELANIA.

Margrafa d'Hercy. Jego maiątek,
iego urodzenie, i ofobiste zalety,
wszystko to iest mocnym powabem
do uskutecznienia mego zamysłu.
Wątpić nie mogę, aby nie kochał mo-
iey Corki; samo przebywanie iego u
mnie, i ukontentowanie mowienia
zawsze o niey, są tego dowodem. A
dotego Corka moja iest partyą ze-
wszech miar powabną i zyskową dla
niego; więc iestem bardzo pewna. . .

EMILIA.

Aniela zapewne będzie ci powolną bez trudności.

CORKANIA.

Ach gdyby nam się przyszło rozstać, nigdyby nie zezwoliła, i iabym bez niej umarła. Ale dzięki Bogu, do tego nigdy nie przyidzie; i wydając ją za mąż tę najpierwszą położę kondycją, abyśmy z sobą całe życie przepędzali. Tym sposobem Corka moja z chęcią przyłtanie na to złączenie, którego pragnę. Margraf iest luby, młody; Aniela powolna i czuła, serce iey iest wolne, iestem tego pewna; gdyby albowiem miała najmnieyszą skłonność do kogo innego, toby mi się przyznała; iey ufność we mnie iest zupełna; wie ona dobrze, że ja na tym całe moje szczęście zakładam.

EMILIA.

Ach moja kochana przyjaciółko, iak ty będziesz szczęśliwa! iak twoy los pomyślny! Panienska kochana i piękna postanowiona przez twoie starania, w sposobie najsławnieyszym i nay-

milszym, stanie się twoją towarzy-
szką, która ci winna będzie swoje
cnoty, swoją istność, swoje szczę-
ście; Zięcia mieć będziesz który cię
kocha, który cię zna i wielbi, który
żyć nie będzie tylko dla ciebie, kto-
rego miłość i wdzięczność wyrowny-
wać będą jego szczęśliwości.

CELANIA.

Co za portret! co za malowanie
rozkoszne! Wszystkie w nim wyra-
zy poruszają me serce.

EMILIA.

Ach! radabym oznaymić memu
bratu.

CELANIA.

Nie powinien o tym wiedzieć tylko
odemnie. Maiąc go o tym zapewnić
niechcę używać żadnych wybiegów,
radabym aby to usłyszał z ust
moich. . . .

EMILIA.

O Boże! iaka będzie jego radość;
umrze, nie wytrzyma, . . . Ale iaki
moment sobie obierzysz?

CELANIA.

Moja Córka ma tu przyiść, chcę
objawić iey przeznaczenie. Przygo-

towawszy iey serce, będę się widzia-
ła z Margrafem, a tak interes uło-
żony. . . .

EMILIA.

Ach! na coż zwłoczyć doniesienie
memu bratu! . . .

CELANIA.

Zaklinam cię, abys wstrzymała
twoją niecierpliwość, a nadewszy-
łtko abys zachowała sekret, który w
wieczor lub jutro bydz nim przesta-
nie.

EMILIA.

Możesz bydz pewna; lubo nigdy
milczenie nie zdało mi się bydz przy-
krzeysze.

CELANIA.

Ktoś idzie. Właśnie iest ta go-
dzina, w ktorey czekam Anieli, zape-
wne ona.

EMILIA.

Zostawuję cię z nią, i odchodzę
przeięta radością nadzwyczajną.

CELANIA, z pomieszaniam.

Wyliczałaś wszystko co mnie ma u-
czynić szczęśliwą, a opuściłaś Przy-
iaciołkę taką jak sama iesteś.

EMILIA.

Zapomniałam o moim szczęściu, nie myśląc tylko o twoim. (ANIELA nadchodzi.) Byway zdrowa moja kocha na Przyziaciółko, w krotce zwać cię będę słodszym tytułem. . . .

CELANIA.

Cicho, otoż i moja Corka.

EMILIA, *na stronie odchodząc.*

Muszę poyść do mego brata, nic mu nie powiem, ale muszę się z nim widzieć. (*wychodzi.*)

SCENA II.

CELANIA, ANIELA.

CELANIA.

PRZYSTĄP moje dziecię, mam o wielu rzeczach z tobą mówić. Pożytkuymy z momentu w którym jesteśmy fame. Usiądź.

ANIELA, *na stronie.*

Drzę cała. (*siadaią obydwie.*)

CELANIA.

Młoda jesteś moja Corko, masz dopiero rok siedmnaśty, ale rozum twoy, i że smiem powiedzieć, edukacya którąś wzięła, czynią cię wyższą nad wiek twoy. Czas jest pomyśleć o postanowieniu twoim, i wątpić nie mogę aby przywiązanie twoie ku mnie nie wyrownywało mojemu.

ANIELA.

Ach! dla Boga, coż znaczy?...

CELANIA.

Powinnaś się domysleć, co ci mam powiedzieć. W krotce moje dziecko los twoy nie będzie zależał odemnie, ale znasz dobrze że nie mogę złać prawa dla mnie tak miłego, tylko na tego, którego osądzę byđź naygodnieyszym, i nad którego wyborem ferce moje będzie przewodnikiem.

ANIELA.

Mama!

CELANIA.

Powiem ci go, jest to Margraf d'Hercy,

ANIELA.

O Boże!

CELANIA.

Ty błednieiesz, oczy twoje pełne łez. Ach moje dziecko! zkądże to tak straszne pomieszanie? Nieśtety! powinnamże się o to pytać? Pewnie samo wyobrażenie ktore sobie czynisz, że się z sobą rozłtać musimy, rozdziera twe ferce. ... Ach! moja kochana przyjaciółko bądź spokojna; nic nas nigdy nie potrafi rozłączyć. I także! możesz ja żyć bez ciebie?

ANIELA, *na stronie.*

Gdzież poydę, gdzie się skryię?

CELANIA.

Odpowiedź mi moja Corko, a przestań bydz niepokojną.

ANIELA, *na stronie.*

Coż iey powiem? o Boże! (*głośno.*)
Przebog! iam była tak szczęśliwa...
Ach pozwol, niech od nikogo nie zależę tylko od ciebie.

CELANIA.

Ten sentyment iest naturalny, podobą mi się, iednakże chcę go zwyciężyć. Ja ustępuję mych praw, ale ty mi swoje możesz zachować. Będą

dla mnie tym milsze, gdyż ie odbierać będę z twego przywiązania, a nie z powinności. Naostatek moje dzieci jużem się namysliła, czekam tylko od ciebie słowa, abym mogła dać moje.

ANIELA.

Mego słowa.... Nie, nie, nigdy.

CELANIA.

Co ty mówisz?

ANIELA, *padając do nog.*

Wybacz moiej zaciętości tak przestępcney; umrę gdy cię obrażę, ale równie żyć przestanę, jeżeli będę posłuszną.

CELANIA.

O nieba! iak mię to zadziwia. I tyż to mi tak mówisz? W iakimże cię widzę stanie?

ANIELA.

Mama, Mama, zlituy się nademną.

CELANIA.

Ale przebog! zreflektuy się... Mow, day mi przyczyny. . . . Odpowiedź moja Corko. Do rospaczy mnie przywodzisz.

ANIELA.

Tak jest, chcę ci się ze wszystkim przyznać. . . . Wstręt nadnaturalny i nieprzełamany sprzeciwia się....

CELANIA.

Oddała cię od Margrafa. . . . Czy go nie lubisz? . . . A dlaczego? . . . Mowże.

ANIELA, *na stronie.*

Nie chce mnie rozumieć, a ja nie śmiem. . . .

CELANIA.

Jeszcze raz moja Corko mówię ci, twoje milczenie życie mi odbiera.... Zkąd może być to obrzydzenie tak niesprawiedliwe? Coż masz mu do wyrzucenia? . . . Niechcesz tedy odpowiedzieć?

ANIELA.

Ja nie mam żadney nienawiści, ale....

CELANIA.

Ale.... Dokończ.... Prawdziwie, inna na moim mieyscu pomyślałaby Bog wie co.... Ale ja znam ciebie dobrze.... Moja Corko, jesteś dzieckiem. Przypisuję i wybaczam twe-

mu wiekowi całą tę Scenę, która mnie zrazu niezmiernie zmieszała. Jesteś teraz nadto śtrąpiona i żalem przeięta, abym miała wyciągać od ciebie odpowiedzi. Powiesz mi w wieczor, teraz przestańmy mówić o tym, uściskay mię.

ANIELA.

Co za dobroć!

CELANIA.

Biedne dziecię! w jakim ią stanie oglądam! . . . Jakże to słowo Mąż, jest straszne. . . . Ach iak się ona czerwieni. . . . Ktoś idzie. (*na stronie.*) Przebog to Valcourt!

ANIELA, *na stronie.*

O Boże! otoż nowy kłopot!

SCENA III.

CELANIA, ANIELA, VALCOURT.

VALCOURT, *na stronie,*

ANIELA jest z nią. . . . Nie śmiem przystąpić.

CELANIA, *na stronie.*

Czego on chce!

VALCOURT, *na stronie.*

Emilia mnie tu przysłała... iak powiada po moje uszczęśliwienie. ... a ia tu znajduję Anielę; co za przeczucie!

CELANIA, *na stronie.*

Zdaie się drzeć i bydz pomieszonym. ... Czy mu tylko Emilia nie powiedziała? (*głośno*) Valcourt, czy mnie W. Pan szukasz?

VALCOURT.

Tak iest, Mościa Dobrodziko.

CELANIA.

Coż takiego? ...

ANIELA, *na stronie.*

Ach dla Boga! czegoż on tu chce?

VALCOURT, *do Celami.*

Moia Siostra...

CELANIA.

Czy iuż W. Pan wiesz? ...

VALCOURT.

Jakto Mościa Dobrodziko?

CELANIA.

Ale coż W. Panu powiedziała Emilia?

VALCOURT.

Ze W. Pani Dobr. masz mi powierzyć sekret bardzo ważny. Nie chciała mi się więcej tłumaczyć.

CELANIA.

I to nadto W. Panu powiedziała. Poydź sobie moja Corko, w krotce ia do ciebie przyidę. (*Sciska ią i mówi pociechu.*) Bądź zdrowa moje dziecko, a pamiętaj, że czekam twego namyslenia.

ANIELA.

(*czyni kilka kroków, i mówi poczyną do Val-kura, gdy tym czasem Celania zamysła się.*)

Użyjmy tego momentu, upadniemy do nog.

VALCOURT, pocichu do Anieli.

Byłoby to ciebie zgubić... w ten czas właśnie, gdzie możemy sobie wszystko obiecywać. Wynidź proszę. (*Odmienia miejsce, i staje między obiema.*)

ANIELA, na stronie.

Czy to podobna? ... (*głośno.*) Byway zdrowa Mama.

CELANIA, biorąc ią za ręce.

Moja Corko... Widzę iak ci jest ciężko ze mną się rozłtawać... Ale

trzeba na moment.... (*patrzy na nią z czułością, i mówi obracając się do Valkura,*) Jak ja ią kocham?

VALCOURT.

Jakież ona jest godna tego, i iak sama jesteś warta naywyższego iey przywiązania!

CELANIA, *do Valkura.*

Ach! bądź pewny że go posiadam.

ANIELA.

(*Bierze za rękę Celanię, a chcąc ukryć swoje pomieszanie, całując onę, trzyma głowę zwięszoną, i tak się nachyla że iey twarzy nie widać.*)

VALCOURT.

(*Bierze drugą rękę Celanii i w podobnym zostaje położeniu.*)

CELANIA, *z wielkim wzruszeniem.*

Moja Corko. . . . Moy Valcourt.... Jak wafze przywiązanie czyni mnie szczęśliwą! . . . Jak was kocham iedno i drugie!

VALCOURT.

Widzisz przed sobą dwie osoby ktore cię kochają w naywyższym sposobie.

CE-

CELANIA.

Ach! wiem ja o tym.... Tak jest,
czytam w fercach waszych.

ANIELA.

Tak Mama, czytaj....

VALCOURT.

(przelekniony, mruga na nią i wstrzymuje.)

Daruiesz mi W. Panna Dobr. że iej
przypomnę, iż Jeymość Dobr. obra-
ła sobie moment mówienia ze mną
w sekrecie.

CELANIA.

Ach! martwisz ją.... Poydź fobie
moie dziecię, poydź, wkrótce twoia
Matka nayszczęśliwsza nie będzie
miała dla ciebie nic tajnego.

ANIELA, na stronie odchodząc.

On to jest, który mię przymusza
do milczenia; ale ferce moie iak jest
temu przeciwne! iakżem warta polito-
wania! (wychodzi.)



SCENA IV.

*CELANIA, VALCOURT.**CELANIA, po krótkim milczeniu.*

VALCOURT, nie miałam z tobą mówić aż jutro.

VALCOURT.

Aż jutro ! . . . Tak długo czekać sekretu, który W. Panią Dobr. dotyczy.

CELANIA.

Do tego sekretu i W. Pan należy. Jeżeli mnie dotyczy, ty jesteś onego celem bez wątpienia; czego przynajmniej mogłeś się sam domyśleć.

VALCOURT.

Ach ! Mościa Dobr. . . . dokończ.

CELANIA.

Potrzebaż, abym się jaśniej tłomaczyła ! Odtąd iak mnie znasz, nie mogłeś czytać w sercu moim ? . . .

VALCOURT.

Proszę Mościa Dobr. . . .

CELANIA.

Oto zamyślam o twoim losie, chcę go odmienić, czy przyłtaniesz nato?

VALCOURT, *na stronie.*

Coż za nadzieia wznieca się w sercu moim? ... Anielo! ...

CELANIA.

Widzę ia twoie zadziwienie; chcę go dopełnić. Nie iełtem więcey ową kobietą nieczułą, niewdzięczną, którąś podobno sobie zbrzydził, i zapewne zapomniał. ... Otworzyły się oczy moje; szacunek i wdzięczność skłoniły mnie nakoniec do tego uczucia, które dziś iełt moim uszczęśliwieniem. Czynię cię pełnomocnym moiego życia i przeznaczenia. Nie wstyd mnie tak słodkiego wyznania; twoia stałość, twoia miłość usprawiedliwia go, i chętnie tey słodkiej chuci pozwalam góry nad sobą, która obeymuie serce moje na zawsze.

VALCOURT.

Coż słyszę! o Boże! ... Tyż to iełteś? Tyż to Celanio mowisz do mnie?

CELANIA.

Tak jest, ja; ja która cię kocham
ze zbytkiem, który tylko sam pojąć
możesz.

VALCOURT.

Gdzież jestem? o Nieba!

CELANIA.

Co za obłąkanie maluje się w twych
oczach? Gdzież bieżysz?

VALCOURT.

Ach! dozwól niezcześnie, kto-
ry się sam nie poznaie.

CELANIA.

Przestrach, boiaźń, niszcza w to-
bie cerę.... Stoy, zatrzymay się.

VALCOURT.

Niestety! Coż ja to od ciebie sły-
szę?

CELANIA.

Wkroś mnie przerażaś.

VALCOURT.

(Zbliżywszy się upada iey do nog.)

Ach! chcę ci zadać raz śmiertelny!

CELANIA.

Możesz miarkować dobrze iak mnie
to zadziwia. . . . Wszystko wyiawia
gwałtowność twego poruszenia, i w

twoim obłąkaniu umysłu nie widzę tylko żal. . . . O nieba ! Czy mogłam się spodziewać ! . . .

VALCOURT.

Ach Mościa Dobrodziko ! już po czasie. . . .

CELANIA.

Co, nie ma więcej czasu ? . . . Już mnie nie kochasz ?

VALCOURT.

Zawsze mi jesteś miłą równie z życiem. . . .

CELANIA.

A na coż okrutnikowi pogrążasz mnie w rozpacz, gdy ci ofiaruję moją rękę i serce ?

VALCOURT.

Gdybym śmiał one przyjąć, byłbym naylichszym, naywzgardzeńszym z ludzi.

CELANIA.

A ktoż może być na przeszkodzie ? . . .

VALCOURT.

Nie pytaj o więcej, próżnobyś na mnie nalegała. Przeszkoda nieprzełomana rozdziela nas na zawsze.

Przedtym twoja obojętność mnie pogłębiała, dziś twoja miłość przywodzi do rozpacz. Urodziłaś się na zepfucie mego losu, na udręczenie moiej duszy przez wynalezione męki dla mnie. . . . Coż mówię, o Boże! . . . Wybacz mojemu obłąkaniu... Ja ciebie obrażam uniesiony gniewem. . . . chcę cię uczynić nieszczęśliwą. Co za okropny widok! Ach! Mościa 'Dobr. nboleway nademną, zapomniy o mnie, żegnam cię, żegnam na zawfze,

CELANIA.

Jam ci się zupełnie oddała... a ty mnie porzucasz bez wstrętu na okropność mego przeznaczenia! Tracąc twoją miłość, czyliż utraciłam razem prawo do twego zaufania, politowania? . . . Inny cel przywiązanie ciebie, inne związki cię krępują, to jest szczególnie czegom się mogła domyślić. . . . Lecz powiedz. należałoż mnie zwodzić przez usilność tak czułą i stałą? Trzebaż było ukrywać się z sercem, ktorego nie otwierasz, tylko na cdięcie mi życia? . . . Przy-

iażń przynajmniej twoja powinaby
mnie pocieszyć, ktoż mi ją mógł wy-
drzeć? Coż są moje za przestępstwa?
mow.

VALCOURT.

Nic ci nie zadaię, ieltem nieszczę-
śliwy, nie obwiniam tylko siebie sa-
mego.

CELANIA.

Powiedz mi przynajmniej jaki masz
inny cel? ..

VALCOURT.

Muszę milczeć, uciekać przed to-
bą, żałować cię, i umrzeć z nie-
szczęścia, ktore mnie od ciebie odry-
wa.

CELANIA.

A ja muszę się tobą brzydzić iak
potworem obmierzłym, niegodnym
czucia, ktoreś we mnie wzniecił. Je-
szcze ci powiem iedno słowo: Oto,
mogę się zwyciężyć, mogę ieszcze
dla ciebie zachować moy szacunek i
przyiażń. Mogę byđ nadgrodzona za
wszystko przez twoie szczęście, po-
święcając mu moje; ale wyciągam te-
go, abym miała całkiem twoie zaufanie

i bez wyłączenia, abyś mi serce
twoje otworzył.

VALCOURT.

Nie mogę tego uczynić. Odstę-
puję szczęścia, nie masz go więcej
dla mnie; a twój szacunek czas mi
powroci.

CELANIA.

Jdź precz odemnie, wynidź, i nie
pokazuy się nigdy oczom moim.
Jdź pewny będąc moiey nienawiści i
wzgardy, oraz zaiadłości, iaką wy-
wrzeć może kobieta rozgniewana.

VALCOURT.

Odchodzę naynieszczęśliwszy z lu-
dzi; kontentuy się zemstą ktorey
pragniesz.

CELANIA.

Ja umrzeć pragnę.

VALCOURT.

Odbierając pożegnanie na zawsze,
racz przynajmniey posłuchać mnie na
moment. Porzucam cię, a porzucam
na zawsze, oddalam się od tey którą
tak kochałem, od tey mówię, która
mi zawsze była potrzebną do uszczę-
śliwienia mego. Ale tracąc ciebie,

bądź pewna że wyrzekam się wsty-
łkiego, miłości, ambicyi, sławy,
poydę na pułtynią i tam zagrzebię
dni nieszczęśliwe, których więcej
przy tobie przepędzać nie mogę.

CELANIA.

Co za połączenie okropne miłości
z okrucieństwem? Albo raczey, co za
obmierzła skrytość. Gdybyś miał ser-
ce czułe, czyżbyś mnie opuszczał,
umykałżebyś mi twoicy ufności?...
2

VALCOURT.

Zegnam W. Panią Dobr. Nie mogę
znieść dłużey rozmowy tak mnie za-
biiaiącey.

CELANIA.

Posłuchay mnie ieszcze raz ostatni..
Ja nie przyimuię twego pożegnania,
jutro sobie odiedziesz kiedy zechcesz,
dziś ieszcze chcę się widzieć z tobą
i pomówić.

VALCOURT.

Na coż przedłużać ten moment tak
boleśny acz nieuchronny?

CELANIA.

Czyliż ieszcze i tey łaski ostatniey
mi odmowisz?

VALCOURT.

Uczynię co każesz... ale racz wspomnieć na łtan moy w którym zostaię, i iak mi trudno będzie ukryć się w oczach tych którzy cię otaczają!

CELANIA, *ze złością.*

Potrafisz się ułożyć, nie wiele cię to będzie kosztowało. Ztym wszystkim, mogęż wierzyć twemu słowu?

VALCOURT.

Kiedy każesz, dotrzymam.

CELANIA.

Dosyć tego, potrzebuję zostać sama, wynidź.

VALCOURT. *na stronie wychodząc.*

W pomieszczeniu tak gwałtownym, co za rada, co za środki mi zostają? *(wychodzi.)*

S C E N A V.

CELANIA, *sama.*

JUż tedy nie jestem więcej kochana.... Ktożby temu mógł uwierzyć! Inna zapewne posiada iego serce....

Powiedział mi, że przeszkoda nie-
przełomana rozłącza nas na zawsze...
Coż tedy to jest za przeszkoda? ...
Jaki cel mógł? ... Nikogo nie znał,
na nikogo niepatrzył tylko na mnie,
tylko... Ach! co za smutne jeszcze
wyobrażenie stać mi na umyśle! Nie-
stety! tłumiałam go w sobie, gdy mi
iego rozpacz na myśl przywodziła...
Moja Corka żalem wskroś przeięta
niechce być posłuszną... a Valcourt
milczy, od siebie odchodzi, wzdryga
się na moje czucia ku sobie... I iak-
że! mógłż się zmówić na moje oszu-
kanie, udręczenie? ... O nieba! ta
wątpliwość okropna rozdziera i prze-
nika serce moje.... Nie, to niepodo-
bna, aby do tej niewdzięczności....
Może on ją kocha; ale Aniela, ale
moja Corka nie wie o tym, przecie-
by mi się przyznała. ... Wytrzymać
nie mogę tak wielkiego pomieszania.
Poydę do Emilii.. Ach! co za prze-
ciwność! Czego tu Melita chce ode-
mnie?



S C E N A VI.

MELITA, CELANIA.

MELITA.

A CH Mościa Pani! uspokoy się, twoja
Corka łzami się zalewa. Zastałam ją
w stanie... Ale i W. Panią w jakimże
pomiesaniu znajduję?

CELANIA.

Nie mogę W. Pani powiedzieć....

MELITA, *na stronie.*

Muszę dokończyć mego ułożenia.
(*głośno.*) Nie nalegam na W. Panią,
ale się łatwo domyślam, co ją alte-
ruie.

CELANIA.

Co W. Pani mówisz?

MELITA.

W. Pani odkryła...

CELANIA.

Ach proszę dokończ.

MELITA.

Miłość wzajemna Valkura i Anieli...

CELANIA.

Miłość wzajemna! ... Ach ledwie żyję. . . .

- MELITA.

I coż M. Pani, możesz naganiać miłość niewinną, która raczy powinna założyć na twoją dobroć i ukontentowanie? ... Wybacz twojej córce, że się kryła z nią przed tobą, przypisz to raczy jej nieśmiałości i boiaźni, aby cię nie uraziła. Zawszem sądziła o innych twych widokach dla niej, i w tej myśli...

CELANIA.

To tedy W. Pani było to powierzone?

MELITA.

Przyznam się W. Pani, że ich miłość i nadzwyczajne przywiązanie mocno mię dotknęły... Sprzyiając o-
nym dałam im poznać, co tobie winni iak iedno tak drugie, ale ta usilność moja była mniey potrzebna, gdyż wierzą mi, że o wdzięczności dla ciebie, są przekonani do gruntu serca. Podziękuję cię do ciebie przy-
czynić za niemi, i zaklinam cię na

miłość twey Corki ku tobie, i na przywiązanie twoie ku niey, abyś się nie sprzeciwiała. . . .

CELANIA.

Dosyć M. Pani. . . . Znam dobrze szacunek twoiego starania... Nie sądziłaś podobno aby twoie prawa nad moją Corką mogły zasiągać aż do intrygi prowadzoney dotąd tak sztucznie? Ta już się odkryła, skończyłaś twoją rolę. Z moiey nie winnam nikomu rachunku, i dowiesz się W. Pani o moich zamiarach, skoro o nich uwiadomię moją familią. (*wychodzi*)

SCENA VII.

MELITA *jama.*

WYszła rozgniewana.... Udało mi się; zmyślałam że wiem o wszystkim, utwierdziłam w niej wszelkie domniemanie. Roziątrzyłam iey wściekłość przeciw corce i Valkurowi, ktorego wiem pewnie że żaluie. Jużesmy się

tedy skłóciły raz na zawŹse Ale co
mnie z tego? nienawidzę ieŹ, mścię
się będę, i otworzę oczy Margrafowi...
Ale otoŹ i ón.

S C E N A VIII.

MARGRAF, MELITA.

MELITA.

CZY spotkałeś się z Celanią?

MARGRAF.

Nie M. Dobrodziko, ja ieŹ szukam,
Aniela była bardzo słaba, zemdląła;
Emilia ieŹ przy nieŹ, i...

MELITA.

Widok Matki ieŹcŹe ją bardziej
poruŹy.

MARGRAF.

Jakto?

MELITA.

Bo są współ-zalotnice. Celania ieŹ
obrażona miłością Valkura.

MARGRAF.

Ta bayka nie podobna do prawdy.

M E L I T A.

A ja W. Panu powiadam, że prawda. Przypomniy sobie, com ci dawniej powiedziała. Otworz oczy, zastanow się nad postępowaniem Celanii, a jeżeli nieznaydziesz w nim gniewu, zazdrości i miłości, pozwalam na ten czas abyś ją adorował i wielbił iak zawsze. To całe mniemane przywią-zanie do Corki, ieść szczerą obłudą, będziesz o tym ieśćcze dziś przekonany.

M A R G R A F.

Nie wierzę niczemu M. Pani.

M E L I T A.

Ustanie twoie uprzedzenie. Tym czasem zostawuję tu W. Pana, i daię czas do myślenia.

M A R G R A F.

Co za złośliwa kobieta! Muszę poyść poszukać Celanii, i uwiadomić nakoniec bez odwłoki o moich senty-mentach, ktore mi chcą wydrzeć z serca moiego. (*wychodzi.*)

Koniec trzeciego Aktu.

A K T

A K T IV.

S C E N A I.

*VALCOURT, EMILIA.**EMILIA.*

TAK jest, bardzo się lękam; Celia
 nia zapewne umrze; serce iey nie-
 wymownie jest zranione; wzgardzo-
 na od tego,ktorego kocha, a ieszcze w
 iaki moment... i dla kogo?

VALCOURT.

Potrzebaż aby nierostropność Me-
 lity?

EMILIA.

Nierostropność... Ach wierzay mi
 że ona tryumfuie, i iak chcesz mow,
 to jest czarność duszy, iestem tego
 pewna. Ale ty Braciszku, iakiegoż
 udręczenia nie musisz doznawać w
 ten moment!

VALCOURT.

Mogłżem przewidzieć?...

Teatr.

G

EMILIA.

Nie możesz się usprawiedliwić. Potrzeba było mówić. Celania nie była warta tak obmierzłej skrytości. Nie taie się przed tobą, ona jest zagniewana na ciebie, a nadewszystko na Corkę swoją. Im bardziej ją kochała, tym więcej spodziewała się od niej ufności, tym więcej została obrażoną, zdradzoną, i nieszczęśliwą. Ja nie wiem czy będzie ją co mogło zaspokoić, w takim jest teraz stanie, że się serce kraie. Prosiła mnie abym ją zostawiła samą na moment. Płaczę, ięczy, wzdycha, i ustawicznie powtarza imiona Anieli i twoie. Te imiona ieszcze dziś zrana dla niej tak słodkie, tak miłe, teraz są przyczyną żalu i rozpacz.

VALCOURT.

Powiedz iey proszę, że ją zaklinam, niech mi wróci moje słowo, i niech mi dozwoli uciekać na zawsze od tego wszystkiego, co było dla mnie najmiłszym. Ja umieram, moja Siostró otrzymaj to od niej...

EMILIA.

Zdaie mi się że ją słyszę. Wynidź
ztađ.

VALCOURT.

Poydę do mego pokoju, oczekiwac
twoiey odpowiedzi. Byway zdrowa;
niech się przynajmniey ulituie nade-
mną.

EMILIA.

Wychodź. To ona, przyidę ja do
ciebie. (*wychodzi. Emilia kończy.*) Jey
mina oznacza uspokojenie. Ale iak
ponury smutek na twarzy!

S C E N A II.

CELANIA, EMILIA.

EMILIA.

I coż moia kochana przyjaciółko,
zdaiesz mi się byđ trochę spokoy-
nieyszą... Niestety! niechę ja cie-
bie cieszyć nadaremnie. Nie umiem
wcale, tylko trapić się z tobą; lubo

prawdę mówiąc, twoja Corka warta jest większego pobłażenia. Twoja czułość zbyt uczyniła powiększa iey przewinienie; ona jest żalem wkroś przeięta, ona cię kocha, ona miłuje.

CELANIA.

Zdradziła niemniej swą powinność, iako i moje przywiązanie; serce moje jest iey sędzią, wie ona dobrze iak jest czule i przywiązane, słusznie się lęka wyroku, który ma usłyszeć od niego.

EMILIA.

Moy Brat prosi, abyś mu pozwoliła oddalić się.

CELANIA.

Nie, nie, miłość szczęśliwa powinna go zatrzymać.

EMILIA.

Ach! wierz mi, że przyjaźń w sercu iego jest wyższą na miłość; on nie myśli tylko o tobie.

CELANIA.

Jeszczeż się śmie nazywać moim przyjacielem wydarłszy mi serce i zaufanie moicy Corki!

EMILIA.

Oni byli wciągnięni...

CELANIA: *modliwy*

Nie wymawiaj ich darmo, tym bardziej powiększaj gniew mojego. Nie jestem teraz tą, co byłam, nieznam siebie więcej.... Zdradzona od osób najmilszych, poniżona, oszukana, opuszczona, najmnieyszym dla mnie jest udrczeniem teraz, doznawać chuci wstydney i nieszczęsney, która mię upośledza w oczach świata, a w moich poniża.

EMILIA: *złoty*

Co za bojaźń nadaremna! Bardzo jest łatwo ukryć ten smutny i nieszczęśliwy sekret.

CELANIA:

A mogęż go ukryć! Mamże sposob ułożenia się? Nie jestże napisano na twarzy mojej? A potem, co mi z tego że go zazdrość i nienawiść wyiawi? Czyliż potrafi próżność powiększyć lub umnieyszyć tych śmiertelnych boleści? Patrzayże w iak okropnym jestem stanie. Coż za rola dla mnie teraz pozostaie? Niewdzięczni, nie odiełiż mi i tey słodyczy, abym mogła pokazać, że się dla nich

poświęcam ; nierozrządziliż sami swym losem ? Ich wzajemne porozumienie się utwierdziło go na zawsze ; moje zezwolenie stanie się przymuszonym , gdy go dam , bo muszę ; gdy go odmowie , będę okrutną i nielitościwą Nie mam innej władzy nad tę , ktorej mi prawa pozwalają . Przez nich jestem jeszcze Matką .

EMILIA.

Ach ! bądź pewna , że o to okrutne zezwolenie nie będziesz nigdy proszona . Posłuszeństwo Anieli naprawi jej błędy , a mój Brat nie pragnie , tylko oddalić się od niej na zawsze .

CELANIA.

Mojej corce knować intrygę występna ! Szukać innej konfidentki nie mnie ! . . . Tak jest , gdyby kochanek sam wiedział o jej sekrecie , wybaczyłabym jej . Wszakże w sercu Matki natura ma prawo wyższe nad miłość ; ale knować skryty spisek , przełożyć ciotkę nademnie , jej się zwierzyć , zdać na nią swoje uszczęśliwienie , jej zaufać , o mnie zapomnieć , przede mną milczeć , ba co mówię , oszukać . . . O nieba !

EMILIA.

Niestety! więcej są oni warci politowania nad ciebie, jeżeli można...

CELANIA.

Wydarli mi serce... Na łonie mej Corki byłabym znalazła jaką ulgę w mych zgrzyotach. Potrzebną mi była do otarcia łez, ktorey przywiązanie prędzey lub późniefy byłoby osużyło źródło onych. . . . Powiadaś że ięczy, ale iey kochanek może ją pocieszyć, czuie on i dzieli się iey udręczeniem. Może w ten moment wraz z Melitą ięszcze układają nowe intrygi.

EMILIA.

Ach! czy możesz o tym pomyśleć! Moy Brat pogrążony w swej rozpaczey, wyrzeka się miłości tak nieszczęsney.

CELANIA.

Alboż ich sądzisz bydz szczeremi; kiedy mnie potrafili oszukać? Nauczyli mnie dobrze jak mam im wierzyć. Ja sądziłam że iestem kochaną. O iakże byłam szczęśliwa tego poranku! Tak, tak, potrafię mię zwy-

ciężyc; potrafię poyść za ich okrutnym przykładem, który mi dali; wyrzucę z serca mego czucia, które go rozdzieraiają. Dosyć cierpieć dla niewdzięcznych... Zdaie mi się, że sama jedna tylko jestem na świecie. . . . Gdzie oni są? chcę ich widzieć razem, aby byli świadkami męczeństwa, które mi zadaiają. Chcę aby moja Corka poznała, na jakie nieszczęścia mnie wystawuie, aby widziała moją miłość, moją rozpacz.

EMILIA.

O Boże! coż mówisz! ach ukrywaj zawsze przed nią ten Sekret.

CELONIA.

Albo rozumiesz, że ona nie wie o nim? Nie, bynajmniey, ona mnie uważała, wie, i na złość mnie odstępuje. . . . Owszem co mówię, może się tym bawi i raduie? . . . Oni się teraz lękaia popsuć swoje nadzieie. Ja im się nie wydaie; tylko iako sędzia straszny i zagniewany. Nie myśla o mnie tylko z boiaźnią, może mnie nienawidzą.

EMILIA.

Przebog! czy możesz wierzyć? ...

CELANIA.

Czy mogłaś kiedy przewidzieć mój los nieszczęśliwy? Ja dotąd tak spokojna, tak szczęśliwa będąc, potrzebaż było, aby namiętność okrutna wydarła mi razem rozum, spokójność i szczęście? Niestety! młodość moja upłynęła bez nawałności niewinnie i spokojnie! w wieku błędów wylana na starania, na uczucia najśłodziej i najczystsze, mogłamże w ten czas przewidzieć los mój który mnie czeka? Jeden moment zatarał przeciąg lat piętnastu mojego szczęścia, rozsądku, i cnoty.... Wstyd mnie pomieszczenia, na którem się wydała. Żadna pociecha dla mnie nie została, wszystkom straciła.... a zapewne i twój szacunek....

EMILIA.

Ach! nieszczęścia twoje w oczach moich czynią cię sto razy miłszą i przyjemniejszą. CELANIA.

Jakżeś mnie sama dziś oszukała! .. Mowiłaś że on mnie wielbi. Jakaiego

będzie radość!... Ach! gdybyś była widziała jego załęknięcie i straszłą odmianę na twarzy; (tenże to jest sam, ktoregom widziała tak czułego, tak przywiązanego, lejącego łzy u nog moich?) Nie, to nie podobna, nie musiał on nigdy mnie kochać.... Chciał tylko uwieść to serce, ktorego obojętność obrażała jego dumę; ale nie będzie się cieszył ani z mojej słabości, ani z mego udręczenia. Jużem się odważyła na jedno. Umknę mu tak miłego widoku; nie pokażę mu żadney nienawiści, nie wart więcej, tylko mojej wzgardy. Idź powiedz mu, że go nie uwalniam od danego słowa, owszem wyciągam, aby mi dotrzymał swego przyrzeczenia. Jutro będzie wolny; nauczy się znać mnie; dozna że jestem Panią nad sobą. Idź moja kochana Emilio; a jeżeli spotkasz Corkę moją, powiedź, aby przyszła do mnie.

EMILIA.

Ach, iakże się ja lękam tey rozmowy!

CELANIA, *sama.*

Uspokoy się, serce moje nadto iest zranione, abym go mogła iey otworzyć; chcę z nią mówić ale bardzo krotko.

EMILIA, *z boku.*

Byway zdrowa. Pamiętaj o twoim flawie, a względem Anieli radź się swego przywiązania. (*wychodzi.*)

S C E N A III.CELANIA, *sama.*

NA cożem ja przyszła o wielki Boże! w iakąż mnie przepaść pogrąża serce nadto czułe!... Ja zazdrośna!... a komuż? ... Osobie tak ukochanej... Mojej corce!... Ach gdyby nie była niewdzięczną, poświęciłabym chętnie dla niej szczęśliwość mojego życia... Ale iaki iey postępек! iaka skrytość!... Otoż nadgroda za to wszystko com dla niej czyniła przez lat dzieśnięć! Już tedy muszę uleż

mojemu przeznaczeniu; trzeba mi się uzbroić w męstwo potrzebne, dosyć płaczow, dosyć stękania. Rozum, obojętność i spokoyność, te są moje dobra, dla mnie pozostałe w mojej osobności. Moje oddalenie i odludność może mi je przywrócić kiedy... ktoś idzie. To ona. Co za moment!

SCENA II.

CELANIA, ANIELA.

(Aniela zapłakana upada do nog Matki, która ją podnosi z frogością.)

~~CELANIA~~ CELANIA. Odbiegła

Zaniechaj czynić niepotrzebnych wymówek; odejmując mi prawo dla mnie najmiłsze, utraciłaś wszystkie twoje do mnie. Poświęciwszy dla ciebie życie moje, spodziewałam się że twoje zaufanie i przyjaźń będą nadgodą za moje starania, ale nako-

niec poznałam się. Dostyc tego, ten wyrzut ostatnim będzie, któryś kiedy miała odbierać odemnie.

ANIELA.

Ach! raczey wyrzuć mi moją nieroztropność w poślępkach moich, a nie obwiniay serca mego.

CELANIA.

Niechcę żadnego tłumaczenia. Chciałam z tobą mówić, abym ci oznaymiła o twym przeznaczeniu, gdyż te zależy ode mnie; i żadna zmowa, żadna Intryga nie potrafią cię od niego uwolnić. . . .

ANIELA.

Co za okrutna mowa! wkroś mię przeymuie. . . . O Boże! możesz wierzyć, aby twoja władza nademną nie była dla mnie równie miłą iako i świętą?

CELANIA.

Jednakże, ledwoś wyszła z dzieciństwa, śmiałaś uczynić sobie wybor, bez mego dołożenia.

ANIELA.

Ach! przywroć mi twoją miłość, a ia wszystko odstępuię, z chęcią wyrzekam się. . . .

CELANIA.

Znaśz mię dobrze, abym miała
bydź zdolną takiego okrucieństwa.
Zdradziłaś dla miłości twoją powin-
ność, naturę, i wdzięczność. Wnosić
mogę o zbytku oney, gdy cię przy-
wiodła do przestąpienia wszystkiego...
Ciesz się, dziś jeszcze Valcourt o-
trzyma twą rękę. Słowo moje jest
nieodmienne, możesz mu zaufać.

ANIELA.

Ach! moja Matko!... Dodaj, że
przywrocisz mi swoją łaskę....

CELANIA.

Radość okazuje się w twych oczach,
wszystkie twoje chęci są dopełnione.
Słuchaj co ci jeszcze mam powie-
dzieć. Przedtym było najskłodszą
moją nadzieją, że skończę dni moje
na łonie Corki ukochaney, od ktorey
śadziłam że jestem kochaną. Dziś
nakoniec gdym oczy otworzyła....

ANIELA.

Co mówisz? o Boże!... Byłażbyś
tak okrutna?...

CELANIA.

Inne są czasy. Musiemy się rozstać, jutro wyjeżdżam.... Zostać ci twoja ciotka, będziesz ją miała za przewodniczkę.

ANIELA.

Chceszże W. Pani Dobr. moiej śmierci? o Boże sprawiedliwy! co za wyrok! co za okrucieństwo! ... Nie, nie, ja poidę wszędzie za tobą.

CELANIA.

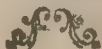
Przestań, przestań tych wrzasków niepotrzebnych. Alboż to do ciebie należy narzekać? ... Moje ułożenie jest nieodmienne, nic go przerobić nie potrafi. (*chce wychodzić.*)

ANIELA, przytrzymując.

Stoy moja Matko, zaczekay....

CELANIA.

Puść mię! co sobie obiecujesz po tey gwałtowności? Puść mnie mówię, nie chodź za mną. Słuchay mnie przynajmniey raz ostatni. (*wychodzi.*)



S C E N A V.**ANIELA, *sama.***

UCIEKA przedemną.... Ach wielki Boże! W coż się obrocę? Dobrzem ia to przewidziała.

S C E N A VI.**MELITA, ANIELA, VALCOURT.**

MELITA.
MYśmy cię szukali... Ale coż to za żal nadzwyczajny!

... VALCOURT.

Przychodzę pożegnać W. Pannę Dobrą na zawsze.

ANIELA.

Ach! idź sobie, oddal się....

MELITA,

Ale na co rozpaczasz? Celania jest spokojna. Spuść się na czas, i iey rozsądek.

ANIELA

ANIELA.

Ach! nadto mnie kosztuie, żem
słuchała twoiey rady; niechcę iey
więcey szukać tylko w moim sercu.

MELITA.

Celania niepozwała wyiechać Val-
kurowi. Alboż niepoznaiesz iey za-
myśłow? Ona ieszcze dziś waha się,
wzgarda przytłumia iey przywiązanie
ku tobie, ale iutro zezwoli na nasze
usłowania połączone.

VALCOURT.

Nie, bynaymniey, wyrzekam się
wszelkiey nadziei. (*do Anieli.*) Przy-
szedłem tu oglądać ciebie na moment,
abym odkrył żal, który rozdziera ser-
ce moje, a iutro oddalę się ztąd na
zawsze.

ANIELA.

Abym powrociła do słodkiego ia-
tzma Matki moiey, dla ktorey win-
namłożyć nawet uszczęśliwienie ży-
cia mego, idę za moją powinnością,
natura sama włożyła na mnie ten o-
bowiązek święty; ale że cię widzę z
taką łatwością mnie porzucającego...
Ach! niedośławalo ieszcze tego ciosu

Teatr. H

do nieszczęścia mego, które mnie ściga. Jedź, iedź W. Pan.

VALCOURT.

Coż mówisz? o Nieba! i tyż to mnie obwiniasz? ... gdy ja się poświęcam dla twej spokojności, gdy dopełniam twego rozkazu, gdy ten przymus okropny wydziera serce moje, ty jesteś tak okrutną....

MELITA.

Ona sprawiedliwie czyni, gdyż teraz powinna być powolną, a W. Panu jeżeli ją kochasz przynależy stałość. Nalegay na Celanią, proś, zaklinay.

VALCOURT, *na stronie.*

A mogęż to czynić! o Boże!

MELITA.

Ale czego tu chce Emilia?

SCENA VII.

EMILIA, MELITA, VALCOURT,
ANIELA.

CELANIA *EMILIA.* mnie przysła, abym ci opowiedziała ostatnią jej wolą. (do

Anieli.) Nie tylko potwierdza twoje zamęście z moim Bratem, ale ci nawet nakazuje dziś ieszcze przyjąć jego rękę, dodając iż najmniejszy sprzeciwienie twoje temu rozkazowi przyimie za kaprys oczywisty, i nowe nieposłuszeństwo.

ANIELA.

Ach Mościa Dobrodziko !

VALCOURT, *na stronie.*

Nieştety!

EMILIA.

Interessa ją nagłe ściągają do Paryża. Za godzinę wyieżdża; ale że chce, aby nie spóźniło tego zamęścia, którego sobie życzy, (*do Melity*) otoż na ręce W. Pani daie Plenipotencyą swoją ręką podpisaną, przez którą zlewa swoje wszystkie prawa na W. Panią. Będzie zastępowała iey mieysce, a Panną będzie od niey przyjmować....

ANIELA.

Coż słyszę ? I moja Matka rozumie, że bez iey starania, przy iey oziębłości będę śmiała....

EMILIA.

Taka iey iest wola, a W.Panny iest
powinnością byđz iey posłuszną. (z
drwinami.) Nie wątpię że ią mądre
rady nakoniec nakłonią na to.

ANIELA.

Tak trzymać o mnie, iest krzy-
wdzić; ieżeli moja Matka iedzie, i ia
muszę za nią iechać, albo umrzeć.

EMILIA, *do Melity.*

Przymiy W. Pani to piśmo, masz
tu w nim zupełną władzę nad Panien-
ką, i od tego momentu może się zwać
iey Cerką.

ANIELA.

Ach! to iest nadto...

MELITA, *do Anieli.*

Włtrzymuy się. (*Bierze Papier i kła-
dzie do kufszki.*) Przyimuię M.Pani tę
Plenipotencyę, czuła iestem na to iak
byđz powinnam, użyię iey na uszczę-
śliwienie moicy Siostrzenicy, nią się
iedynie zatrudniać będę.

ANIELA.

Nie, M.Pani, bynaymuiey nie wierz
temu. Nie znam ia inney władzy
nad sobą, inney powagi, procz Ma-

tki moiej. Niech mnie iak chce odrzuca od siebie, niech się mnie wyrzeka, ja iednak ją kocham, poważam, i przekładam nad wszystko.... Powinnam znosić iey wzgardę, iey gniew, zaśluzylam na nie. Tylko niech mnie nie porzuca, niech mię nie opuszcza w moiej rozpaczy. Niech rozrządza mym losem iak się iey podoba, niech mi tylko daruje... (do Emilii.) Ach! Mościa Dobr. zmiłuy się nademną, niech mię przywróci do swoiej łaski.

EMILIA.

Ona zapewnia o twoim szczęściu, czegoż chcesz więcej?

ANIELA.

O moim szczęściu! A możeż bydz dla mnie szczęście bez iey miłości?

EMILIA, *na stronie.*

Jak mnie iey żal przenika!

ANIELA.

Już tedy widzę, że chce moiej śmierci... Poydę iey szukać, poydę...

VALCOURT.

Ach! zaspokoy się proszę....

ANIELA.

Day mi pokoy, zapomniy o mnie,
ty sam ieśteś przyczyną wśzystkich mo-
ich niefzczęść. (*wychodzi.*)

MELITA

Nieopuszczaymy iey w tym stanie
iak ieśt. (*Melita wychodzi za nią.*)

VALCOURT.

Nieśtety! Coż mam z sobą czynić?
(*wychodzi*)

S C E N A VIII.

EMILIA, *sama.*

JA boleję nad nią, iey stan mocno
mnie obchodzi. . . . Ale Celanio, o
Celanio! . . . Boże! coż to za koniec
będzie tego wśzystkiego? Ja nie poy-
muję. . . .

S C E N A IX.

EMILIA, MARGRAF.

MARGRAF, *biegąc z pośpiechem.*

ACh! Mościa Dobr. widzisz mię w
wielkim pomieszaniu. . . .

EMILIA.

Coż W. Panu?

MARGRAF.

Byłem przytomny Scenie; która mi serce zraniła.

EMILIA.

Wytłomacz się proszę.

MARGRAF.

Muszę ci nayprzód obiawić moje czucia sekretne... kocham....

EMILIA.

Aniele?

MARGRAF.

Nie, Celanią adoruję.

EMILIA.

W. Pan?

MARGRAF.

Nie idąc tylko za moją skłonnością, utworzyłem się z nią w oczach iey.

EMILIA.

I coż! iakże ci odpowiedziała?

MARGRAF.

Z wyznaniem szczerem o stanie serca swego. Zważ W. Pani, zważ co moje było za podziwienie.

EMILIA.

Znam ia w tej mierze iey otwar-
tość.

MARGRAF.

Ach! obym był godnym zaufania tak wspaniałego i czułego! Zasługiwać będę przynajmniej na szacunek i przyjaźń, którą mi okazała... Ach Mościa Dobr. iak ona iest biedna!

EMILIA.

Stało się zadowolyc żądanom Melity. Wiedz o tym że ona iedna iest wśzystkiego przyczyną...

MARGRAF.

Znam ia ią Mościa Pani, i podobno lepiej od ciebie.... Łatwo dociekam końca tych wśzystkich wybiegow. Aniela i Valcourt stali się ofiarą swoiey nieroztropności i łatwowierzeniu; wciągnieni przez nią w nieprzyzwoite kroki....

EMILIA.

Powiedź mi proszę, iaki iest cel Melity, ktoregoś dociekl?

MARGRAF.

Nie warta ona tego, abym go przed tobą zamilczał... Nieśtety! Mościa Pani, dopatrzyła w sercu moim, i...

EMILIA.

Ona cię kochała?

MARGRAF.

Sądzę przynajmniej, że tak rozumiała, albo raczy mówiąc, że miała ambycją i próżność kochania. Chcąc usprawiedliwić naszych młodych kochanków, chciałem odkryć Celanii i ten sekret, i tę czarność Melity, ale wprzód miałem się z tobą naradzić.

EMILIA.

Nie, bynajmniej, to doniesienie nie uczyniło by żadnego skutku pomyslnego. Celania dobrze jest przekonana o złości Melity, ale dla tego nie wyłączyła od niej i swoiey Corki. Procz tego, my nie wiemy wszystkich okoliczności, które ją mogą usprawiedliwiać. Ona sama zapewne straciła onych osnowę, a choćby wiedziała i pamiętała o nich, czyliżby iej wierzono na iej słowa? Potrzeba dowodów iasných i przekonywających na zaspokoienie Celanii. Ona jest bardzo rozgniewana, bardzo zaintrygowana.

MARGRAF.

Pomimo iej gniewu można iednak zawsze widzieć w niej przywiązanie

nadzwyczajne do Anieli. Valcourt choć jest tak od niey kochany, sto razy mniej iednak ją zatrudnia, niż ona.

EMILIA.

Ach! nie wątpiy o tym, miłość w nim panująca jest ku iey corce! Gdyby można było znaleźć iaki śr zadek do przekonania iey, że niestraciła iego ferca, wnetbyś ją wyrzał...

MARGRAF.

Ztym wszystkim, coż W. Pani chcesz aby Aniela więcej uczyniła? Jey powolność nie ma granic, odstępuje swey miłości.

EMILIA.

Wszystko to mówię ci, nic nie znaczy. Celania zacięta, niechce nic widzieć w iey postępkach, tylko zmyślenie. Wiem ją dobrze, mówi ona, że nie przyjmę ofiary, którą czynić dla mnie zdaie się; cała ta mniemana wspaniałość jest igrazką i fałszem. Otoż takie są iey mniemania.

MARGRAF.

Coż tedy robić? Ach Mościa Dobr. szukaymy iakiego sposobu do zaspo-

koienia żalu, który ją pognębia; stan iey iest bardzo gwałtowny; nie wytrzyma. . . . Ja mogę znieść mężnie stratę wszelkich mych nadziei, ale patrzeć na nią cierpiącą nie mogę.

EMILIA.

Przychodzi mi na myśl sposob osobliwszy. Melita W. Pana kocha. Trzeba by. . . . Celania zapewne ci powiedziała, co umyśliła uczynić z swoją Corką.

MARGRAF.

Tak iest, z niczym się nie ukryła.

EMILIA.

Jeżeli mi chcesz dopomodź, jeżeli szczerze kochasz Celanią, możemy na wzajem ułożyć intrygę osobliwą i wcale nową; gdyż jeżeli się uda, przywrociemy ci nocie spokoynosc, a zlosć ukarzemy.

MARGRAF.

Rządź mną Mościa Dobrodziko, tobie się oddaie zupełnie. O iakbym był szczęśliwy, gdybym mnie poświęcając, mógł przywrocic tu spokoynosc i szczęście!

EMILIA.

Rzecz cała w głowie moiej nie jest
jeszcze ułożona. Ale poydź za mną
do pokoju, naradziemy się bezpie-
cznie, gdzie nam nikt nie przeszkodzi.
(wychodzi z Margraf za nią.)

Koniec czwartego Aktu.



AKT V.

SCENA I.

MARGRAF, EMILIA.

T *EMILIA.*
Ak tedy dobrze będzie. Czy już
masz cały układ w swoiey głowie?

MARGRAF.
I bardzo doskonale. Nic nie za-
pomnę, bądź spokojna.

EMILIA.
Nadewszystko strzeż się, aby Melita
nie powątpiewała....

MARGRAF.
Nie бой się, ma ona rozum, i dość
jest nie szczera; ale ja miłość własna
zaślepi, a ja użyję wszelkich obro-
tów, iakie tylko uczynić zdołam. Co
Aniela i Valcourt łatwo mi uwierzą,
bo nie wiedzą o moiey miłości.

EMILIA.
Spodziewam się, że wszystko poy-
dzie po naszej chęci. Nasi młodzi

kochankowi wcale się nie spodziewaia.
iaka im zagramy rolę.

MARGRAF.

Ale jeżeli ich postępek zawiedzie
nasze oczêkiwanie?

EMILIA.

To będzie zawsze sekretem między
nami. Nigdy Celania o nim wiedzieć
nie będzie, i rzeczy zostaną iak są.
Więc nic nie stracimy. Ja trzymam
dobrze po Anieli, Brata mego także
znam dobrze, on iest czuły i wspa-
niały, obaczysz że się opierać nie
będą.

MARGRAF.

Ale Valcourt zechce dziś wyiechać.

EMILIA.

Biorę to na siebie, że go przytrzy-
mam aż do końca, nieodstąpię go na
krok, i znajdę tyle sposobow... Sly-
szę kogoś, to podobno Celania. Ze-
gnam cię. Nie trzeba, żeby nas ra-
zem zastała. (*wychodzi.*)

MARGRAF *sam.*

Ach iakbym był szczęśliwy, gdy-
bym się mógł przyłożyć... Ale to
widzę Melita! To i dobrze, zacznij-
my od niey.

S C E N A II.

MELITA, MARGRAF.

MELITA.

O Toż iest. Zdaie się bydz pomieszany.

MARGRAF, *udając że iey nie widzi.*

Tak iest, tak, poznałem się.

MELITA.

On mnie nie widzi.

MARGRAF, *udając zawsze.*

Nie, iuż więcey nie wątpię.

MELITA.

Margrafie, wybacz że przerwę twoie myśli.

MARGRAF.

Ach! Mościa Dobrodziko.

MELITA.

Byłeś w wielkim pomieszaniu.

MARGRAF

Dobrześ mi W. Pani Dobr. powiedziała, że ia dziś oczy otworzę.

MELITA.

Ten smutek, ta zapalczywość frogą, słowem to całe zamieszanie, którego jesteśmy świadkami, pokazują ci dowodnie iey zazdrość wyuzdaną.

MARGRAF.

Tak M. Pani, wszystko mnie to oświeca, i czuję w sobie sprawiedliwą wzdargę ku tey, która na nią zasługuje.

MELITA.

Chociaż się здаie, że ią nienawidzisz, przecie ią podobno ieszcze kochasz?

MARGRAF.

Nie, bynajmniej, ona nie jest godna moiey nienawiści; ale ci się przyznam, że pragnę mocno poniżyć ią, i ukarać za iey wykręty.

MELITA.

Ach Margrafie! Należałoby, aby cię namiętność ślepa tak długo uwodziła, i aby serce twoie...

MARGRAF.

Serce moje nakoniec od niey się oderwało, i mogę go ofiarować....

MELI-

MELITA

I coż, skończże! czego się obawiaś iasniey tłomaczyć?

MARGRAF.

Daruy mi W. Pani Dobr. sprawiedliwy żal nie dozwała mi. . . . Ale teraz całe moje szczęście w ręku twoich.

MELITA.

Czy doprawdy?

MARGRAF.

Powinnaś mię zrozumieć. . . . Pozwol mi tylko, abym w ten moment więcej o tym nie mówił. Dziś w wieczor przy Celanii wytłomaczę się zupełnie. Ale przyrzecz mi iednak że nie będziesz przeciwna moim chęciom, które zamysłam.

MELITA, *na stronie.*

On chce poniżyć i zawstydzić moją współ-zalotnicę. To jest tryumf dla mnie naywiększy. (*głośno.*) Dobrze, nie nalegam więcej, tylko ci przyrzekam, że pozwolę na wszystko, czego żądać będziesz.

MARGRAF, *z radością.*

Mogęż temu wierzyć?

Teatr.

I

MELITA.

Nie wątpiy.

MARGRAF.

Ta obietnica wielce mnie cieszy.

MELITA.

Ktoś idzie, byway zdrow.

MARGRAF.

Zegnam. Pamiętaj Mościa Dobr.
 że tego wieczora będziesz sędzią mo-
 jego losu.

MELITA.

Pamiętaj jednak sam, że niechcia-
 łabym nic być winną przymusowi.

MARGRAF.

Ach wierzay mi, że ferce moje...

MELITA.

Valcourt zbliża się. Byway zdrow.
(na stronie odchodząc.) Przecież tra-
 fiłam do końca. *(wychodzi.)*

S C E N A III.

MARGRAF, VALCOURT.

VALCOURT.

Powiedziano mi Margrafie, że masz
 ze mną mówić.

MARGRAF.

Prawda, mam ci wiele rzeczy donieść, ale się boję tłumaczyć.

VALCOURT.

Ta boiaźń mnie obraża; wszak znasz moją przyiaźń.

MARGRAF.

Tac to sama przyiaźń przeszkadza mi do odkrycia serca. Byłoby dla mnie; rzeczą nieznośną zmartwić cię, onemu niepodobać się.

VALCOURT.

Zaklinam cię, abyś mi się jaśniej wytłumaczył.

MARGRAF.

Powiedź mi najprzód, czy to prawda, żeś się odrzekł twoiey miłości ku Anieli?

VALCOURT.

Zadziwia mnie to pytanie.

MARGRAF.

Jam się tego spodziewał... Ale ci się naprzykrzam.

VALCOURT.

Nie, bynajmniey, kończ.

MARGRAF.

Ale to ty masz odpowiedzieć.

VALCOURT.

Ach! . . . no to dobrze, odstąpi-
łem szczerze i bez obłudy ręki Anie-
li, i nic nie potrafi odmienić tego
ułożenia.

MARGRAF.

Czy wiedziałeś o tym, że nim
się odkryła twoja miłość, Celania mi
ją obiecywała?

VALCOURT.

Kończ. I kochałeś Anielę?

MARGRAF.

Sto razy więcej niz moje życie.

VALCOURT, *na stronie.*

Otoż ostatni cios, który mi był
nagotowany! (głośno.) Spełniaj
twoje zamyśły, bądź szczęśliwy Mar-
grafie, życzę. Jednakże nie wątpię
że wprzód poradzisz się Anieli, i
nie użyjesz wyboru Matki do przy-
muszenia oney.

MARGRAF

Czy szczerze to mówisz? i nic wie-
cey po mnie nie wyciągasz?

VALCOURT.

Daę ci słowo, byleś mi wzajemnie
dał swoje, że nie użyiecie z nią an-
gwałtu, ani podstępny. i

MARGRAF.

Czy możesz wierzyć, aby Celania przymuszała ią co wyboru mnie raczey, niż kogo innego?

VALCOURT.

Jeżeli zobligujesz Celanią, aby choć słowo wymowiła za tobą, i pokazała że chce ciebie mieć za Zięcia, to samo nazwę przymusem, gdyż powolność Anieli. . . .

MARGRAF.

Rozumiem; przyrzekam że tego nigdy nie uczynię bez wyraźnego zezwolenia samey Anieli. Czy przestajesz na tym?

VALCOURT.

Zupełnie.

MARGRAF.

Wszak jutro wyjeżdżasz; czy będziesz się widział z Aniela?

VALCOURT.

Nie, unikać będę iey przytomności i rozmowy, możesz mi zawierzyć.

MARGRAF.

Kiedy tak, nie zostaie tylko cię prosić o iedną łaskę; a iako nie wątpię o prawdzie tego, coś mi powie-

dział, tak pewny jestem że mi nie odmówisz. . . .

VALCOURT.

O coż to chodzi?

MARGRAF.

Już tedy odstępuiesz swoich zamiarów, i z Anielą widzieć się więcej nie będziesz, abyś iey to mógł oświadczyć. Więc ja po twoiej przyjaźni wyciągam, abyś mi dał Bilet do niey, o tym donoszący.

VALCOURT.

Wie ona już o moim ułożeniu.

MARGRAF.

To nie dosyć, potrzeba jeszcze, aby wiedziała coś mi pozwolił....

VALCOURT.

Ach! to jest nadto.... Ja widzę, że chcesz mnie przyprowadzić do ostatniego,

MARGRAF.

Nie unos się gniewem, i mowmy bez ogrodki. Ja nie wiem o twoich sekretach, ani o przyczynie która cię dziś przynagła do odstąpienia twych zamiarów; nie wymagam, abyś mi powiedział, ale tylko żądam o-

twartości w tym, co się ściąga do mnie. Ja ciebie kocham, i gdyby naybardziej, żadnego zayścia z tobą mieć nie będę. Jeżeli zostaiesz przy twoich zamyślach, ja odstąpię moich. Chcesz ze mnie tey ołnary? gotow iestem uczynić onę; ale jeżeli umyśliłeś nigdy nie żenić się z Anielą, jeżeli możesz zezwolić, abym twoie miejsce zastąpił, za coż masz odmawiać dowodu, ktorego wyciągam po twoiey cnocie i wspaniałości?

VALCOURT.

Na coż ci on potrzebny?

MARGRAF.

Aniela wie, że iesteśmy z sobą w przyiaźni; mogęż bydz pewny, że mnie wysłucha, gdy sądzić o mnie będzie, że iestem przyiacielem zdraдлиwym i czyniącym podstęp pod tobą. Celania nawet mogłaby o mnie toż samo rozumieć, widząc że się przy-milam iey corce; ten zaś Bilet przed iedną i przed drugą usprawiedliwiać mię będzie.

VALCOURT.

Alboż go myślisz pokazać i Celanii?

MARGRAF.

Zapewne, pod obowiązkiem że nie
okaże swej córce najmniejszej chęci
dla mnie pomyślnej.

VALCOURT.

Ale jak ma widzieć Celania ten
Bilet, kiedy chcesz, żeby był podpi-
sany do Anieli?

MARGRAF.

Zaraz ja odbiorę z rąk iey, skoro
go przeczyta.

VALCOURT, *na stronie.*

Tym sposobem Celania obaczy przy-
najmniey, że dobrowolnie czynię dla
niey ofiarę.

MARGRAF.

Na coż się rozolwuiesz?

VALCOURT.

Uczynić ci zadosyć.

MARGRAF.

Oto Stolik, i wszystko co potrze-
ba do napisania.

VALCOURT, *na stronie.*

Już tedy muszę podpisać na siebie
dekret. (*siada i pisze.*)

MARGRAF, *na stronie.*

Dokazałem co było naytrudniey-
szym, o resztę nie stoję.

VALCOURT.

(pisząc mówi do siebie na stronie.)

O iak mię każde słowo kosztuje!..
o Celanio! może też zapłaczesz nad
tym nieszczęsnym pisanem.... Może
ci otworzy oczy nad zgubionym, o
ktorym tak sądzisz niesprawiedli-
wie... Nie będziesz więcej powątpie-
wała o iego szczerości.

MARGRAF, *na stronie.*

Jak mu drży ręka. . . . żal mi
go. . . .

VALCOURT, *wstawszy.*

Masz Margrafie, może będziesz
szczęśliwszy ode mnie! Byway zdrow..
byway zdrow. *(na stronie odchodząc.)*
Już teraz bezpiecznie pozwolę mey
rozpaczy. *(wychodzi.)*

S C E N A IV.MARGRAF, *sam.*

BIEDny nieborak! . . . Jak mi go
żał! Ale muszę obaczyć co pisze.
(czyta głośno.) " Mościa Dobrodziko,

„ nie wspominam o żalu, ktorego do-
„ znaię oddalając się od niey na za-
„ wsze; opuszczam w tym mieyscu
„ gdzie ieśteś wszystko, co mi ieśt
„ miłego; poddaię się bez narzekania
„ tak okrutnemu przeznaczeniu. „
(*Margraf przerywając.*) *Opuszczam w tym*
mieyscu gdzie ieśteś wszystko. co mi ieśt
miłego Ten wyraz nie źle użyty;
spodziewa się, że Celania stosować go
będzie do siebie. Daley. (*czyta*)
„ Zapomniy o mnie iakoś powinna, i
„ ia pragnę, dla twoiego szczęścia,
„ ktore mi ieśt droższe nad moje. „
(*Margraf przerywając.*) Co to, to słu-
ży dla mnie, abym poznał iak mocno
ieśt kochanym. (*czyta.*) „ Margraf
„ d’Hercy ciebie adorne, iego wpa-
„ niałość chciała poświęcić moiey
„ dawney przyiaźni, miłość, którą
„ ma ku tobie. Lecz na cożby mi
„ się przydało wydzierać ci męża,
„ ktory wart ieśt szukać szczęśliwo-
„ ści, którą mi los odbiera bez po-
„ wrotu? Nie psuiąc mu nadziei, o-
„ wzem zachęciłem, i... „ (*tu Mar-*
graf wyczytać nie może.) i... to słowo

zmazane, muszę opuścić; coż dalej?
„ Jest, i... powodzenia, i chciałbym..
Zdać mi się że chciał wyrazić:
„ Zyczę powodzenia. „ Ale go to
słowo wiele kosztowało, i d'a tego
ciężko przeczytać. Ten list jest wy-
śmienity, i sam bym lepiej podykto-
wać nie potrafił. Otoż jest i ona, za-
pewne mi ją przysyła Emilia. Daley
muszę kończyć moje dzieło.

S C E N A V.

*ANIELA, MARGRAF.**ANIELA.*

EMILIA, którą spotkałam, powie-
działa, że mnie szukasz.

MARGRAF.

Tak jest Mościa Dobr.

ANIELA.

I coż mi W.Pan powiesz?

MARGRAF.

Chciey przeczytać ten Bilet, on
cię obiaśni lepiej, niż bym ia mógł
opowiedzieć.

ANIELA.

(*bierze Bilet, otwiera, i poznaie rękę Val-
kura.*)

Tego Biletu. . . . ia nie powin-
nam. . . .

MARGRAF.

Czytaj, czytaj M. Dobrodziko,
może nie przenikasz, co się w nim za-
wiera.

ANIELA. *czytaj pocichu.*

MARGRAF, *na stronie.*

Jak się mieni na twarzy! Ach iak
szczere i czułe wzruszenie!

ANIELA, *czytając pół głosem.*

O Boże! *owszem zachęciłem, i....*

MARGRAF.

Jest tam przy końcu słowo, kto-
rego podobno nie przeczytasz, ale to
chciał wyrazić, *życzę powodzenia.*

ANIELA.

Jużem przeczytała.

MARGRAF.

I coż M. Dobrodziko, co na to od-
powiesz?

ANIELA.

Jakto! W. Pan chcesz ferca... kto-
re sobie kto inny ziednał?

MARGRAF.

Przeszkody, które mi są nie wiadome, rozdzielaia dziś ciebie z twoim kochankiem, który cię odstępuię. Ze go iednak przekładasz nademnie, bynajmniey delikatność moja tym się nie obraża. ani miłość własna nie usterza. Miałem za sobą wybor Matki, jeżeli pochwalasz moje chęci, dosyć mi będzie do uszczęśliwienia mieć twoy szacunek i przyiaźń; znaiąc W. Pannę Dobr. dobrze, pewny iestem, że iey obowiązek...

ANIELA.

Tak iest, powiedziałam, że wola moiey Matki iest dla mnie prawem najswiętszym.

MARGRAF.

Ona ci dała ią poznać.

ANIELA.

Jeżeli pełniąc onę będę mogła odzyskać iey dobroć, gotowa iestem wszystkołożyć; gniew iey do rozpaczyny przywodzi.

MARGRAF.

Pozwala ona, abyś szła za Valkura, ale wiesz dobrze pod iaką kondycyą?

A N I E L A.

Wolę umrzeć sto razy.

M A R G R A F.

Otoż M. Dobrodziko, gdy nie możesz poyść za niego, racz przynajmniej jednym słowkiem zapewnić szczęśliwość mojego życia.

A N I E L A.

Moja Matka na to nie pozwoli. Ale nadtom się wymowiła.

M A R G R A F.

Czy tylko ta trudność ciebie wstrzymuje?

A N I E L A.

Chcę mówić z W. Panem otwarcie, i możesz mi wierzyć. Kochałam twego przyjaciela, tak jest, przyznaię się W. Panu; ale nakoniec ten wybor nierozsądny wyciągnął mnie z granic moich powinności, przywiódł mię do utraty zaufania i serca moiej Matki, muszę teraz szukać śródka między nią i nim. Niestety! bez oporu odstąpiłam go, a przecie ona moiej powinności nie przyimuje tylko za wykręt. ... Nie mam więcey sposobu....

MARGRAF.

Jeżeli W. Panna Dobr. mówisz to szczerze, iako nie wątpię, od niey famey zależy, abyś ją nakłoniła ku sobie.

ANIELA.

Ach mow, nie masz nic czegobym nie uczyniła.

MARGRAF.

Wszelkie twoie oświadczenia nigdy iey nie wyperśwadią, gdyż niechce wierzyć że są prawdziwe. Ona iutro chce iechać, więc dozwol, niech iedzie. Na Melitę złała wszelkie swoje prawa nad tobą, zaczym przyłtań, abym był twoim mężem najszczęśliwszym który cię przyimie na łono swoje.

ANIELA.

O! nieba, śmieszże mi to radzić? Jakże? bez moiey Matki, ia....

MARGRAF.

Pomniy M. Dobrodziko, że ten iest iedynie sposob bydz iey postu-szną, inaczey wiesz dobrze, że nie pozwoli; a iezeli mi odmowisz, przyznay przynajmniej, że się nie myli na twoich ułożeniach.

ANIELA.

To i dobrze ; już tedy W. Pan stanowisz moy los. Ogdybym za to odzyskać mogła iey serce i miłość !

MARGRAF.

Ale czy daiesz mi W. Panna Dóbr. słowo ?

ANIELA.

Daię. Znaż. moje sentymenta, bynaymniey cię nie zwodzę.... Możesz zaufać mojemu obowiązkowi, ale serce moje. . . .

MARGRAF.

Dosyć na tym, resztę czas ułatwi. Zegnam W. Pannę Dobr. Znać powinnaś iak ważną jest rzeczą kryć się z tym sekretem aż do wyjazdu Celanii ; gdyby się o nim dowiedziała, pomyśliła by sobie, że to jest nowym wybiegiem na uieście oney.

ANIELA.

Potrafię milczeć, a przyrzeczenia moje są nieodmienne.

MARGRAF.

Nadewszystko proszę cię, abyś przed Melitą nic nie wspominała.

ANIE-

ANIELA.

Ach! bądź spokojny.

MARGRAF.

Kontent jestem zupełnie. Zegnam cię.... Ale pozwolisz mi jeszcze upraszać o ten Bilet Valkura, jest to chluba dla mnie, którą chcę zachować abym w czasie pokazał go Celanii.

ANIELA.

Oto jest.

MARGRAF, *na stronie.*

Już tedy skończyłem moją Rolę. Muszę pójść oznaymić Emilii o pomyslnym skutku oney.

SCENA VI.

ANIELA, *sama.*

Dzięki Bogu, otoż jestem sama.... Ach cożem uczyniła? Cożem obiecała? ... Nie dosyć żem się wyrzekła mego przywiązania, potrzebaż jeszcze.... Co za wyrazy w tym okrutnym bilecie! ... A jednak on mię

Teatr.

K

kocha. Tak, pomimo tak smutnego opuszczenia, wątpić nie mogę o iego sercu.... Nie oglądam go więcej, jutro wyjeżdża. Trzeba mi było przynajmniej przez Margrafa powiedzieć.. Alboż nie mogę mu odpisać i zapewnić, że zamyślow iego nie odstąpię? Niefortunnie! zmartwi się... Ale co mnie do tego, niech czuie także, czego serce moje doznaie. (*Potrząga na stole luku wszelką gotowość do pisania*) Otoż napiszę. (*Siada i pisze, . . . przerywa sobie.*) O moja Matko! moja Matko! iakiż ci daię dowod moiego przywiązania! Do czegożeś mię przywiodła! (*pisze znowu; a potem czyta głośno.*) "Poydę za twoją radą, jużem się namyśliła. Po wyjeździe moiej Matki Margraf d'Hercy odbierze mię przy siegę, użyję na to tcy wolności nie szczęśney, którą mi zostawuie przez swoje oddalenie. Poddaię mię i poświęcając icy woli, dowiodę przynajmniej, że się nie poznała na sercu moim. Przywroci mi swoje, a ten powrot serca będzie mi bardzo potrzebny na ośłodzenie frogiego losu moie-

go. Bądź zdrow, przyimiy ośtatni dowód.. (*znowu zaczyna pisać mówiąc.*) Muszę prędzey skończyć, ażeby kto nie nadfzedł.

S C E N A VII.

CELANIA, ANIELA.

CELANIA, *w głębi Teatru.*

TO ona.... Tak nie inaczey, muszę odiechać; alebym ieszcze raz chciała z nią się widzieć. (*postępuje.*) Ona widzę pisze.

ANIELA.

(*Słyszysz szelest, obraca głowę, postrzega Matkę, krzyknie, porywa się, i chowa Bilet.*)

CELANIA.

Tyś pisała? Zkądże ten prze-
strach?

ANIELA, *drżąc.*

Zapewniam W. Panią Dobr. że nie pisałam nic interessuiącego.

CELANIA.

Pokaż mi papier któryś schowała.

ANIELA.

Niechciey się domagać, suplikuię.

CELANIA.

Ja tak chcę, słuchay się.

ANIELA, *na stronie.*

O ucisku śmiertelny! (*głośno.*)
Choćbyś miała wyrzucić na mnie cały
gniew twój, nie mogę.

CELANIA.

Jako! ty śmiesz? . . . Corko nie-
wdzięczna i nieposłuszna... Ale pra-
wda, jużes mi nic nie winna; Ja sa-
ma zerwałam wszystkie więzy, kto-
re mnie z tobą wiązały; tylko ci to
powiadam, że ta śmiałość przecho-
dzi jeszcze. . . .

ANIELA.

Moja Matko, o moja Matko! serce
moje ranisz. Na imię tej miłości
ktorej mi dałaś tyle dowodów, prze-
bog! zaniechay tej mowy która mnie
zabija.

CELANIA.

Słuchay! Obrażona, rozjątrzona do
ostatniego, uniosłam się gniewem na

ciebie, co większa, umyśliłam uciekać przed tobą, i porzucić. Wątpiłam o twoiej poprawie, o twoiej szczerości, a przynajmniej tak sobie mówiłam. Jednakże wiedząc że tu jesteś, wślapiłam, i chciałam się z tobą widzieć jeszcze. . . .

ANIELA

Jakto! tyś mnie szukała! . . . Ach moja Matko! . . . widzisz u nog twoich Corkę nieszczęsną, zlituj się nad iey rozpaczą. . . . To pewna że mnie kochasz, tak ieś kochasz, i ieżeli mnie opuścisz, żyć nie zdołasz. . . . Twoje dobrodzieystwa i moja wdzięczność, są dwa węzły, których zerwać nigdy nie potrafisz.

CELANIA.

Ty rozumiesz, że gdy cię opuszczę, gdy się oderwę od ciebie, iż nie wiem co mnie czeka? Możesz ty o mnie zapomnieć, ale ja, ale ja od momentu twego urodzenia zatrudniając się tobą, ja ktoram cię kochała, nieśtety! wprzód nim ci wiek twoy dozwolił myśleć i poznawać; ja która przez lat siedmnaście nie miałam

innych myśli i zamyśłów iak o tobie, sędzisz iż odstępuiąc ciebie, może dla mnie pozostać choć cień szczęścia i pociechy?

ANIELA.

Ach moja Matko! wroć się do swoich praw nade mną, rządz mną iak ci się podoba. Gotowa jestem słuchać cię we wszystkim z ochotą.

CELANIA.

Pokażże mi zaraz ten Bilet, z którym się jeszcze w ten moment kryiesz przede mną.

ANIELA.

Nie mój to jest sekret, o który się domagasz.

CELANIA.

A już też tego dosyć! Jako! Gdy ja ci otwieram moje serce, gdy widzisz moje przywiązanie i powolność, ty śmiesz. . . .

ANIELA.

Przebog! czegoż chcesz odemnie?

CELANIA.

Nie, bynajmniej, nie chcę więcej nic od ciebie, nie chcę i słyszeć więcej. . . . Prawda, mogłam o wszy-

śtkim zapomnieć, wszystko darować, ale to ostatecznie nieposłuszeństwo dopełnia miarki moiego zagniewania.

ANIELA.

Już dobrze, kiedy tak chcesz pozwałam.

CELANIA.

Nie ma już czasu, puść mię. (*chce odchodzić.*)

ANIELA.

Momencik. Posłuchaj mnie.

CELANIA.

Nie, bynajmniej. Już teraz wszystkie twoje usiłowania są nadaremne. (*chce wychodzić.*)

ANIELA, *biegnąc za nią.*

Moja Matko!... (*HENRYETKA nadchodzi i zatrzymuje Celanią.*) Mościa Dobry moment. I P. Margraf d'Hercy prosi aby z nią mógł mówić, nim odchodzi.

CELANIA.

Czego on chce ode mnie?

HENRYETKA.

Ja nie wiem. Powiedział, że ma coś bardzo ważnego iey powiedzieć. Melita idzie z nim. Ale otoż już są.

S C E N A VIII.

CELANIA, ANIELA, HENRTETKA,
MARGRAF, MELITA.

MARGRAF.

Daruy mi W. Pani Dobr. że przeskadzam do iey wyjazdu. Muszę iey wyiawić sekret, który mnie dotyka. Pozwól niech się ostatni raz wytłomaczę. Proszę abyś mnie słuchając zebrała iak możesz wszelką przytomność. (*do Melity.*) Powiedziałem już W. Pani Dobr., że całe moje uszczęśliwienie jest w iey ręku, nie tłomacząc się daley. Przyobiegałaś mi że się nie sprzeciwiś moim chęciom, iakie tylko bydź mogą. Otoż ie teraz chcę oświadczyć,

MELITA, *na stronie.*

Co za tryumf będzie dla mnie.

MARGRAF.

Kocham, a kocham gorąco, i W. Pani Dobr. możesz iednym słowem. . . .

MELITA.

Mow Margrafie bezpiecznie.

ANIELA, *na stronie.*

Coż on to chce mówić?

MARGRAF.

(*Do Melity wskazując na Celanią.*)

Jeymość Dobrodzika złała na nią wszelkie prawa, które miała nad swoją Cerką, a iey Siostrzenicą. Jesteś teraz Panią iey losu. Otoż to jest ona, Aniela mówię, o którą u nog twoich żebrzę.

MELITA, *na stronie.*

O nieba! coż ja słyszę?

CELANIA.

Ja nie rozumiem Margrafie....

ANIELA.

Ale M. Panie, na co odkrywać?...

MARGRAF, *do Celanii.*

Jeszcze raz powtarzam M. Dobrodziko, zbierz wszystkie twą przytomność. Po sekretney twej rozmowie z Emilią, odebrałem od niey ułożenie, które natychmiast wykonałem. Oto jest relacya całej osnowy bardzo rzetelna. Mówiłem z Valkurem, który mi najszczerzej wyznał, że

nie czyni sobie żadney nadziei; w czym, aby mnie przekonał, oto jest M. Dobrodziko list, który pisał w moich oczach, podpisany jest do Jey M. Panny Anieli, chciey go przeczytać. (*oddaie Bilet, Celania go czyta.*)

MELITA, *na stronie*

Jakże niegodziwie ze mną postąpił!

HENRYETKA, *na stronie.*

Pani Melita ma smutną minę.

— ANIELA.

Ale chciey mi W. Pan wytłomaczyć osobliwy sposób swojego postępku?

MARGRAF.

Moment cierpliwości Mościa Dobrodziko, a wszystko się odkryje.

CELANIA, *przeczytawszy Bilet.*

Ach Margrafie! już zaczynam dochodzić końca, dla któregoś to wszystko uczynił. Ale kończ.

MARGRAF.

Zyskawszy ten Bilet Mościa Dobrodziko, oddałem go Jey M. Pannie Anieli, prosząc aby była czułą na moje ku niej przywiązanie; ta chcąc bydz powolną na rozkazy Matki i

onę przeprosić, na wszystko zezwoliła. Umowiliśmy się więc czekać poki nie wyedziesz, a na ten czas miałem przypomnieć Melicie deklaracją którą mi uczyniła, że się nie będzie sprzeciwiać mojemu szczęściu.

CELANIA.

Czy to podobna?

MARGRAF.

Tak jest, to jest szczerą prawdą. Ja z J. Panną Anielą przyrzekliśmy sobie ukryć przed tobą tę intrygę, bojąc się abyś nie rozumiała, że icy posuszeństwo nie jest szczerem....

CELANIA.

O wielki Boże! co za sentymenta niezwyuczayne!... Lecz, coż widzę?



S C E N A . IX.

CELANIA, ANIELA, HENRTETKA,
MARGRAF, MELITA, EMILIA,
VALCOURT.

EMILIA.

NO, moy Braciszku idźmy, iakże
się opierasz!

VALCOURT

Ale czego chcesz? Na co mnie cią-
gniesz poniewolnie?

EMILIA.

Grzeczności po tobie wyciągam.

CELANIA.

Ach moja kochana przyjaciółko!
czegożem się to dowiedziała?

EMILIA.

Poczekay troche i ia potrzebna ie-
stem do wyłuszczenia tey osobliwo-
ści. Przychodzę zapewnić cię o pra-
wdzie tego wszystkiego co ci Mar-
graf powiedział, i przydać żęśmy tę

całą rzecz między sobą ułożyli, że twoja Corka zwiedziona wcale naszym niewinnym podstępem w momencie rozmyśliła się, że moy Brat... słowem że iestes Matką i przyiaciołką naymilszą.

CELANIA.

Ach moia Corko! a ow Bilet?

ANIELA, *wymuiąc go z kieszeni.*

Oto iest.

CELANIA, *wziąwszy czyta.*

VALCOURT.

Czy fen? czy omamienie?

MELITA, *na stronie.*

Mamże znieść tak okrutny affront?

CELANIA.

(rzucając się na łono Corki.)

Moie dziecię, a iam cię obwiniała!... Ach przyiaciele moi, wyście mi powrocili moją Corkę.

ANIELA.

Mama, iuż mi więc darujesz?

CELANIA.

Mogłamże wątpić o twoim sercu! ach ia sama iestem winna.

HENRYETKA.

Nic tego nie poymuię.

EMILIA, *do Melity.*

Ja rozumiem, że W. Pani możesz oddać swoją Plenipotencyą, gdyż wcale iej się na nic nie przyda.

MELITA.

Cała ta Komędia ieſt bardzo dobrze grana, pochwalam dowcip Aktorow. Jadę zaraz do Paryża i opowiem wszelkie ſzczegulności; ſpodziewam ſię, że Publiczność będzie ſię miała czym zabawić na moment. (*wychodzi, i mowi na ſtronie idąc.*) Muſzę ukryć moy guiew, i wſtyd ſprawiedliwy.

SCENA X.

i Oſtatnia.

CELANIA ANIELA, HENRYETKA,
MARGRAF, EMILIA, VALCOURT.

EMILIA.

Ochodzi odkryta, doſyć zoſtała ukarałą.

CELANIA.

Zapomniemy o niey na zawsze. Ale ja iakże naprawię moje niesprawiedliwości? Nie mogę być pocieszona, poki nie ugruntuję na zawsze szczęścia dla moicy Corki. Valkur; weź ją z rąk przyjaciółki, która ci ją z chęcią oddaie. Kochacie mnie oboie, doprzeście mię o tym przekonali, na coż mi więcej; stało się zadosyć moim chęciom. Całe życie moje będzie dla was poświęcone, cieścić się będę waszym przywiązaniem, waszym szczęściem, które będzie moim.

VALCOURT.

Ach Mościa Dobrodziko! Coż ci mogę na to odpowiedzieć? Czytaj w sercu moim, możesz łatwo pojąć co czuie.

ANIELA.

Już tedy Mama ciebie odzyskuje!
Ach życie mi przywracaś! (*do Emili i Margrafa.*) Jakżem wam obowiązana za wasze starania!

CELANIA.

To mnie należy im dziękować i kochać na zawsze. Niech się cieszą z swojego dzieła. Przyśtańcie, Valkur day mi swoją rękę. (*Valcourt przyśtaępuje, klęka i daje rękę, Celania bierze za rękę Anielę*) Już teraz ona do ciebie należy. Oddaję ci co mam najmilszego.... w nadgródę tego dobrodziejstwa nie odstępuj mnie nigdy; kochaj ją, bądź iey uszczęśliwieniem, a tak uczynisz zadosyć dla mnie.

VALCOURT.

U nog twoich poprzyśięgam, że żyć nie będę tylko dla ciebie, abym cię przekonał o mey wdzięczności równie, iak i o przywiązaniu; a w ten moment, gdzie mię czynisz najszczęśliwszym, chcey zawierzyć, że przyiaźń tyle przyczynia się do moiego szczęścia, ile miłość sama.

ANIELA.

(*upada do nog trzymając za rękę Celanią, która drugą ścisła Valkura.*)

Tak Mama, nigdy ciebie nieodstąpiemy, naszą będzie pierwszą powinnością

nością i najśrodkowym obowiązkiem ten czyśty i święty sentyment, którego iestęś celem ; dzieląc serca nasze pomnażać będzie nasze przywiązanie wzajemne. Nie mogę kochać tylko co tobie iest miłego , nie mogę byđź szczęśliwą tylko wraz z tobą

CELANIA, *podnosząc ich.*

O moja Corko ! o moja kochana Anielo, pierwszy i prawdziwy celu wszystkich chęci serca mego, znasz dobrze, że szczęście moje nie zależy tylko od ciebie. Sądz więc sama, sądz iezeli go mam byđź pewna ; Ja iestem wzajemnie twoim, kochaj mnie, iestże co więcey ieszcze do życzenia ?

EMILIA.

Co za widok przenikający ! (*do Margrafa.*) Otoż iest W. Pana dzieło ! Ach iak niecnotliwi oszukują się, że źle czynią ! Gdyby wiedzieli co za rokosz czynić dobrze !

MARGRAF.

To iest prawdziwe szczęście ktore napelnia duszę bez pomieszania, gdyż cnota tyle ma wdziękow, że nadgra-

Teatr.

L

dza zawsze sówicie trudy dla niey
poniesione.

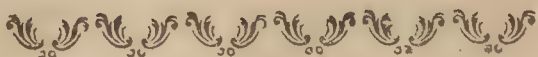
HENRYETKA.

Dalibog prawda, niech żyje cnota!
Jeden zły potrafi wszystko wzburzyć.
Dopierośmy płakali, a ikoro Melita
wyiechała, wszyscy weseli. Dla po-
koju Społeczności bogdayby wszyscy
co iey są podobni, byli nazawsze od
niey oddaleni.

Koniec piątego i Ostatniego Aktu.



A M A N T
B E Z I M I E N N Y
K O M E D Y A.



OSOBY.

LEONTYNA, *Wdówka młoda.*

DOROTA. *Przytaciolka Leontyny.*

GRAF *de* CLEMENGIS.

ROZALIA, *Pokoiowa Leontyny.*

PIKARD, *Służący Grafa.*

OFEMON, *Mędrzec stary przy Leontynie.*

JOHANKA, *Dziewczyna ze Wsi.*

KOLIN, *Parobek Amant Johanki.*

PISARZ.

*Scena w Dobrach Leontyny, o 60
mil od Paryża.*



AMANT
BEZIMIENNY,
KOMEDIA
W PIĄCIU AKTACH.

AKT I.

SCENA I.

OFEMON, *sam.*

(*Ogląda się na wszystkie strony, czy nie ma kogo. Siada, i wyjąwszy list z kieszeni mówi.*)

PIAŃTA godzina, wszyscy wyszli na spacer. Poki sam jestem, muszę przeczytać list Pana Grafa. . . . Zdać mi

się żem nic nie zapomniał z tego, eo mi rozkazuje. Obaczę. (*Dobrywa okularow i czyta, chrząka...*) “Moy po-
„ ślaniec musiał ci oddać wszystkie
„ rzeczy potrzebne na wiadomy fe-
„ styn. . . . Wierzyki i informacye
„ ściągające się do tego. Pamiętaj
„ dobrze, żebyś nie był poznany,
„ żeby Wieśniaczka umiała doskonale
„ grać swoją rolę. . . . Słowem moy
„ kochany Ofemonie, idzie tu o u-
„ szczęśliwienie życia mego. Pamię-
„ tay mówię, pod jaką kondycją u-
„ mieściłem cię przy Leontynie. „
(*przeczytałszy mówi.*) Będzie tu we
Czwartek. . . . we Czwartek, to dzi-
śnay. To właśnie dobrze, będzie kon-
tent z moiej usilności. . . . Co to za
osobliwsza rzecz to przeznaczenie!
Ja będąc poważnym Professore Ję-
zykow i Scyencyi, stałem się narzę-
dziem Intrygi miłośney, naydziwa-
cznieyszey i osobliwey! . . . Słowem
jeżeli mi się uda, szczęście dla mnie
pewne. Ale ieszcze sobie nie mogę
obiecować skutku pożądanego. Le-
ontyny głowa bardzo twarda. Wszy-

stkie moje usłowania na tym się kończą, żem ją uczynił ciekawą. To iey wychowanie Paryskie mało mi wszystkiego nie popsuło. . . . Co za kobieta ofobliwsza! co za stałość! co za upor przy swoich ułożeniach!.. Ale cicho, ktoś idzie.

SCENA II.

ROZALIA, OFEMON.

ROZALIA.

ACH! M. Panie Ofemon, przychodzę ci oznaymić nowinę bardzo pocieszną. Pan Graf de Clemengis, twoy dawny uczen iedzie; już iest iego kuryer.

OFEMON.

Bardzo dobrze, wielce mnie zadziwiasz. Zdawało się że wcale zapomniał o Leontynie. Od ośmiu miesięcy iakieśmy go nie widzieli; nie wiem czy choć raz pisał do niey.

ROZALIA.

Ta niedbałość tym jest dziwniejsza ztąd, że go Jeymość zawsze poważała, ieszcze nim — Wdową została. On iey wielkie przyślugi uczynił, gdyż będąc w ścisłej przyiaźni z iey mężem nie raz ich pogodził. Jeymość wiele dla niego zachowała wdzięczności, powtarzając często, że to jest ieden człowiek, którego szacuję, a ztąd naybardziej, że się nigdy w niey nie kochał.

OFEMON.

To bardzo dobrze czynił, gdyż wiesz, iak Leontyna owdowiawszy obeszła się z temi, którzy się o nią starali.

ROZALIA.

Och to prawda, że do zamęścia wstąpiła ma wielki. Jakoż stał się w iey osobie. Ona poszła za swego Amanta, którego sobie między tysiącem innych wybrała, i wiesz iak była za nim nieszczęśliwa. Słuchaj tedy, to niemaż nic dziwnego, że ona sparzywszy się na iednym, teraz jest ostrożna.

OFEMON.

A potym że ona nic nie lubi, iest ładna, młoda, bogata, wolna, gustu dobrego. Niepotrzebuie tylko Xiążek, Muzyki, i niepodległości. Byłaby szalona, gdyby miała iść drugi raz za mąż. Upewniam cię, że Graf potrafi dobrze utrzymać w niej te sentymenta. Jest to człowiek, który się brzydzi ożenieniem, i bardzo iest dalekim od kobiet.

ROZALIA.

Ale to iest szpetnie, żeś go napoił takimi sentymentami.

OFEMON.

Ach dla Boga! Jam się do tego nic nie przyłożył; on się takim urodził, surowy, pogardzający miłością, i dziki z charakteru i ułożenia.

ROZALIA.

Otoż nam właśnie takiego potrzeba. Moia Pani unika wszelkich fetow i przymilenia. Daleka od świata, od swych Amantow, o sześćdziesiąt mil od Paryża, sama iedna z swoją przyjaciółką Dorotą, iak tylko tu stanęła, zaraz powiedziała, że tylko iednemu

Grafowi może pozwolić, aby się z nią bawił sam na sam. Co do mnie od ośmiu dni iak tu iesteśmy na tęg o-fobności, umieram z tęsknoty, bardzo żaluę tęg czeredy okazałej, którą Leontyna była otoczoną, a ofobliwie tego Amanta ofobliwzszego, tego Swiatownisła, tego... Ach dla Boga powiedzże, iakeś go nazywał?

OFEMON. *uśmiechając się.*

A! naszego Sylfa.

ROZALIA.

Tak, tak Sylfa!... Sylfa. Jak piękne imie! Ach iakbym ia kochała Sylfa, ia.... Ale iak spłoszony biedny nieborak! Czy nie przyiedzie on tu za nami? Jabym go chciała....

OFEMON.

Oy nie przyiedzie; przez oddalenie Leontyny stracił wszelką nadzieję

ROZALIA.

Jak ia go żaluę!

OFEMON.

A ia bynaymniey, to dziwak. Ale ale, oto iuż godzina, w ktorey Leon-

tyna ma powrócić ze spaceru na czytanie, muszę pójść do niej. Byway zdrowa. (*wychodzi.*)

SCENA III.

ROZALIA, *sama.*

TO dobry człowiek ten uczony Ofemon. On mówi iak nie swoy, iest zimney krwi, i ma w sobie śmieszna iakaś powagę. Gdyby nie bawił moiey Pani spekulacyą i naukami, lubiłabym go. Ale ktoś idzie, ach! to Pikard. Tym lepiey, iuż dawnom z nim gadała do woli, teraz sobie nadgrodzę.

SCENA IV.

ROZALIA, PIKARD.

PIKARD.
PRZEcież cię znalazłem. Już od godziny ciebie szukam. Ale Rozalio

powiedz mi, coż to tu za przygotowania czynią? Widziałem skrzypicelow, gotowość do tańcow, i pełny dziedziniec Dziewcząt wiejskich.

ROZALIA.

To wesele. Johanka i Kolin pokochali się. Byli oni pasterzami, nayubożsi z całej wsi. Jeymość czuła i dobroczynna wyposaża ich i żeni tego wieczora.

PIKARD.

Jakto! nie obraża ią widok wesela? Powiadano mi, że umyślnie przyjechała do tych Dobr, unikając swoich Amantow.

ROZALIA.

Nic prawdziwszego moy biedny Pikardzie.

PIKARD.

Właśnie moy Pan dziś tu będzie znaydował się do iey gustu. Będą mieli obszerną materyą do mowienia o miłości i zameściu.

ROZALIA.

Czy wiesz o naszej historyi?

PIKARD.

O iakiej historyi?

ROZALIA.

O naszym Amancie niewidzianym...
bezimiennym. . . .

PIKARD.

Ja ! nie ; słyshałem coś troche. . . .
Przyjechałem.

ROZALIA.

Otoż tak, słuchayno, ona jest ciekawa. Będzie temu blisko ośm miesięcy, w czasie odjazdu twego Pana, na początku zimy, w miesiąc potym iak pocziwy Ofemon przywiązał się do nas. . . .

PIKARD.

Ale dla Boga, porzuć twoje Epoki, a przystąp do rzeczy, ia nie stoię o datę.

ROZALIA.

Już dobrze, w ten czas Leontyna odebrała list bezimienny. . . . Czy wiesz co to list bezimienny ?

PIKARD.

Tak, tak właśnie.

ROZALIA.

To dobrze, otoż ten list był miłośny. . . . Było w nim pełno, miłość. . . . szacunek. . . . że. . . . Imaginujesz sobie ? . . .

PIKARD.

Zapewne. Daymy' pokoy listowi.
Coż potym?

ROZALIA.

Takich listow odebrała pięć lub
sześć.

PIKARD.

Ten bezimienny był wielkim Pifar-
rzem.

ROZALIA.

A potym co Wierszy, co Piosne-
czek! Och między inżemi nauczyłam
się iedney bardzo ładney, nie wiem
czy teraz będę ją umiała.

PIKARD.

Słowem. . . .

ROZALIA.

Słowem, codzien zrzadzał iakaś
awanturę nową, iuż Muzykę, iuż
Fety. . . .

PIKARD.

Fety bezimienne?

ROZALIA.

Zapewne, koncerty pod iey okna-
mi, na promenadzie.... Wszak wiesz
że miała dom w lafku *de Boulogne*,
•toż co wieczora były śpiewania ro-

skoszone, Faierwerki, z iey Cyfrą i imieniem wszędzie wyrytym, nie masz drzewa, na których by nie było wierzy i wyrazow misternych.

PIKARD.

I nigdy Leontyna dociec nie mogła przez kogo to było?

ROZALIA.

Nigdy, i upewniam cię, że nic nie opuściła na docieczenie. Ten nieznaiomy aż dla mnie rozciągnął swoje przyślugi. Więcej niż trzydzieści razy znalazłam w moim pokoju, Suknie, kleynociki, i rozmaite prezenta; patrzajno oto i ten pierścionek jest od niego.

PIKARD.

Co u diabła! to kosztowny; i iakże to nie można się było domysleć?...

ROZALIA.

Leontyna daremnie sobie głowę fuszyła; zrazu podeyrzenie padło na wszystkich, ktorzy z nią na ten czas byli w kompanii, a potem sobie mówiła; „ten nie ma na to głowy, ow „jest nadto nudny i niedyskretny, „tam ten wcale się nie kocha. „ . . .

Nakoniec po długim namyśleniu i badaniu wyperśwadowała sobie, że nigdy nie znała i nie widziała tego Amanta osobliwszego.

PIKARD.

Jakże ona mogła tak głowę zawrócić?

ROZALIA.

Och, on ją znał z reputacyi, może też ją widział na Komedjach, Operach, może z nią gadał kiedy na Balu... otoż jest cośmy rozumiały.

PIKARD.

I to już trwa od ośmiu miesięcy?

ROZALIA.

Jeszczeby i dotąd trwało, gdyby się tu była nie zakopała.

PIKARD.

To coż jest w tym osobliwszego. Mnie się zdaie że to jest Czarownik.

ROZALIA.

I pfe, powiedz raczey że duch.... Jeszcze Sylf, to może... Ale wzajemnie powiedź mi, cóście wy robili przez tak długi czas niebytności?

PIKARD

PIKARD.

O! moja historia nie będzie tak piękna, jak twoja. Nayprzod moy Pan trzy miesiące bawił u swego Regimentu, potym siedział w swoich Dobrach w Pikardyi. Tam nie widział nikogo, piśał przez cały dzień, a potym czasem porwawszy się wyfzedł sam, i nie powracał, aż w ośm lub dzieśięć dni.

ROZALIA.

Jakto! sam?

PIKARD.

Wcale sam.

ROZALIA.

Co za chimera!

PIKARD.

To się zowie bydź Filozofem.

ROZALIA.

To szkoda, będąc tak piękney urody, tak przyjemnych obyczajow, tak dystryngwowanym. . . Ale cicho, uciszmy się. Otoż moja Pani i Dorota.



S C E N A V.

ROZÁLIA, PIKÁRD, LEONTYNA,
DOROTA.

LEONTYNA.

ROZALIO, czy Suknia dla Johanki już zrobiona? Czy dobrze na niey leży? Proszę żebyś ją ubierała.

ROZALIA.

Jeymość Dobr. będzie kontenta.

DOROTA.

A Johanka iefzcze bardziej.

ROZALIA.

Och! ona szaleie z radości. Musi to byđ rzeczą bardzo piękną to zamęście?

LEONTYNA, *na stronie.*

Ale twoy Pan nie przyieżdża?

PIKÁRD

W rzeczy famey ma tu byđ.

LEONTYNA.

Poydź Rozalio, powiedź Johance, że iey intercyzę podpiszę za godzinę.
(*Rozalia i Pikard wychodzą.*)

SCENA VI.

LEONTYNA, DOROTA.

LEONTYNA.

TO wesele bardzo mnie kontentuje.
Jak jest rzecz słodka czynić dobrze!
Ale iednakże żałuję tego, że tak
łatwo zezwoliła na związek tych
dwóch osób, które mi potym podobno
nie będą za to obligowane.

DOROTA.

Ach dla Boga! Zawsze iedne my-
śli, i wszystko do siebie obracasz.
Ale czy jest słuszną czynić sobie
wnioski tak powszechnie?

LEONTYNA.

Kochałam, byłam kochana, a prze-
cie wiesz iaki moy los był!

DOROTA.

Kochałaś z wielką delikatnością i
chucią. Podeyzrzliwa, popędliwa,
niepokojna, sama sobie czynisz ży-
cie nieszczęśliwe.

LEONTYNA.

Musiłam się kontentować przyjacielem. Widziałam codzien jego usilności zmniejszone, przywiązanie nie żywe i omdlałe po tak gorącej miłości. Bez powodu zazdrości, bez przyczyny pozorncy stałam się gniewliwą, bom się znalazła godną politowania. W krotce stałam się naprzykrzoną i nie miłą. Obruszyłam się, gdy mi śmiano rozkazywać z góry, gniew, zaciętość złączyły się z miłością nieukontentowaną, a odtąd już nieznałam granic. Gdyby nie Graf, wiesz dobrze, do jakich ostateczności byłabym przyszła. Słowem zostałam znienawidzona. . . . O smutne wspomnienie owych czasów okropnych niezgody i wymówek wzajemnych!

DOROTA.

Gdybyś była wzajemnie kochaną, iakażby szczęśliwość wyrownała twoiej?

LEONTYNA.

Toż to jest co było rzeczą niepodobną. Kochał on mnie swoim spo-

fobem, iak Mężczyźni zwykli kochać, niedbając o mnie, wylewając się na wszelkie próżne roztargnienia, które go odrywały odemnie. Nie miałam procz iednego interessu, procz iednego celu, procz iedney myśli nad niego. Ach! co moje było za szaleństwo czekać i wyciągać powrotu, na który człowiek nayszczulszy nie mógłby nigdy zezwolić.

DOROTA.

Otoż iest mniemanie, któremu ia się przeciwię. Zgadza się, że on nie miał duszy dość delikatney, dość przywiązanej iak twoia, ale wierz mi, że są podobne. Sądziś o ludziach z uprzedzeniem. Alboż na to nam czułość iest dana, abyśmy czyniły niewdzięcznych? Nie, to bydź nie może. Naprzykład, czy rozumiesz że ten nieznajomy, który cię ścigał tak dawno, nie iest zdolny stałości, delikatności, i miłości nadzwyczajney?

LEONTYNA.

Ta pochwała iest zbyteczna.

DOROTA.

Byłoby niesprawiedliwością nie przyznać mu oney. Zastanow się nad jego postępowaniem. On ci oświadcza, że cię kocha od lat ośmiu, nie śmie się z tym odezwać, aż we dwa roky iak zołtałaś wdową. Nayprzód ufzanował twoią cnotę, potym twoy żał; co za przystoyność, co za uczciwość! Nakoniec poczał czynić swoje przyślugi; ale pomiarkowawszy żeś była daleka od nowych związkow, oświadcza się przed tobą, iż ieśt bez nadziei, że umyślił nigdy się nie obiawiać, i że szczęście które ma z tobą mowić o swym przywiązaniu, potrafi nadgrodzić wszelkie umartwienia, któreś mu sprawiła. Przyday do tego wszelkie grzeczności, przymilenia, i zatrudnienie ustatwiczne i tak stałe o tobie iedney. Prawdziwie ia ci się wydziwić nie mogę, iak możesz bydz zimną na to wszystko; gdyby tak na mnie, czuie iżby iuż dawno ciekawość przewiodła do chęci żywszych i gwałtowniejszych.

LEONTYNA.

Kto, iabym miała kochać ieszcze? Ach samo wspomnienie przywodzi na myśl nieszczęścia przez czas iuż zatar-te, zdaie mi się, że na nowo otwie-ra rany w sercu moim. To serce smu-tne i wyniszczone wyrzeka się na za-wsze sentymentu, który nie iełt stwo-rzony dla niego. Mam lat dwadzie-ścia pięć, iełtem wolną, chcę zach-o-wać przynaymniey ten zysk dla siebie, który mi pozostaie, a nadgrode- fzczeńcia, które iełt szczerą chimera, chcę szukać w pokoiu, i onego ieżeli można używać.

DOROTA.

I tyż to tak mowisz? Od półtora roku nigdym cię nie widziała tak niespokoiną iak teraz. Ponury smu-tek skrycie pożera twe serce, twóia dusza czynna i żywa potrzebuie gwał-townego sentymentu. To głębokie schronienie, w którym się załozysz, każe mi się lękać o ciebie. Nie dzie-w tobie pomnżać pa-śli, które należałoby roz- osobności i zła przynie- koy, a nie szukać w nie-

LEONTYNA.

To miejsce mi się podoba, to mieszkankie dzikie, bez wytworu bardzo mi przyśtoi. Lubię te skały, które nas otaczają, zdają się być dla mnie mieszkaniem niedostępnym. O gdybym w nim na zawsze była zapomniana; iak ja tego żądam!

DOROTA.

Otoż myśli wcale wesołe! Kobieta naypiękniejszy w całym Paryżu, zamknięta w starym Zamku murem opasanym, chce w nim mieszkać całe życie!.. Co do mnie, nie mam ja upodobania w skałach. Przyimuję z chęcią udział twej osobności, ale nie twego oddalenia od ludzi, i przyznam ci się, że się lękam, aby odda iwszy się od świata, humor twój dziki niewypędził jeszcze i przyjaźni z mieszkanką od ciebie tak ukochanego.

LEONTYNA.

Nie, ona jedna będzie tu przyięta, dla niej tylko jestem czułą. Samo wspomnienie na Grafa w ten moment czyni mi ukontentowanie. Będę go oglądała z radością, jest to człowiek

naýgodnieyſzy i naýuczciwſzy ze
wſzyłtkich com znała. Obojętny, po-
ważny, zimny, ale pewny, przyia-
ciel gruntowny i prawdziwy, wſzy-
łtkie ma przymioty potrzebne do zie-
dnania przywiązania ſtalego.

D O R O T A .

Zdaie mi ſię żeſm ſłyſzała, iż mia-
łaś iść za niego?

L E A N T Y N A .

Prawda ieſt, miało to naſtąpić. Ja
miałam lat piętnaſcie, a on dwadzie-
ſcia trzy. Byłam ieſzcze w Kłaſztorze,
moi Rodzice życzyli go ſobie bardzo,
ſami ſię z tym oſwiadczaſi, ale on
nie chciał, powiadaiać żeſm zbyt mło-
da. Z tey wymowki żaden wſtręt nie
naſtąpił, boſmy iedno drugiego nie
znali. We dwa lata poznałam go
wyſzedłſzy na ſwiat, zaraz po moim
zamęſciu.

D O R O T A .

Po tym zdarzeniu można mu było
zawrócić głowę, aby ſię rozkochał.
Gdyby tak na mnie, byłabym może
ſkuszona.

LEONTYNA.

Ja zaś bardzom była daleka od tego ! A choćbym nawet pomyśliła , toby się było nie udało.

DOROTA.

Tak , wrzeczy samey należało ci się zemścić. Lecz mówiąc po prawdzie , bardzo żałuję , żeś za niego nie poszła , możebyś była za nim szczęśliwszą.

LEONTYNA.

Nie , zapewne , choć bym go i kochała ; Charakter tak zimny nie zgodziłby się z moim.

DOROTA.

Słowem , już tedy pozwalasz , żeby cię tu przyiaźń szukała ; a kiedy bez twego pozwolenia i miłość tu zayrzy ?

LEONTYNA.

Co za szaleństwo ! ktoż może z nią się pokazać ?

DOROTA.

Nasz nieznaiomy. . . . Ja się przed tobą nie taię , że się go codzień spodziewam.

LEONTYNA.

Sądzić należy, że go moje ułożenie
odrazi.

DOROTA

Ale gdyby się tym nie zrażał?

LEONTYNA.

Bardzobym go żałowała.

ROZALIA, *nadchodząc.*

Mościa Dobr. widziałam pojazd na
gościńcu, to zapewne iedzie JP. Graf,
ale ieszcze iest daleko.

LEONTYNA.

Nic nie szkodzi; wynidźmy prze-
ciw niemu. (*wychodząc.*)

Koniec pierwszego Aktu.



AKT II.

SCENA I.

GRAF, OFEMON.

GRAF.

JAKO ! nie ma tu Leontyny ?

OFEMON.

Posłrżżono karetę na Gościńcu i rozumiano że W. Pan iedzieisz, więc Leontyna wyszła na przeciw niemu, a żeś się puścił inną drogą, musiałeś się z nią minąć. Posłałem już ją za nią, będzie tu za moment.

GRAF.

O ! iakżem nie zręczny. Pożytku-
jąc z tego momentu pogadamy tro-
che poki iesteśmy sami. Czy już u-
czyńieś rozporządzenia potrzebne
do Festynu ? Czy pewny iesteś, że
się nie wyda ?

OFEMON.

Już Mości Dobr. bądź spokojny. Przebrałem się iakęś mi rozkazał, zmrok był dobry, i już ledwo było można doyrzeć w chałupie tych poczciwych ludzi; powiedziałem im, żem przyszedł od Doroty, która chce uczynić surpryzę Leontynie, i dla tego mocno prosiłem, aby zachowali sekret, dodając oycu i córce, iż unikając wszelkiego podeyrzenia mocno im zalecam, aby nic nie powiadali, gdyby ona przypadkiem to postrzegła. Wszystko się to stało onegdy. Festyn będzie tego wieczora. Mam ia moich Aktorow na oku tak, że oni nie wiedzą o tym.

GRAF.

A Johanka będzie umiała swoją piosneczkę?

OFEMON.

Spięwała ją wczoray przez cały dzień, każde słowo tak pamięta, iakby w piętnastym roku.

GRAF.

Muzykanci przyiechali, ukryłem ich tu w sąsiedztwie, a że używam do

nich tegoż samego człowieka, który mi już tyle razy służył, i który mię nie zna i nie widział, choćby był spytany, nie boję się, aby miał odkryć. Zdałem także na niego Faierwerk i Illuminacyą.

OFEMON.

Co tu starania, co ostrożności, co pieniędzy to wszystko W. Pana kosztuje!

GRAF.

Ach! moy Boże! iak mi żal, gdy sobie wspomnę, że odrzucił szczęście, za którym dziś z takim utrudzeniem ubiegam się!

OFEMON.

W samej rzeczy, gdybyś się był w ten czas chciał ożenić, nie doznałbyś teraz tyle kłopotów. Ale tę myśl trzeba odrzucić.

GRAF.

To prawda, ona mię do rozpacz przywodzi. Co za życie moje od lat dziesięciu! Co za pomieszania doznałem, gdym uyrzał Osobę w związkach, odemnie wzgardzoną! Byłem spokojny i szczęśliwy, poki namię

tność gwałtowna nie zmieszała mey spokojności i nie opanowała mey duszy! Będąc przyjacielem mego przeciwnika nieczułego na tyle wdziękow, zazdrościłem szczęśliwości, którey nie znał szacunku! Na dopełnienie moiego udręczenia trzeba było, aby mi Leontyna powierzała swych dolegliwości. Co za ferce w niey poznałem! co za czułość, co za delikatność! W ten czas ieszcze z rozpaczey i żalu chciałem uciekać, ale mię wstrzymała uymuiącemi słowy: (*Przyjaźń twoja jest mi potrzebna, możesz mi być użytecznym.*) Zaczynam zostałem i poświęciłem dla niey moje życie; iednakże znaiąc moją słabość, sam sobie nie dowierzałem. Broniąc ją i dając rady, powierzchownie okazywałem się bydź zimnym i surowym, nie pozwoliłem sobie użyć nawet wyrazu przyjaźni. Słuchałem iey iękow, patrzałem na łzy płynące z oczu na pozor z kamienną nieczułością. Jedno słowo, iedno mowię słowo byłoby mnie zdradziło. Jak bowiem mogłem iey powiedzieć bez

wyrazu miłości, że ubolewam nad nią, że mi iść miła? Tak zaiste, milczeć wcale, zdało mi się rzeczą daleko żnośniejszą.

OFEMON.

Ale czy W. Pan rozumiesz, iż gdybyś był Leontynie tę całą rzecz opowiedział, nie byłaby tkniętą? Nie należałoż tak uczynić, niżeli od czasu iey owdowienia, unikać przed nią i pogrązać się w kłopoty tak osobliwzey Intrygi?

GRAF.

Niestety! Jakże ieszcze jestem daleko od nadziei pomimo tego com dla niey dotąd czynił! Sam przyznaiesz w twoich liściach, że słabą masz nadzieję; zważże czy mogłem się zaraz oświadczyć?

OFEMON

To prawda, ona iść bardzo uprzedzona o Męszczynach; zdaie się rzeczą niepodobną, aby miała drugi raz poyść za mąż. Gdy ją słyszę mówiącą, rozpaczam; gdy zaś ciebie słucham, widzi mi się, że musimy swego dokazać.

GRAF

GRAF.

Trzeba nam się wystrzegać, żeby nas razem nie zastała. Ktoś idzie, pewnie. ... Nie zapomniesz o moim liście.

OFEMON.

Bądź spokojny. (*wychodzi.*)

SCENA II.

GRAF, *śam.*

ACH muszę się zaspokoić nad podeyrzeniem, które o mnie mieć może. Choćbym miał mniej roztropności, ona mnie nie poznaie. ... Muszę się z nią widzieć. ... i sam pomiarkować. ... Ale słyszę ją. ... to ona... Ach iak jestem zmieszany! Muszę się ułożyć, i powrócić do mojej skrytości.



SCENA III.

LEONTYNA, GRAF.

LEONTYNA.

PRZECieżem W. Pana znalazła. Żywa chęć oglądania ciebie, spóźniła moje ukontentowanie.

GRAF

Słyszałem o twoiej łaskawości. (na *stonie*.) Nie mogę do niej mówić, czuję w sobie zaleknienie.

LEONTYNA.

Chciałam się z tobą widzieć sam na sam, abyśmy po długim niewidzeniu mogli się z sobą pogadać do woli. Ale i tak cię widzę znużony, zfatygowany. Może potrzebniesz spoczynku? Widzę cię wcale zmienionym.

GRAF

Wiele ucierpiałem... Zdrowie mam nie najlepsze. . . . Ale oglądając W. Panią Dobr. zapominam o wszystkim.

LEONTYNA.

Jakże tedy Grafie, co mówisz na to, żeś się oddaliła od świata?

GRAF.

Ten układ może nie będzie trwał na zawsze.

LEONTYNA.

Przepraszam W. Pana, nie wiele sobie czynię w tym przykrości. Wyrzekam się związków płochych, i uciech których nigdy nie szukała.

GRAF.

Więc W. Pani Dobr. umyśliła nigdy nie wchodzić w nowe związki?

LEONTYNA.

Ach! nigdy.

GRAF.

Tym lepiej, winszuję W. Pani Dobr. . . . szczerze.

LEONTYNA.

Po śmierci mego męża codziennie mocniej w tym gruntuje się.

GRAF.

Bardzo mi kontent. Powiadano mi o jednym Amancie. . . o jakimś bezimiennym, który cię mówi kocha,

i okazuje to różnemi sposobami. . .
Mowiono mi o nim wiele rzeczy.

LEONTYNA.

Czy nie osobliwsza to Awantura?

GRAF.

A przynajmniej dziwna. U infzych kobiet byłoby to może sposobem nayspewnieyszym pozyskania serca. One lubią wszystko co jest osobliwszego, są letkomyślne, próżne! wszystko co nazywają grzecznością, iako to wierszyki, Fasty, zwykle im zawracać głowy.

LEONTYNA. *z marszem.*

Co za surowa krytyka, nic się W. Panu w nas nie podoba.

GRAF.

Ale ja W. Panią Dobr. wyłączam.

LEONTYNA

Znam ja dobrze, com powinna sądzić o tey grzeczności. . . . Ale wracając się do tego bezimiennego, z którym się tak źle obchodzisz, przyznam ci się, że on jest pierwszym z ludzi, który mi oświadcza miłość prawdziwą i delikatną.

GRAF

Ja go nie poymię. Za co się nie nazwać? Co znaczy ten sposób postępowania?

LEONTYNA, *żwawo*.

Ach! dla Boga, boiaźń nieodstępna miłości, iak sam powiada; wyiawiając się, zna dobrze iakby szkodował; nie mógłby do mnie więcej ani piśać, ani czynić przyślug, którychbym nie cierpiała.

GRAF.

Więc on jest bez nadziei?

LEONTYNA.

On sobie podchlebia, że osobliwość jego postępowania z czasem mnie zobowiąże, i że go przełożę nad innych; a nie śmiejąc sobie obiecywać że pozyska moje serce, spodziewa się przynajmniej że się odmieni moje zdanie, i to jest co powtarza we wszystkich swoich listach.

GRAF.

Jeżeli to szczerze czyni, potrzeba ubolewać nad takim szaleństwem.

LEONTYNA.

Szaleństwem!... Co za wyraz!..

Ale W. Pan masz racyą, gdyż to jest wielkie szaleństwo kochać. Mąż mój który mnie uczynił tak nieszczęśliwą, tak myślał iak i W. Pan. Byłam w oczach iego bezrozumną, byłam i w oczach W. Pana. . . . Serce czułe, ferce takie iak moje, uznałoby mnie za rozsądną.

GRAF, *na stronie.*

Czy to mnie obwinia. . . . Ale kończmy. (*głośno.*) Na koniec, już się wszystko skończyło. Bardzom z tego kontent. To ugryzienie sprawiedliwie ci się przykrzyło.

LEONTYNA.

Pokazałam że mi się nie podobało, gdyż dla tego samego tak prędkom wyiechała.

GRAF.

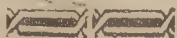
Spodziewam się, że będzie szanował twoją osobność.

LEONTYNA.

Nie wątpię o tym, owszem życzę dla iego szczęśliwości. . . Ale co nam tu powie Rozalia?

GRAF.

Ma minę zadyszaną.



SCENA IV.

LEONTYNA, GRAF, ROZALIA.

ROZALIA.

(*Biegąc z przędkością i trzymając koszyk
ustroiony kwiatami, w którym jest zwią-
zany Bukiet.*)

Ach Mościa Dobrodziko!

LEONTYNA.

Coż to masz?

ROZALIA.

To koszyk.... to Bukiet.... Zna-
lażłam go w Gabinecie W. Pani Dobr.
na Gotowalni.... Oto i list który ją
lepiej oświeci.

LEONTYNA, *biorąc list z przędkością.*

Ten sam jest charakter.... Tak, to
od niego zapewne. . . . (*otwiera list i
czyta po cichu.*)

ROZALIA.

On nas ściga. . . . Ja mówiłam do-
brze... Ach nie czuję się od radości.

GRAF.

(na stronie, przypatrując się Leontynie.)

Drży cała. . . . Czerwieni się. . . .
 Jakaż nadzieia ludzi serce moje !

LEONTYNA, *przyczytawszy.*

Poydź sobie Rozalio.

ROZALIA.

Mościa Dobr.

LEONTYNA.

Poydź sobie mowię.

ROZALIA.

*(stawia koszyk z Bukietem na stole i mowi
 odchodząc.)*

Dalibog, gdybym była na twoim
 mieyscu, nie krążyłby on tak daleko.
(wychodzi.)

SCENA V.

LEONTYNA, GRAF.

I GRAF, *po krótkim milczeniu.*
 Iakże M. Dobrodziko, jest on tu ?

LEONTYNA.

Przyznam się, że mnie to mocno
 zadziwia. . . . Na czytaj liść.

GRAF, *biorąc go.*

Muszę zobaczyć jaki styl. (*czyta*)
 „ Jazbym to miał być Mościa Dobr.
 „ dla którego uciekasz przed światem!
 „ Tak powolna miłość mogłaż
 „ ci się nie spodobać? Nie chce ona
 „ i nie wyciąga niczego; poprzyśięga
 „ że się więcej nie oświadczy i nie
 „ pokaże oczom twoim nieszczęśliwa.
 „ Jedna jest rzecz tylko, której ża-
 „ dam, to jest dowiedzieć się, jeżeli
 „ ten hołd tak czysty nie ściągnął
 „ twójego gniewu, a może i niena-
 „ wiści. „ GRAF, *przerywając.* I to
 nazywa że niczego nie żąda, nic no-
 wego nie wyciąga?

LEONTYNA.

Czy będziesz się tak zastanawiał
 nad każdym słowem? Czytaj dalej.

GRAF, *czyta.*

„ A może i nienawiści. Sposob do
 „ okazania mi tego, jest ten. Tego
 „ wieczora będzie wesele. Będziesz
 „ musiała na nim pokazać się; otoż
 „ jeżeli będziesz raczyła sobie przy-
 „ piąć ten Bukiet, który ci ofiaruję,
 „ nie podchlebiając sobie, aby moje

„ przyślugi były ci przyjemne, będzie
 „ znakiem przynajmniej że ich nie
 „ odrzucasz. Jeżeli go nie wezmiesz,
 „ poczytam to za dowód pewny
 „ wzgardy i nienawiści, a za tym
 „ skaże mnie na wygnanie i milcze-
 „ nie wieczne. Pamiętaj Pani, że
 „ łaska, o którą żebę, nic innego zna-
 „ czyć nie będzie procz dowodu nie-
 „ obojętności; gdyż to jest, na czym
 „ się kończą chęci Amanta naywier-
 „ nieyszego, powolnego, i nayprzy-
 „ wiązańszego. „ *(oddając list.)* Jak
 sztuczny wynalazek!

LEONTYNA.

Jakto sztuczny?

GRAF.

Zapewne, ten list komu innemu uczyniłby wiele zatrudnienia.

LEONTYNA, *z niecierpliwością.*

Komu innemu? Proszę W. Pana, niechciey mię wyłączać od innych kobiet. Alboż mię nie możysz chwalić bez ich pokrzywdzenia?

GRAF.

Jako! chciałabyś bydz porównaną z niemi? Bardzobyś na tym wiele straciła.

LEONTYNA.

Ten list zapewne jest zatrudniający.

GRAF.

Więc słusznie powiedziałem, że jest sztuczny.

LEONTYNA.

Ach! zapewne ten co go pisał, nie myślał w nim użyć sztuki i wybiegów.

GRAF.

Słowem, iednak cię zatrudnia.

LEONTYNA.

Jego przyślugi pewnie nie czynią mi ukontentowania żadnego, i on o tym wątpić nie może, gdyż kto kogo kocha, to przed nim nie ucieka, i w moim stanie... Ale pokazywać mu że go nienawidzę, byłoby rzeczą nieprzyzwoitą i śmiechu godną. On jest... i powinien być dla mnie rzeczą obojętną, a nadto nic więcej; co W. Pan rozumiesz?

GRAF.

Ale jeżeli mam prawdę powiedzieć, wyznam, że w jego postępowaniu znajduję płochosć obrażającą.

LEONTYNA.

Płochęć! Ach nie myślałam, aby go o nią obwiniano.

GRAF.

Jednakże pomimo wszelkiej jego uniżoności, śmie ustawicznie przed tobą gadać o swojej miłości. W każdej okoliczności z nią się popisuje, nigdy cię nie odstępnie, i wszędzie za tobą ściga, zakrada się, i kryje w miejscach gdzie przemieszkiwałeś, podgląda skrycie twoje postęпки, twoje mowy, patrzy na ciebie, i słyży mowiąc, a może i w ten moment ciebie szpieguje, i czyni sobie głupie nadzieie. Tego wieczora będzie się znaydował w gaju, do którego się schodzi wesele, bo się spodziewa ciebie oglądać przybraną w swoy Bukiet.

LEONTYNA.

Czy rozumiesz że tam będzie?

GRAF.

Oczywiście w Bilecie wyraża.

LEONTYNA.

Ale czy znasz coś dziwniejszego?

GRAF.

Ach, przyznaję, że nigdy miłość nie wyguruwała do tego stopnia. Wcale ma głowę zawróconą, on cię adoruje, i jedynym jego jesteś celem.

LEONTYNA.

To prawda, słusznie mówisz kochany Grafie, wart on jest politowania.

GRAF.

O co to, to co inszego. Nie mogę litować się nad człowiekiem, który zdaie się kochać w swych utrapieniach, których sam jest wynalazcą, i nie umie zwyciężać swej namiętności, która nigdy gory nie bierze, tylko przez naszą winę.

LEONTYNA.

Nie mów nic o miłości, bo prawdziwie nie znasz się na niej.

GRAF. *z spokojnością zmyśloną.*

Tey też nieumiejętności winienem całą spokojność życia mego.

LEONTYNA. *z roztargnieniem.*

Czy on się przebierze? czy się po-
każe? . . .

GRAF.

O kim to mówisz?

LEONTYNA, *z pomieszaniem.*

Myślałam o tym coś dopiero mówił; że ma mnie widzieć na dzisiejszym weselu. ... Bardzom ciekawa, iakim sposobem. Ja z natury iestem niezwyczajnie ciekawa. ... Co w tym naprzykład, iestem kobieta.

GRAF.

Może przyidzie przebrany po chłopku.

LEONTYNA.

O! fama mina, ułożenie, stąpienie, wszystko go wyda.

GRAF.

Może ma fizognomią pospolitą, przez co się łatwo w gminie ukryć potrafi, a możesz go iuż nie sto razy widziała, nie sądząc, aby on był.

LEONTYNA.

Jestem pewna, że go poznam między tyśiącem.

GRAF.

Ale iakim sposobem?

LEONTYNA.

Ja nie wiem, alebym się założyła.

GRAF.

Ja ci nie radzę. . . . Mogłabyś utracić.

LEONTYNA.

Powiedź mi mój kochany Grafie ,
cobys czynił na moim miejscu?

GRAF.

Co?

LEONTYNA.

Tak jest, tego wieczora.

GRAF

Nie wiem, a potym ja ciebie nie rozumiem.

LEONTYNA.

Ach! dla Boga. . . . z tym bukietem. . . .

GRAF.

Ach, ach, już zapomniałem; co w tym, nie umiem radzić, to do ciebie. . . .

LEONTYNA.

Albo rozumiesz, nie byłoby nierozsądkiem i niegrzecznością odmówić?

GRAF

Czyliż nie mówi on, że jeżeliiego bukietu nie przyjmiesz, więcej o nim nie usłyszysz? W takim razie lepiejby

bydź na godzinę niegrzeczną, chcąc się od niego uwolnić na zawsze.

LEONTYNA, *pomieszana.*

Zapewne. ... I ja jestem tego zdania. Ale mi się zdaie, nie ma tego wyraźnie w jego liście. Jednakże muszę go jeszcze odczytać i zobaczyć.

GRAF, *na stronie.*

Muszę ją zostawić; ale w ten moment iak mi jest ciężko od niey się oderwać! (głośno.) Ustąpię i ja tym czasem, gdyż mam pisać kilka listów. (na stronie odchodząc.) Ach! zaozynam oddychać. (wychodzi.)

SCENA VI.

LEONTYNA, *sama.*

(Siada przy stoliku, na którym stoi koszyk z bukietem.)

JEGO humor surowy i dziki, barziewy mi się nie podoba, iak nigdy.

Ma

Ma w sobie iakaś oschłość, która mnie od niego odraża. Przy rozumie, cnotach, i przyniotach nawet, nie jest miłym. Ach! to dla tego, że nie ma duszy czulej, nie poymie tego, iak można kochać z żywością. W iego radach jest iakaś ostrość, która oburza, a nie przekonywa. Może też on ma i prawdę. Nie potrzeba, abym się stroiła w ten Bukiet. (*Bierze go w ręce, i przypatruie się koszykowi*) Nie należy: tą powolnością ośmielać miłości nierozsądney. Co za miłość! Jak ia boleję nad biednym który iey doznaie! Otoż właśnie tak kochałam. Cała ta awantura mnie zasmuca, zadziwia, i miesza. Dziś w wieczor widzieć mnie będzie! Jest w tym pałacu, może stoi blisko mnie? (*Porywa się i obraca z zaleknieniem.*) To Dorota. Wszystko mię dziś miesza i straszy.



S C E N A VII.

LEONTYNA, DOROTA

LEONTYNA.

Poydź kochana przyjaciółko, mam ci wiele rzeczy powiedzieć.

DOROTA.

Rozalia i Graf o wszystkim mi powiedzieli.

LEONTYNA.

To dobrze, i coż mi radzisz? Ale wprzód czytaj ten list. (*podaje go, a Dorota czyta po cichu.*) Nie taię się przed tobą, że moja ciekawość jest nadzwyczajna, ale oraz lękam się, aby zezwalając na to, czego żąda, nie powziął jakich nadziei, czego sobie nie życzę. Jestem bardzo pomieszana. Racz mną kierować w tym razie.

DOROTA, *przeczytawszy.*

Jak się możesz w tym chwiać, kiedy on sam mówi, że nie uzna tey

łaski tylko za dowód obojętności? Coż na tym stracisz, gdy mu pod tą kondycją uczynisz? Nacóż go wprawiać w rozpacz niepotrzebną. Prawdziwie byłoby to okrucieństwem, którego bym ci nie darowała.

LEONTYNA.

Ale on nie przestanie czynić swoich usług, których ja unikam.

DOROTA.

Twój odjazd powinien mu być oczy otworzyć, że o te przyługi nie dbasz. Zna on dobrze, iak sobie ma w tej mierze postąpić. Nieprzydaway do tego nieszczęścia, że go nie nawidzisz; byłabyś niesprawiedliwą i nierozważną.

LEONTYNA.

Ale gdy pona że się nim nie brzydzę, będzie za mną łaził, i kochał; mamże to znosić, i utraciwszy taką sposobność oddalenia go na zawsze, mogę się potym uskarżać?

DOROTA.

Zezwalając na to czego żąda, nie obowiązujesz się w niczym. Zdaie się

że przewidział twoją boiaźń, gdyż
 sobie odpowiada wcześniej, i tłoma-
 czy się iaśnie. Nosząc ten Bukiet nie
 okażesz mu swoich chęci, tylko mu
 po prostu niby powiesz: *Ja się tobą*
nie brzydzę Jeszcze ci raz powia-
 dam, że jest rzeczą niepodobną, abyś
 go niewiaźiała. Dać mu dowód nie-
 nawiści, byłoby nieśluszną i głu-
 pstwem nie porównanym. A do tego,
 piękny projekt, odpędzić go na za-
 wsze! Połtanowiwszy go nigdy nie
 kochać, powinnaś przez wdzięczność
 starać się go poznać, i sama ciekawość
 powinna ci być powodem do oglą-
 dania końca tej Awantury tak oso-
 bliwey, i iak długo jeszcze trwać
 może.

LEONTYNA.

Wszystkom ia to myślała. Łatwo
 mnie przekonywałeś, ale on się nigdy
 nie obiawi.

DOROTA.

Ach! toż samo nie jestże cieka-
 wością, doświadczyć! Jak na mnie,
 dałabym nie wiem co, żeby go
 w ten moment widzieć mogła. Jego

listy, iego wiersze, iego postęпки, okazują dowcip, wdzięk, i miłość którey mieć nie może tylko człowiek naydelikatniejszy i naymiłszy z ludzi. Nie jestem Romanfową, i miłości nie lubię z natury, ale gdybym nie była wzruszoną i czułą na tę awanturę, musiałabym być wcale kamienną.

LEONTYNA.

Ja nie wiem czy ty lubisz miłość, ale widzę że masz głowę nadto żywą i że kochasz rzeczy osobliwe, toż samo dowodzi.

DOROTA.

Twoja krew zimna mocno mnie gniewa.

S C E N A. VIII.

LEONTYNA, DOROTA, ROZALIA,
JOHANKA, KOLIN.

ROZALIA.

Mościa Dobr. oto są, Pifarz, Johanka, i Kolin.

LEONTYNA.

Każ in wnieść.

(Rozalia wychodzi.)

DOROTA.

Uczynisz tedy ich szczęśliwemi.
Radabym żeby dziś wszyscy byli
kontenci.

LEONTYNA, *uśmiechając się.*

Dla twoiej przyślugi postaram się.

ROZALIA,

*(powraca, trzymając jedną ręką, Johanke,
a drugą Kolina, Pifarz idzie za niemi.)*

LEONTYNA.

Przystąpcie moje dzieci. I iakże
Johanko, jesteś kontenta?

JOHANKA, *klanając się.*

Ach tak, Mościa Dobr.

DOROTA.

A ty Kolinie?

KOLIN.

Oy będę dziś tańcował z całego
ferca.

LEONTYNA, *do Kolina.*

O połnocy Johanka będzie twoią
na całe życie. Wiele ona ma lat?

JOHANKA.

Siedmnaſty, Mościa Dobr. a on
ośmnaście skończy w tym Mieſiącu.

LEONTYNA, *na stronie.*

Ten wiek, ich miłość, ich ślub,
wszystko mi przywodzi na pamięć....

O Boże! co za wspomnienie.

DOROTA.

Johanka prawdziwie ładna.

ROZALIA.

To ja fryzowałam ją.

LEONTYNA.

Powiedz mi Kolinie, kto z was
oboyga lepiej kocha? Odpowiedz
szczerze.

KOLIN.

Nigdy o tym nie pomyślił.

JOHANKA.

I ja nie.

LEONTYNA.

Ale teraz?

JOHANKA.

Zarówno, nie prawda Kolinie?

KOLIN.

Poszedłbym o zakład.

JOHANKA.

Pewna jestem.

LEONTYNA.

Czy uważasz różnicę w ich odpo-
wiedzi? Ona jest pewna, nie wątpi.

DOROTA.

Ach mnie się zdaie, że i Kolin nie
złe odpowiedział do twoiey myśli....
To iest męszczyzna, musi bydź mnicy
czulszym.

LEONTYNA.

Gdzie iest Pifarz? Niech się przy-
bliży,

ROZALIA, *do Pifarza.*

Przysuń sie W. Pan. (*Pifarz poka-
zuje intercyzę Leontynie, a ona podpisuje.*)

KOLIN, *do Johanki.*

Czy widzisz ty Johanko, co ona ro-
bi? to nasz ślub. Jak ia żałuję że
nie umiem czytać! Jakbym kontent
był wytłomaczyć to pismo!

DOROTA, *do Leontyny.*

Czy uważasz co Kolin mowi? To
stanie przynaymniey za odpowiedź
Johanki.

LEONTYNA.

Idźcie moje dzieci, winszuję sobie
żem podpisała wasze szczęście, oby
było czyste i trwałe! Czckaycie na
mnie w Łasku, przyidę ia tam za go-
dzinę. (*Rozalia ich wyprowadza.*)



S C E N A IX.

LEONTYNA, DOROTA.

LEONTYNA.

BAWI mnie ich otwartość. Co za dzień dla nich szczęśliwy! kochaia się, obowiązują się kochać na zawsze; spodziewam się, że będą szczęśliwi. Szczęście, moja kochana Doroto, jest podobno tylko dla tej klasy ludzi, nam zaś go wydzierają próżne rozrywki, i fałszywe uciechy. Nie umiemy w nim smakować, oni go sami tylko używają. Szczęśliwość spokojna wkrótce nam się uprzykrzy. Chcemy ją odmieniać, ale ona od nas ucieka. Oni zaś niczym nie są roztargnieni ani omamieni. Kolin nie odstąpi swojej Johanki, tylko dla uprawy roli, po pracy zaś stanie mu się miłą i przyjemniejszą, iako dzieląca z nim wszelkie utrudzenia, będzie razem jego pociechą, towarzyszką, i przyjaciółką. Zaden inny

związek nie potrafi przeszkodzić temu złączeniu tak rokosznemu, we dwoygu tylko na świecie żyć będą; słowem zażywać mogą najwyższego szczęścia, które dla nas jest samą chimera.

DOROTA.

Otoż jest; fusz sobie głowę nad zazdrością tych biednych pasterzów, jesteś ładna, wolna, młoda, kochana, udarowana talentami natury i majątku. To prawda, Johanka tyś raz w lepszym jesteś stanie od ciebie, bo jest rozsądniejszy. ... Ach! moja kochana przyjaciółko! pokiż będziesz truć goryczą przeznaczenie twoje najświetniejszy! Więc twoje rozum, twoja czułość na nic ci się nie przyda, tylko na twoje nieszczęście? Na coż używasz tych tak drogich darów?

LEONTYNA.

Prawdziwym moim pożytkiem było serce czułe. ... Ale i to niestety napełniło życie moje ugryzieniem, na którego wspomnienie wzdrygam się. I coż! gdyby mi dawano świat cały,

abym się wrocila do pierwszego stanu,
i wyrzekla się na zawsze mych chuci,
które mnie tak udręczyły. . . .

DOROTA.

Nigdybyś nie przyięła ?

LEONTYNA.

Nie zaiste. Wzdycham na to wszystko com ucierpiała ; ale jednak mi jest dla mnie samo wspomnienie. Przypominam sobie momenta rokoszne którychem doznawała wśród moiego utrapienia, i które są sto razy szacowniejsze nad życie obojętne i spokojne. Jedno weyrzenie, iedno słowo, ieden moment nadgradza rok cały udręczenia. Prawdziwie nie żyje człowiek, kiedy nie kocha, a choć cel kochania wydarty z serca będzie, miło jest spojrzeć na ślad, który po nim został.

DOROTA.

Ale niedawno byłaś innego zdania, pragnęłaś pokoiu, przyiechałaś go tu szukać.

LEONTYNA.

Tak jest, pragnęłam. . . Ach sama sobie się przeciwie.

DOROTA.

Ale coż to ja słyżę? Muzyka, po-
fluchaymy. (*Słyżę się dale Symfonia*
zdaleka grana.)

LEONTYNA.

W tym mieyscu Muzyka?

DOROTA.

Czy domyślasz się?

ROZALIA. *biegnąc prędco.*

Ach Mościa Dobr. poydźno, poydź,
obacz.... Illuminacyą, Faierwerk....
Fetę.

LEONTYNA.

Fetę? a to za co?

ROZALIA.

Ach czy potrzebaż się o to pytać?
To nowa grzeczność bezimienitego.

LEONTYNA.

Czy to bydź może?

DOROTA.

Poydźmy, poydźmy, dowiemy
się.

LEONTYNA.

Ja nie wiem gdzie ieśtem.

DOROTA.

(*zatrzymując się i biorąc Bukiet.*)
A Bukiet?

LEONTYNA.

Nie, zostaw go moja Doroto.

DOROTA.

(*Wziąwszy Bukiet, bierze pod rękę Leontynę*)

Poydź, poydź, co tu ceremonii!

ROZALIA.

Już tedy kiedy nasz Sylf jest zawsze ten sam, nie żałuję więcej Pa-ryża. (*wychodzą.*)

Koniec Aktu drugiego.



 A K T III.

*Teatr się odmienia, i wystawia Gay
obszerny, illuminowany, i ozdo-
biony wieńcami z Roż i Cyframi
Leontyny. W pośrodku gaju jest
siedzenie z darniu przygotowane
dla Leontyny.*

S C E N A I.

JOHANKA, KOLIN.

JOHANKA.

ACH! iak zadziwiemy wszystkich!

KOLIN.

Czy umiesz dobrze twoją Piosne-
czkę?

JOHANKA.

Tę co dla naszey Pani, która nas
żeni? O umiem całą na pamięć.

KOLIN.

Jak nasza Pani grzeczna! Szkoda
że jest tak smutna.

JOHANKA.

Ach moy kochany Kolinie, wszak to ona tak od śmierci swego męża, to naturalnie.

KOLIN.

A ty Johanko, gdybyś była na iey mieyscu, czy takżebyś się smuciła?

JOHANKA.

A pfe; otoż piękna myśl w dzień wesela!

KOLIN.

Jak to! a ty płaczesz? Ach dla Boga, wybacz.

JOHANKA.

Na cożes mi tak powiedział?

KOLIN.

Ach, moja biedna kochaneczko!

JOHANKA.

No, cicho, cicho. . . . Otoż idą wszystkie Dziewki i Chłopcy ze wsi.
(Przychodzą Wiosniacy ubrani w bieli, stawiając w koło Johanki i Kolina.)

JOHANKA.

(obracając do nich mowę.)

Pani tu przyidzie. Pamiętajcie dobrze o waszych piosneczkach i tańcach, któreśmy powtarzali.

KOLIN.

Już w puł do osmey, przyidzie nie bawiąc.

JOHANKA.

Słyszę szeleśt, to zapewne ona.
(*do Wieśniaków*) Stańcie tam w głębi
gaiu. (*Ufukują się.*) Tam, tam.

S C E N A II.

JOHANKA, KOLIN, LEONTYNA,
DOROTA, ROZALIA.

LEONTYNA,

(*przybrana w Bukiet, zatrzytuje się z zadziwieniem wchodząc do Gaiu*)

COż ia widzę, co za widok nowy!

JOHANKA, *dojdzie*

Pani, oto twoie miejsce.

LEONTYNA.

Ale Johanko, kto ci powiedział?..

DOROTA.

Ale będziemy się wypytywać potym, proszę, nie mieszaymy Fety..
Gdzież to iest Graf?

ROZALIA.

Oto iest, i P. Ofemon idzie za nim.

SCE-

S C E N A III.

JOHANKA, KOLIN, LEONTYNA,
DOROTA, ROZALIA, GRAF,
OFEMON, PIKARD.

(Graf zbliża się. a widząc Leontynę przybraną w Bukiet, pokazuje znak radości, który ona bierze za zadziwienie.)

LEONTYNA, na stronie.
O iakże jestem pomieszana! z iaką miną Graf mi się przypatruie! Jak mi ten Bukiet ciąży!

GRAF, do Leontyny.

Jeżeli tu się znayduie bezimienny, musi bydz kontent.

LEONTYNA.

To Dorota przymusiła mnie koniecznie.

JOHANKA.

Już tedy, już wszyscy się zeszli, zaczynamy.

LEONTYNA

Wprzod chcę wiedzieć Johanko, za czym rozkazem. . . .

Teatr.

P

DOROTA.

Dayże pokoy proszę, teraz się przypatruj, a potym się dowiesz.

GRAF.

Jeymość Dobr. dobrze mowi. Zapewne ołtrożność tak była we wszystkim zachowana, że Johanka nic nie wie przez kogo się to dzieje, więc z tego co usłyszysz od niey, mało się dowiesz.

DOROTA.

No, usiądźmy. (*do Leontyny.*) Poydź na swoje miejsce.

LEONTYNA.

Zostańże tu przy mnie.

DOROTA.

Bardzo dobrze.

LEONTYNA.

Grafie, siadź tu. (*Siadają wszyscy troje na kanapie z darniu, Leontyna we środku. Pikard i Rozalia odstępniejszy trochę siadają na ziemi koło siebie. Ofemon sam zostaje na drugiej stronie Teatru.*)

GRAF, *na stronie.*

Jak jestem pomieszczany!

OFEMON, *na stronie.*

Dotąd wszystko idzie dobrze. Muszę uważać ułożenie Leontyny.

DOROTA.

Johanko, już możesz zaczynać!

JOHANKA.

(uderzywszy trzy razy w ręce.)

ROZALIA, do Pikarda.

Moy Boże, iak we mnie serce biie!

(Odzywa się Muzyka wiejska. Wieśniacy zaczynają tańcować, potym z tańcu biorą Johankę i Kolinę, i prowadzą przed Leontynę. Muzyka przestaje.)

DOROTA.

Co to za ukontentowanie!

PIKARD, do Rozalii.

Ja ci mówiłem, że tu muszą być Czary.

ROZALIA.

Cicho, cicho, Johanka śpiewa.

(Johanka śpiewając oddaje wieniec z kwiatów Leontynie. Chór wieśniaków na końcu każdej Strofy powtarza wiersz ostatni. Po skończonej pieśni, Muzyka zaczyna. Wieśniacy biorą się za ręce, i odchodzą tańcząc. Johanka i Kolin zostają. Pikard i Rozalia wychodzą.)

DOROTA.

Nigdy nie widziała nic piękniejszego i dowcipniejszego ułożonego:

OFEMON, *na stronie.*

Dalibog, nasze interesa nie źle idą. Leontyna wyraźnie jest pomieszana.

LEONTYNA, *na stronie.*

Zapewne on tu był zamieszany między wieśniakami.

GRAF.

Teraz wypytujemy się Johanki.

LEONTYNA.

Dobrze, Johanko odpowiedź.

GRAF.

Jeymość Dobr. chce wiedzieć, kto sprawuje ten Festyn?

JOHANKA, *do Doroty.*

Czy mogę teraz powiedzieć?

DOROTA.

Dobrze, powiedź.

JOHANKA.

I na coż! Pani ma przed oczyma osobę. . . .

LEONTYNA.

Ktoż mi go daie?

KOLIN.

Tak Mościa Dobr.

LEONTYNA.

Jak to?

DOROTA.

Otoż co nowego!

GRAF.

Obaczysz, że to ja.

JOHANKA, *pokazując na Dorotę.*
Nie, to Jeymość.

DOROTA.

Ja?

KOLIN.

W. Pani, W. Pani.

DOROTA.

To nie źle ułożno. Jakto! iam ci powiedziała? ...

JOHANKA.

Ale nie, tylkoś mi kazała powiedzieć. ...

DOROTA.

Już się domyślam reszty. Powiedz nam Johanko, iakim sposobem ia w to ieśtem wmieszana?

JOHANKA.

To było we Czwartek.

KOLIN.

Nie, w Piątek.

JOHANKA.

Ja ci mówię że we Czwartek.

KOLIN.

Ale dla Boga, to w ten czas iakęśmy powracali pod wieczor.

JOHANKA.

To było.

LEONTYNA.

Ale mniejsza o dzień, mowcie daley.

JOHANKA.

Otoż tedy we Czwartek. . . . Stara Pani przyjechała do nas.

OFFERMON, *na stronie.*

Nie tak stara,

JOHANKA.

Pytała się o mego Ojca, potym o mnie, potym o Kolia, który był tam, a potym zaprowadziła nas do naszego sadu, miała za sobą trzech ludzi.

KOLIN

Nie, czterech.

JOHANKA.

Ja bo dobrze rachowała.

KOLIN.

I ja także.

LEONTYNA.

Ale przestancie się sprzeczać.

OFEMON,

Jaka uparta bieda.

DOROTA,

No, Johanko, wróć się do swoiey
relacyi. A ty Kolinie milcz.

KOLIN.

Niech mi da mówić.

JOHANKA.

Oy nie.

KOLIN.

Ale. . . .

LEONTYNA.

Jeszcze raz mówię, skończcież,

JOHANKA.

Pani, już nie pamiętam na czym
stałam,

GRAF.

Na tym, iak stara Pani przyiechała,

JOHANKA.

Ale, ale, tak, otoż nam stara Pani
powiedziała że przyiechała od Pani
Doroty, która chce dać piękny Fe-
styn dla Jeymości Dobr. a to w wiel-
kim sekrecie, żebyśmy o tym przed-
nikim niewspominali. Potym dała mi
tę piosneczkę, potym pieniędzy, a
potym powiedziała wszystko co ma-

my czynić, potym służący którzy szli za nią oddali nam kosze pełne wienców z kwiatów. . . . przytym fukien wiele. . . , a potym stara Pani uciekła. . . . i potym. . . . i już wszystko. . . . Coż teraz mówisz Kolinie?

KOLIN.

Zapomniałaś iedney rzeczy naypiękniejszey. Zacznę ia z początku.

LEONTYNA.

Nie, bynaymniey, nie potrzeba, Dosyć tego, idźcie sobie Johanko.

DOROTA.

Idźcie moje dzieci, idźcie do wesełników. (*Odchodzą, Ofemon wychodzi także.*)

GRAF.

Ja wiedziałem dobrze, że oni o niczym nie wiedzą.

LEONTYNA.

W samey rzeczy Doroto, czy tylko nie ty?

DOROTA.

Tak, tak ia... Jakżeś zaraz nie powiarkowała, osobliwie z piosneczki? Romans pełny narzekania i

miłości... to jest oczywista... Zai-
ste, piękne wrzucasz pytania.

LEONTYNA.

Stara Kobieta. . . .

GRAF.

O! to zapewne się przebrał. . . .
Może to on, któż wie?

LEONTYNA.

Za starą Kobietę! Co za imagina-
cja!

GRAF.

Ale my nie wiemy, w jakim on jest
wieku.

LEONTYNA.

To nie podobieństwo, aby go-
można wziąć za starą Panią, zapewne
musi być młody.

DOROTA.

Jeymość prawdę mowi.

GRAF.

Byłoby to jednak bardzo zabawnie,
gdyby to był starzec iaki szalony,
co nam głowy pozawracał.

LEONTYNA.

Ja nie widzę nic w tym zabawne-
go, bardziej mi się zdaie rzeczą nie-
podobną.

G R A F.

Z tym wśzystkim iednak ta taie-
mnica zdać mi się ma sprawiedliwe
przyczyny kryć się; może albo wiek,
albo figura, albo urodzenie iego są
na przeszkodzie.

L E O N T Y N A.

Co do wieku byłoby rzeczą śmie-
chu godną sądzić, że starzec zgrzy-
biały kocha się; co do figury łatwo
się oszukać można, zwłaszcza że nie-
dł statek urody nadgrodzić może przy-
miotami rozumu; a co do urodzenia,
iego liły, iego wspaniałość, iego
połteпки, nie oznaczają czegooby
miał się wstydzić.

G R A F.

Ale gdyby był młody, urody nie
odrażający, majątku uczciwego, i
urodzenia podobnego tobie, przecie-
byś go poznała. Strawiwszy wiek,
tвой przy Dworze i na wielkim bar-
dzo świecie, mogłaś go widzieć nie
sto razy. Powiada że cię kocha od
lat ośmiu, iakże się mógł nie wydać,
widząc cię zawsze w kompaniach?
Samo spojrzenie byłoby do ciebie

przemowiło. Alboż rozumiesz że się znajdzie na świecie człowiek, aby mógł być panem nad sobą, i tak długo ukrywać miłość gwałtowną?

DOROTA.

Znał on swoją cnotę.

LEONTYNA.

On był bez żadney nadziei.

GRAF.

Jak można przyiść do tego stopnia szacunku i poszanowania dla Osoby, którey nie znamy tylko powierzchownie i z samey reputacyi? Mić cześć i karmić się skrycie chucią nieszczęsną, ukrywać ją przed oczyma ludzkiemi przez lat ośm, możeż to być rzeczą podobną i naturalną?

DOROTA.

Jednakże tak jest. Możemy tego nie poymować, ale nie możemy bynajmniej wątpić.

GRAF.

Jeżeli tak jest, prawdziwie mnie on interesuje.

LEONTYNA.

To jest pewna, że ciężko nie być ciekawą.

DOROTA.

O co mnie, to łatwo, bo ja się nie wstrzymuję, i całym sercem pragnę. On mnie rozrzewnia, on mię interesuje, i radabym żeby się tu gdzie w kacie znajdował, i mnie słyshał.

GRAF.

Nie żartuy, on jest gotow to uczynić, aniby mnie to zdziwiło, gdyby mi kto powiedział, że co do słowa słyshał naszą rozmowę.

DOROTA.

Wierzę temu, gdyż podobieństwo jest, że chciał się dowiedzieć o zdaniu Leontyny względem swego Feisty. Jabym się założyła, że on się tu gdzie ukrywa w iakiej dziurze umyślnie zrobionej. Czy widzisz to wielkie drzewo? z tyłu może wydrążone, pewna jestem. . . (do Leontyny.) Dla Boga coż ci jest! bledniejesz?

LEONTYNA.

Słabo mi. . . . cierpię bol głowy niesłychany.

DOROTA.

Trzeba się wrocić.

LEONTYNA.

I nic to, nie szkodzi wcale. . . .
Już ona mnie tak boli od dnia wczorajszego.

GRAF.

Poydźmy do pokoju.

LEONTYNA.

Owżem, wolne powietrze pomoże mi.... Dobrze mi tu, daleko lepiej, niż bydź zamkniętą w pokoju.

DOROTA.

Wracając się do tego com ci mówiła, upewniam że on tu bydź musi.... Otoż tak, nim ztąd odeydziemy, powiedz mu co grzecznego. Naprzykład, że radabyś go bardzo poznać.

LEONTYNA.

Co za szaleństwo!

GRAF.

To szaleństwo jest bardzo wesołe. No, Mościa Dobrodziko, przyśtań na to.

LEONTYNA.

Ale moy kochany Grafie nie zaśta nawiaż się.

DOROTA.

Proszę cię, moja kochana przyiaciołko.

LEONTYNA.

Prawdziwie. . . .

DOROTA.

Ale bardzo proszę, uczynźcie to dla mnie.

GRAF.

Uczyn' to dla niey. Coż tu złego?

LEONTYNA.

Ale coż chcecie, żebym powiedziała?

DOROTA.

Ze macz wielką ciekawość widzenia go. No!

LEONTYNA.

Dobrze, tak, czy już kontenci jesteście?

DOROTA.

O, to niedosyć, musisz się obrocić do drzewa i sama powiedzieć.

LEONTYNA.

Co za dziecinność! co za uprzykrzenie!

GRAF.

Otoż żebyś się nas pozbyła, mow to wciąż. Wytław sobie, iak on biedny iest niespokoinny, słuchając tey naszej sprzeczki, iak on pragnie

żebyśmy ciebie nakłonili, pewnie musi być bardzo strapiiony.

LEONTYNA.

Ale Grafie, ty jesteś dziś humoru prawdziwie wesołego. Musiała ci Dorota udzielić swej wesołości, bardzo ci ona do twarzy.

GRAF.

Chwaląc mnie chcesz się wykreść, abym zapomniał o co cię prosimy. Ale. . . .

DOROTA.

No, obroć się do drzewa.

LEONTYNA.

(Obraca się, a tym czasem Graf wysuwa się gładko, i kryje za drzewem.)

I iakże, czy tak?

DOROTA.

Tak, tak, bardzo dobrze, no, mów teraz.

LEONTYNA.

Trzeba być bardzo dobrowolną iak ja jestem.

DOROTA.

Dowiedźże tego i skończ.

LEONTYNA.

(Obraca się do drzewa.)

Potrafiłeś mię nabawić wielkiej ciekawości, i radabym cię poznać.

DOROTA.

Coż ja widzę? drzewo się rusza.

LEONTYNA.

O Nieba!

GRAF.

(wyskoczywszy szybko z za drzewa, klęka u nog Leontyny, która w pierwszym momencie zdziwienia upada na ręce Doroty.)

Poznaj na koniec tego, który cię adoruje, oto go widzisz przed sobą.

DOROTA.

Ach! czy to Graf?

LEONTYNA.

Prawdziwie rozumiałam... Nastraszyłeś mnie,

DOROTA.

Ot to wyśmienity żart, wyśmienity! Zrazu wcalem się oszukała, takem się zmieszła, żem go nie mogła poznać.

LEONTYNA, do Grafa.

Przełękłeś mnie niewypowiedzianie.

GRAF

G R A F.

Bardzo W. Panią Dobr. przepraszam, ale chciałem sztuczkę zrobić umyślnie dla Doroty, widziałem ją tak ciekawą.

DOROTA.

To bardzo ładnie, bardzo ładnie, zupełnie była ofszukana; jeszcze się śmieję iak sobie wspomnę. Ale iak grał swoją rolę, z iaką miną Amanta upadł do nog twoich! oświadczał się... wymawiając słowa... ten który cię adoruje.... Ach iak on to wymówił! prawdziwie, iakby było w rzeczy samej.

L E O N T Y N A.

Ale to już późno jest. Musimy pójść do wieczerzy. Bol głowy coraz mi się powiększa.

DOROTA.

Czy byłś we śródku drzewa? Widziałam, iak się wszystkie gałęzie zatrzęsły.

G R A F.

Nie, stałem za drzewem.

Teatr.

Q

DOROTA.

A to koncept przewyborny ! Prawdziwie , nie widziałam cię jeszcze nigdy ani tak wesołego , ani tak miłego. Założyłabym się , że musisz grać Komedya przecudownie , masz naturalną sposobność. . . .

GRAF.

Podług materyi.

DOROTA:

Tego tylko pojąć nie mogę, iakęś się nie rozśmiał, widząc nasze miny przestraszone. Gdyby tak na mnie....

LEONTYNA.

Poydźcie do stołu , poydźcie.

DOROTA, *wychodząc.*

Piękna Scena wcale !

LEONTYNA.

Bardzo jestem chora.

GRAF, *na stronie.*

Już co teraz mogę się spodziewać.

(wychodzi.)

Koniec trzeciego Aktu.



A K T IV.

*Teatr się odmienia, i prezentuje Ga-
binet Leontyny.*

S C E N A I.

LEONTYNA, *sama.*

ONI siedzą u Stołu, a iam się prze-
cie uwolniła. Nie wiem sama co mi
jest, tak smutną mam duszę. . . . Ich
wesołość była dla mnie uprzykrzoną,
osobliwie Dorota mnie gniewa. . . .
Ach! wszystko mi się dziś sprzeci-
wia. Ale ktoż tam idzie mi prze-
szkadzać?

S C E N A II.

LEONTYNA, OFEMON.

LEONTYNA.

A czy to W. Pan M. Panie Ofemon?
Czego chcesz odemnie? Ja jestem
hora, chcę zostawać sama.

Q₂

OFEMON.

Kiedy tak, to ułapię. Chciałem
W. Pani Dobr. powiedzieć iedną awan-
turkę.

LEONTYNA.

Coż to jest takiego ?

OFEMON.

I nic, to o tym bezimiennym.

LEONTYNA.

Jak to ? wytłomacz się.

OFEMON.

Niechcę Pani fatygować, opowiem
to jutro.

LEONTYNA.

To mnie gniewa. Mowże, coż się
stało ?

OFEMON.

Jeymość Dobr. jest chora, nie chcę
iey głowy zatr. dniać taką bagatelą.

LEONTYNA.

Ale M. Panie Ofemon, kiedy ja
mówię że chcę wiedzieć.

OFEMON.

To nie warto tego,

LEONTYNA.

Co za niecznośny człowiek ! Pra-
wdziwie do ostatniey niecierpli-

wości mnie przywodziś. Ja nie stoię o rzecz, która dla mnie jest obojętną, ale nie mogę znieść, gdy na ciebie nalegam, a ty odpowiadać nie chcesz.

OFEMON.

To już dobrze. Mościa Dobr. zaraz powiem; oto widziałem go.

LEONTYNA.

Tyś go widział?... kogo?

OFEMON.

Bezimiennego.

LEONTYNA.

Bezimiennego? Ale jakim sposobem? Powiedzże, skończ.

OFEMON.

Daruj mi, ale się nie mogę utrzymać od śmiechu nad żywością naturalną W. Pani Dobr. która okazuje...
(*śmieje się.*)

LEONTYNA.

Śmierci się równa.... Ach jak mnie to gniewa. Czy skończysz, jeszcze ci raz mówię, iakoś go widział?

OFEMON.

Powiedziano mi pod czas wieczery, że przyszedł człowiek, który

chce ze mną mówić w bramie Pałacowej. Nayprzód rozumiałem, że się stała iaka zwada między chłopami podczas wesela... albo bitwa iaka... albo. . . .

LEONTYNA.

Ach na co mi się przydadzą twoje rozumienia? Coż potym, pośzedłeś tam?

OFEMON.

Nie; skończyłem wieczerzę spokojnie.

LEONTYNA.

Nie byłeś tam?

OFEMON.

Byłem, ale wstawszy od stołu.

LEONTYNA.

I iakże, cożeś tam widział?

OFEMON.

Słusznego Męszczyznę, który mię wzięwszy za rękę rzekł, iż ma rzeczy ważne mi powiedzieć, i zaprowadził mnie aż na koniec ulicy. Tam przyznał się, że jest Amantem bezimennym, i że mnie zna z reputacyi, wiedząc iż mię zaszczycał twoim zaufaniem. Przerwałem mu pytając

się czy czytał ośtatnie moje Dzieło o
Chimii.

LEONTYNA.

A to właśnie było rzeczą potrze-
bną! Uważałżeś iego urodę? Jaka
fizognomia?

OFEMON.

Nie, bynajmniej; bo było bar-
dzo ciemno, choć oko wykol.
Widziałem tylko że wysoki, urodzi-
wy, wspaniały.

LEONTYNA.

A twarzy iego nie mogłeś się przy-
patrzeć? . . .

OFEMON.

O! nie, wcale.

LEONTYNA.

Czy wysoki? iakiey talii bydz
może?

OFEMON.

Zdał mi się. . . . Nie wiem iak mam
powiedzieć? .. Oto naprzykład wzro-
stu Pana Grafa; tak prawie.

LEONTYNA.

Skonczże; coż ci o mnie powie-
dział?

OFEMON.

Och! głupstwa same... że cię adoruję, że kocha, że nie żyje tylko dla ciebie.... Już i nie pamiętam.... A potym powiadał mi, że słyshał twoją rozmowę w gaju.

LEONTYNA.

Jak to! On się tam ukrywał?

OFEMON.

Tak nicinaczey. Biedny nieborak! ciesz się żeś była przybrana wiego Bukiet, a nadewszystko żeś powiedziała, że go pragniesz poznać, i dlatego wysłał mię do ciebie.

LEONTYNA.

I coż, i coż?

OFEMON.

Oto żeby ci powiedział, że twoja chęć jest dla niego prawem.

LEONTYNA.

Czy nazwał się?

OFEMON.

Nie, to jest Sekret, którego nie chce powiedzieć tylko tobie samey... Prosi aby mógł z tobą mówić sam na sam, a że nie chce od nikogo być widzianym, suplikuje abyś mu wy-

znaczyła czas o świcie o piątej godzinie.

LEONTYNA.

O piątej godzinie z rana?

OFEMON.

Tak jest, i dodaje, iż jeżeli nie zechcesz go widzieć, oddali się na zawsze i bez powrotu.

LEONTYNA.

Ale przyjmować Męszczynę o tej godzinie sam na sam?

OFEMON.

Powiada że nie powinnaś wątpić ani o jego uszanowaniu, ani o delikatności, przyrzeka nawet nie wspominać o swojej miłości, owzem pozwala, abym i ja był przytomny tej rozmowie, jeżeli tego chcesz koniecznie.

LEONTYNA.

O co tak, to co inszego, w samej rzeczy. Ale. . . . ja go niechcę widzieć wcale.

OFEMON.

Ja też to mu powiedziałem, że nigdy na to nie pozwolisz; że ta mniemana ciekawość którąś okazała, była

tylko żartem, że iego przyślugi tobie się nie podobają i przykrzą, że naostatek masz go za szalonego, który wart być oddany do domu szalonych.

LEONTYNA.

Ale poco się W. Pan wtrącaś? na co się przyda to gadanie? Kto cię prosił abyś tłumaczył moje chęci?

OFEMON.

Chciałem uleczyć iego szaleństwo, bo prawdziwie jest wielkie. Jak wziął mówić z taką żwawością, z taką wymową, z tak podniesionym głosem, że aż do serca przenikał. Już co mnie przyznam się że skruszył, i jeżeli mu odmowisz, prawdziwie boję się żeby sobie co złego nie uczynił.

LEONTYNA.

A przecie mu powiedziałeś, że iego przyślugi są mi nie miłe i obmierzłe.... Pięknieś się popisał, przywodząc do rozpaczyny niefortunego, nad którym ubolewam, i który mnie interesuje.

OFEMON.

Słowem Mościa Dobr. od ciebie zależy pocieszyć go, i przywrócić mu życie.... Czekaj on na mnie, obiecałem powrócić od ciebie z odpowiedzią.

LEONTYNA.

Wszystko co mu powiedział imieniem moim, jest ostateczną niegrzecznością i grubiaństwem. . . . Jestem nieciako obligowana naprawić ten twój postępki niesprawiedliwy, patrzajże, do czego mnie przywodziś.

OFEMON.

Stało się to prawda. Atoli gdy mu z sobą mówić nie pozwolisz, choćbym najgrzeczniejsze rzeczy mówił od ciebie, nie uwierzy.

LEONTYNA.

Byłbyś mnie uwolnił od tego zatrudnienia, gdybyś się był z nim obfzedł nie tak po grubiańsku. Dla uleczenia onego, trzeba mu było jeszcze powiedzieć, że się kocham w innym. Założyłabym się żeś może i tego nie przemilczał. Sam szalonym będąc chciałeś go leczyć. . . .

OFEMON.

O co w tey materyi nie wyraźnego nie powiedziałem, ale mu tylko dałem do zrozumienia.

LEONTYNA.

Może się mylę; ale naprzykład czy to jest rzecz do pojęcia? Ja jestem w gniewie, w pomieszaniu. . . . Zapewne pięknaś mu o mnie uczynił opinią. On rozumie że ja nim gardzę, że go nienawidzę, że go wyśmiewam, że jest celem moich żartów, i że mam Amanta któremu w sekrecie sprzyjam.

OFEMON.

Ale pozwól W. Pani Dobr. ja mu tego nie powiedziałem, i nawet gdy mnie się wypytywał, kogo bardziej lubisz, ja mu odpowiedziałem, że nie wiem doskonale.

LEONTYNA.

Ach! ledwie się upamiętać mogę, w ostatnicy jestem złości. . . . On nie widzi u mnie tylko Grafa, będzie zapewne rozumiał, że jest skrytym moim Amantem.

OFEMON.

Coś mi on w tej mierze namienił,
ale uczynilem się głuchym.

LEONTYNA.

Idź do niego, idź nietrawiąc czasu,
bo mnie wiele interessuje moja sława,
moy honor, abym go wyprowadziła
z błędu.... Powiedz mu niech przy-
dzie o piątej godzinie dla widzenia
się ze mną. . . . Otoż jest do czego
mnie przywiodłeś! Ten to jest sku-
tek rzadkiej twojej roztropności!

OFEMON.

Idę go szukać.

LEONTYNA.

Poczekay. Przykazuje ci, ażebyś
słowa przed nikim nie mówił co się
stało.

OFEMON.

Znam że jestem niezręczny, i nie-
sprawny, ale co do zachowania se-
kretu. . . .

LEONTYNA.

Idź, idź, zostaw mię.

OFEMON, *na stronie odchodząc.*

Muszę donieść piękną nowinę.

(wychodzi.)

SCENA III.

LEONTYNA *jama.*

I iakże ! będę go widziała ? zezwalam na to ? Ach ! cożem uczyniła ? Wszak to wyśłałam po niego ! Coż on sobie pomyśli o postępku moim tak przeciwnym dotąd memu ułożeniu ? Co za wstyd dla mnie ? Ale z drugiej strony , wprowadzić go w rozpacz , niechcieć go poznać , wyrzec się onego na zawsze , coż mnie z tego wszystkiego ? o Boże ! Zkąd pochodzi , że się do niego tak interesuję ? Nim się tylko zatrudniam , o nim tylko myślę Przez jaką fatalność ten nieznajomy ? ach ! nieśmiem szperać w sercu moim Ale nie , co za bojaźń nadzwyczajna ! ośbliwość tej Awantury , ciekawość , a podobno i próżność , te są pewnie przyczyny moiego pomieszania . Ktoś idzie , jeżeli Ofemon , to się już z nim widział , powie mi . . . O ! Nieba , to Dorota z Grafem . Co za naprzykrzenie !

S C E N A IV.

LEONTYNA, DOROTA, GRAF.

GRAF.

PRZYszliśmy dowiedzieć się o twoim zdrowiu.

DOROTA.

I iakże! czy już minęła migrena?

LEONTYNA.

Muszę się położyć, bardzo potrzebuję spoczynku.

DOROTA.

Nasza wieczerza była bardzo wesoła. Graf był w najlepszym humorze, i zdarzenie w gaju było materią naszej rozmowy. Ja bardzom ciębie żałowała, bośmy się serdecznie cieszyli.

LEONTYNA.

Wierzę temu, ale ja teraz nie jestem w stanie weselić się z wami, bom bardzo strapiiona.

DOROTA.

Jak troche zaśniesz, będziesz zupełnie zdrowa.

LEONTYNA.

Ach ! dziękuję wam , wcale nie mam snu na oczach.

DOROTA.

Będą tańcować całą noc w pałacu ;
ja się nie będę kładła aż do białego
dnia. No ! i ty bądź ze mną w kompanii.

LEONTYNA.

Zapewne , na nic się wam nie przydam będąc chora iak ieltem.

DOROTA.

Będziemy widzieli iak wschodzi
Jutrzenka , to ielt ciekawa , wystaw
sobie. Ty która masz wyobrażenie
wieyskie , która tak lubisz skały ,
masz być nie czułą na Jutrzenkę ?
Ach ! to być nie może.

LEONTYNA.

Drwiy sobie , nie spiy , tańcuy ,
ale mnie pozwol , niech się położę , pro-
szę cię.

DOROTA.

Wszak ty Grafiu mnie nie odstą-
pisz ?

GRAF

GRAF.

Jeżeli tego po mnie wyciągaśz,
chętnie poświęcam dla ciebie moy
spoczynek.

DOROTA.

Otoż to grzeczność a przytym i
wesołość. Ach! iakbyś się ze mną
zgodził! (do Leontyny.) ale na nic się
nie przydadzą nasze żarciki, widzę
że iuż oczy mrużysz. No! to iuż
trzeba iey dać pokoy. Wszak po-
dziesz do łózka, nie prawda?

LEONTYNA.

Tego momentu.

DOROTA.

Jeszcze nie ma dwonastej, przy-
najmniey dasz nam iutro śniadanie?
Obudziemy cię o piątej godzinie, i
będziesz widziała jutrzeńkę.

LEONTYNA.

Prawdziwie nie macie politowania,
widzicie iak cierpię, i. . .

DOROTA.

Już tedy ściskam cię, pozwolemy
ci spać do południa.

Teatr.

R

LEONTYNA.

Zart na stronę , gdybyście mi sen
przerwali, bardzoby mi zaszkodziło.

DOKOTA.

Nie boy się , nie przeszkodziemy.
Poydźmy już Grafie. Jeżeli się nie
położysz, a będziesz nas potrzebo-
wać, to przyszliy po nas, będziemy
w ogrodzie.

GRAF, do Leontyny.

Z żalem cię odstępuję... prawdzi-
wie musisz być bardzo słaba.

LEONTYNA.

Zdaie mi się że mam gorączkę.

GRAF.

Ja się znam troche, czy pozwo-
lisz? . . . (bierze ją za rękę i maca
pulsu.)

LEONTYNA.

Jak ci ręka drży.

GRAF, (trzymając zawsze za rękę.)

To drżenie jest u mnie naturalne,
już ja to cierpię od wielu lat. Mo-
głaś to dawniey uważać.

LEONTYNA.

W twoim wieku! to dziwna. Ni-
gdy tego nie uważała,

DOROTA.

Przebog! Grafie, masz minę oś-
bliwszą, cały jesteś zadziwiony. Czy
ma wielką gorączkę? Jak znayduiesz
iey puls?

GRAF.

Ach radbym, żeby był mocniej-
szy.

DOROTA.

A to piękne życzenie!

GRAF.

Ale tak, bo jest bardzo wolny.

DOROTA.

Ach lękasz mię. . . . Już co teraz,
chciałabym, żeby się położyła, a my-
byśmy przed iey pokojem noc prze-
siedzieli.

LEONTYNA.

Ach! proszę. . . .

DOROTA.

Czy ieszcze z nami będzieisz robić
ceremonie?

LEONTYNA.

Nie, nie pozwolę na to.

DOROTA.

Posiedziemy tylko do piątej, albo
do szóstej, a potem poydziemy spać.

GRAF.

Nie, będziemy przeszkadzać, zostawmy ją, wierz mi.

DOROTA.

Byway więc zdrowa. ale z tą kondycją, że nam dasz znać, skoro się obudzisz.

LEONTYNA.

Dobrze, przyrzekam.

DOROTA.

Czy nie chciałabyś żeby ci co czytać dla przedszego inu?

LEONTYNA.

Och nie, bynajmniej.

DOROTA.

Zegnam cię moja kochana przyjaciółko.

GRAF, na stronie.

Jak iest przyjemna! o iak iestem szczęśliwy! (wychodzą.)

LEONTYNA, sama.

Przecie żem się ich pozbyła, i to z iaką trudnością! Ale widzę Pana Ofemona.



SCENA V.

*OFEMON, LEONTYNA, ROZALIA.**LEONTYNA.*

I coż ; sprawiłeś ?

OFEMON.

Sprawiłem Mościa Dobr. Prawd-
wie nasza rozmowa była bardzo czu-
ła, w niewypowiedzianej teraz zo-
stała radości.

LEONTYNA.

Powiedziałeś mu pewnie kondycye,
pod któremi pozwoliłam widzenia się
ze mną. Sam będziesz przytomny, i
nie mi wspominać nie będzie o swojej
miłości.

OFEMON.

Bądź spokojna, dopełni on to wszy-
stko.

LEONTYNA.

Więc kontent jest zupełnie ?

OFEMON.

Niewypowiedzianie, prawie szaleie
od radości.

LEONTYNA.

Musiał się zadziwić?

OFEMON.

Słowem ci powiadam, iż doszedł
zamiaru swych chęci,

LEONTYNA.

Mowiłeś z nim już dwa razy, a nie
możesz poznać kto jest. Ton głosu,
ułożenie iego....

OFEMON.

W rzeczy samej gdy się zastana-
wiam, głos iego zdaie mi się być
znaiomy.

LEONTYNA.

Dobrze, iakżeś mi tego nie powie-
dział? Czy widziałeś go kiedy u
mnie?

OFEMON.

Zapewne żem widział; ia go znam,
tylko że nie pamiętam.

LEONTYNA.

Zapewne ci się zdał być młodym?

OFEMON

Tak, młody jest, pewnie nie ma
iak lat trzydzieści dwa, lub trzy
nawieęcey

LEONTYNA.

Powiedźże mi jeszcze, co o mnie mówił?

OFEMON.

Często mi powtarzał, że będziesz bardzo zdziwiona.

LEONTYNA.

Ze ja będę zdziwiona? ... To zapewnem go nie widziała. . . To jest rzecz niepojęta.

OFEMON.

To może jest Cudzoziemiec. Ja wiele woiażowałem, mozem go widzieć w Anglii, we Włoszech. . . . Tak mi się zdaie. . . .

LEONTYNA.

Czy ma Akcent taki?

OFEMON.

Nie bynajmniej, mówi po Francusku wybornie, mile, i wdzięcznie...

LEONTYNA.

Dobrze mówi?

OFEMON.

Lepiej jeszcze niż pisze.

LEONTYNA.

To nie podobna,

ROZALIA, *nadchodząc.*

Powiedziano mi, że się Pani ma położyć.

LEONTYNA.

Idź do mego pokoju, przygotuj wszystko co potrzeba, i nie czekaj na mnie, ja się sama rozbiorę.

ROZALIA.

Jeymość Dobr. nadto dobra. Ja będę czekała poki sama zechcesz.

LEONTYNA.

Uczyn tak iak każę.

ROZALIA.

Przyrzekłam Pani Dorocie, że spać nie poydę, i że będę siedziała przy Pani.

LEONTYNA.

Wszyscy się dziś zmowili, aby mnie gniewać. Jeszcze ci raz mówię, abyś tak uczyniła, iak ci każę; day mi pokoy.

ROZALIA *na stronie odchodząc.*

Nigdy iej nie widziała w tak złym humorze. (*wychodzi.*)

LEONTYNA, *do Ofemona.*

Poydziesz więc o piątey godzinie, poszukasz go i wpuścisz fortkę od Zwierzyńca, Czy masz klucz?

OFEMON.

Mam Mościa Dobr.

LEONTYNA.

Nie kładźże się, żebyś nie zaspał.

OFEMON.

O! będę pilnował.

LEONTYNA.

W całym Pałacu nie śpią, patrzay-
że, żeby go kto nie postrzegł.

OFEMON.

Bądź Pani spokojna,

LEONTYNA.

Już tedy ja poydę do mego pokoju,
i będę was czekała o piątey godzi-
nie.OFEMON, *na stronie odchodząc.*

O co teraz nasza wygrana.

*(wychodzą.)**Koniec czwartego Aktu.*

AKT V.

SCENA I.

LEONTYNA *sama, w nocnym stroju.*

W jakim ja jestem pomieszaniu! Na cożem się wystawiła? Słowem, otrzymał odemnie widzenie się sekretnie, widzenie się o świcie! Czy mogłaż mię sama ciekawość tak daleko unieść i nakłonić do takiego postępku; którego się dziś wstydzę i niepochwaliłabym nikomu.... Gdyby jeszcze przez czułe przywiązanie do kogo, ale do nieznaionego. . . . Ach znam serce jego, znam umysł, a potrzebaż więcej? I jakże! mamże na siebie wyznawać takowe szaleństwo? Czyliżem sama przed nim nie uciekała? Na cożem się tu schroniła, tylko abym wszelką mu nadzieję odjęła? Jeden dzień mógłże popsuć tak mo-

ene ułożenie? Niestety! czyliżbym była przed nim uciekała, gdybym się go nie obawiała! Samam się oszukała, i nie rychło oczy otwieram.... Jako! mogęż ieszcze kochać!... Ach! coż słyżę? ktoś podobno puka? (*nadstawia ucha i słyży pukanie.*) Tak, nie myślę się, puka, to zapewne on..., Musiał poprzedzić godzinę. Muszę otworzyć. Nie mogę.... Co zapominanie straszne! Ledwo się mogę utrzymać na nogach. (*Wspiera się na Stoliku i słyży ieszcze pukanie.*) To on... to on... trzeba otworzyć. (*idzie drzwi otwierać.*)

SCENA II.

LEONTYNA, GRAF.

LEONTYNA.

Gdy wchodzi Graf, ona się w tył casa z zadziwieniem, i mowi na stronie

O! nieba! to Graf, co za traf nie miły!

GRAF.

z największym wzruszeniem.

Niespokojność o twoje zdrowie tu mnie sprowadza.

LEONTYNA, *na stronie.*

Coż mu powiem? (*głośno.*) Nic nie spałam; jestem bardzo pomieszana.

GRAF.

Jam się przechodził pod twoimi oknami, zdało mi się, że cię slyszal chodzącą, i dla tego wszedłem.

LEONTYNA.

Dziękuję ci, ale mi uczynisz łaskę gdy mię zostawisz samą.

GRAF, *na stronie.*

Jak ona jest blada i mizerna! ach! ja ieszcze więcej drzę niż ona. . . . (*głośno.*) Ach Pani!

LEONTYNA.

Coż, czegoż chcesz?

GRAF.

Nieśmiem cię prosić o moment rozmowy. Wyznaię iednak że iey pragnę gorąco, i chciałbym ci odkryć moje serce.

LEONTYNA.

Zadziwiasz mię; coż ci się stało?

GRAF.

Zanurzony w myślach moich od dwóch godzin, iakem się rozstał z Dorotą, chęć niezmierna mówienia z tobą poufale, przywiodła mię do tego, że się stał w ten moment dla niej natrętem. Powiem ci nawet, że nim tu przyjechałem, myślałem o tym. Ale zawsze, nie byliśmy z sobą tylko na krotki moment.

LEONTYNA.

Masz mi więc wielkiej wagi rzecz powiedzieć?

GRAF.

Tak, tajemnicę życia moiego.... Teraz jest czwarta godzina... Jeżeli mię raczysz posłuchać, ta rozmowa nie zabawi, o pół godziny tylko proszę.

LEONTYNA.

Czwarta dopiero godzina? (na stronie.) I mogę mu odmówić. (głośno.) Mój kochany Grafię nie powinienś wątpić o moiej przyjaźni ku sobie. Wszystko co ciebie dotyka,

szczerze mnie interessuje ; ale że jestem słaba i zmęczona, trzeba nam się wkrótce rozeyść.

GRAF.

Wierz mi, że nie użyję na złe twej dobroci. Za pół godziny rozeydziemy się, ale muszę z tobą pomówić, muszę się poradzić.

LEONTYNA.

O coż to chodzi ?

GRAF.

Widziałś mię często smutnym, ponurym, przez długi czas oddalonym, nigdy pewnie nie domyśliłś się tego przyczyny.

LEONTYNA.

W samej rzeczy, bawiłeś przez ośm miesięcy w swoich Dobrach, nie raz dziwiłam się temu, ale nie mogłam dociekać przyczyny.

GRAF.

Otoż Pani, namiętność niezwy-
czayna i skryta. ...

LEONTYNA.

I masz ją dotąd ?

GRAF.

Wyznaię, że się nad tym zadzi-
wiaż.

LEONTYNA.

I nadzwyczajnie. . . . Jak to ! ty
znasz miłość ?

GRAF.

Ona jedna stanowi los moiego życia, ona niszczy moją spokoynność, moje uszczęśliwienie; ona mi dała uczuć zgryzot i udręczenia, których wyliczanie możeby cię rozrzewniło, dla niej poświęciłem wszystko, spokoynność, ambicyą, kompanią, uciechy.

LEONTYNA.

Jako ! Ty któregom sądziła bydz tak zimnym, tak spokoynym ! Ach ! moy kochany Grafie, iak to zaufanie sprawie we mnie przyiaźń ku tobie tym żywszą, tym czulszą ! Szacowałam cię dotąd, ale teraz interes nayczulszy, naysprawiedliwszy łączy mnie z tobą na zawsze.

GRAF.

Niestety ! Gdybyś wiedziała, gdybyś wiedziała Pani, iak ten moment jest dla mnie miły !

LEONTYNA.

A na cożes przedemną tań tak długo twoie chuci? Czy powątpiewałeś o moim sercu? Nie byłśes pewny że twoie umartwienia są jego podziałem?

GRAF.

Ach gdybym się tego mógł spodziewać, już bym był one od dwóch lat wyjawil.

LEONTYNA.

Muszę się żalić na takowe milczenie, które mnie boli i obraża.

GRAF.

Obraża! Nie, wierz mi żem nie myślił o tym. Przyszkoła nieprzełomana przymuszała mię do milczenia; a do tego chciałem się uleczyć.

LEONTYNA.

Powiedź mi, czy pewnie jesteś kochanym?

GRAF.

Ach! nie śmiem sobie jeszcze podchlebiać, jednakże już mniey jestem nieszczęśliwy.

LEON.

LEONTYNA.

Jeżeli nie zachodzi nic przeciwko
powinności, miłość tak gwałtowna,
powinna być wzajemna.

GRAF.

Czy tak mówisz Pani?

LEONTYNA.

Miły, wierny, przywiązany, po-
winienesz być kochany, i jestem pe-
wna, że jesteś.

GRAF.

Kocham nadzwyczajnie, nikt po-
dobno nigdy tyle nie kochał; a ta
jest szczególnie moja zasługa i iedyne
prawo, przez które mogę podobać
się.

LEONTYNA.

Ach! to ledno stanie za wszystko.

GRAF.

Przebog! co mówisz Pani? Przy-
jaźń twoja chce cieszyć nieszczęsne-
go, który się zwieść nie da, a twój
przykład znosi i wywtaca z gruntu
tak podchlebną mowę.

LEONTYNA.

Jak to?

Teatr.

GRAF.

Ten Amant bezimienny dosyć cię przekonał o swojej miłości ku tobie, a jednak serce twoje nieczułe nie zmiękczyło się dotąd! Ach jeżeli mu odbierasz nadzieję, i ja nie mam się czego spodziewać.

LEONTYNA.

Nie mów nic o mnie, ja tylko myślę o tobie. Dokoncz moy Grafie twych dolegliwości, gdyż mnie tak interesują, że wyrazić tobie nie umiem. Coż ci przeszkadza do twoiego uszczęśliwienia? Osoba którą kochasz zapewne jest wolna, ale może iey urodzenie, iey stan....

GRAF.

Nie M. Dobr. ze wszech miar wybór serca mego zgadza się z rozumem. Ach! czemu ona nie urodziła się w inſzey kondycyi! Jakby mi śladko było poświęcić dla niey próżne przęśady, i złożyć u nog iey majątek moy cały; ale tego szczęścia nie mogę być uczestnikiem. Los ją uczynił ze wszech miar szczęśliwą, a miłość nie może iey dać więcej nad serce wierne i przywiązane.

LEONTYNA.

Za każdym słowem które wymia-
wiasz coraz w większe wpadam po-
dziwienie. Jako! ty umiesz kochać
z taką gwałtownością? Jakiś mógł
dotąd ukrywać serce tak czułe?

GRAF.

Ach! pojąć tego nie zdołasz, iak
mnie to wiele kosztowało.

LEONTYNA, *na stronie.*

Godzina się zbliża.

GRAF.

Czy się więc litujesz nademną?
Chciej mi jeszcze raz powtórzyć.

LEONTYNA, *na stronie.*

Co moment niespokojność moja
pomnaża się. (głośno.) Pożno już
jest, rozeydźmy się. Bądź zdrow moy
kochany Grafie, jutro ci lepiej o-
każę. . . .

GRAF.

Ach! Pani, gdybyś wiedziała to
wszystko co ci mam powiedzieć ie-
szcze. . . . Nie powierzyłem ci do-
tąd, ty ko połowę sekretu. Nie wiesz
o nazwisku Osoby którą kocham, a

znasz ją dobrze, i masz wszelką moc nad nią.

LEONTYNA.

Ach mow. Jeżeli ci mogę być użyteczną, spuść się na usiłowania nayszczerzszey przyjaźni.

GRAF.

Więc mi przyrzekasz, że się nie będziesz sprzeciwiać mojemu szczęściu?

LEONTYNA.

Kto, ja? Czy możesz pomyśleć?...

GRAF.

Przebog! Pani, pomimo tego przyrzeczenia usta moje nie śmieją ieszcze wymówić Imienia tak ulubionego i ukrywającego się w sercu moim. Podobno tylko na samym milczeniu zasadzać się będzie moje szczęście. Gdybym był stracił ieszcze i nadzieję, którą mi czynisz....

LEONTYNA, *na sronie.*

On widzę nie skończy, a tu czas upływa. Co za uprzykrzenie! (*głośno.*) Ale która godzina?

GRAF, *dobytwaiąc Zegarkę.*

Nie sądziłem, aby było tak późno.

LEONTYNA.

Jak to?

GRAF.

Już piąta godzina.

LEONTYNA.

Piąta godzina? Ach dla Boga! wy-
nidź, zostaw mię proszę. . . . Coż
widzę? już dnieie. O Nieba! ucie-
kay.

GRAF.

Ty blednieiesz?

LEONTYNA, *siada w krześle.*

Coż się ze mną stanie?

GRAF.

(*Przystąpiwszy bierze ją za rękę, gdy tym
czasem ona drugą zasłania sobie twarz.*)

Zkądże pochodzi tak okrutne po-
mieszanie, ta bojaźń którą chcesz u-
kryć przedemną? Ach Pani! kie-
dym ja tobie otworzył moje serce,
nie powinnażeś wzajemnie? . . .

LEONTYNA.

Przez litość daj mi pokoy. Zdaie
mi się, że ktoś puka. (*porywa się z
prędkością.*)

GRAF.

Ja ciebie nie mogę odstąpić w tym stanie iak iesteś, poki się przynajmniej nie dowiem przyczyny tego pomieszania.

LEONTYNA.

O nieba! do iakiegoż przyszłam poniżenia! Muszę się więc przyznać. . . .

GRAF.

Mow Pani, nayprzywiązanyśzwy twoy przyiaciel o to cię zaklina.

LEONTYNA.

Otoż tak, ten bezimienny.... ten Amant o którym mówisz, że nim gardzę. . . .

GRAF.

Dokończ.

LEONTYNA.

Chcę się z nim widzieć, czekam na niego.

GRAF.

I za coż się masz wstydzic tego, do czego cię sama ciekawość wiedzie?

LEONTYNA.

Nie, nie, poznay zupełnie serce moje. Wzruszenie nadnaturalne,

sentyment mocniejszy nad rozum, rządzi mną i powoduje. Znam ją go, niechcę się więcej zwodzić i zezwalam.... Coż to jest! widzę łzy w oczach twoich, ty płaczesz. Ach! mój przyjacielu; iak mię ta czułość do żywego przenika. Niestety! mogłamże się spodziewać u ciebie tyle pobjażenia!

GRAF.

Czy to bydz może, ty Leontyno!.. ty kochasz?

LEONTYNA.

Patrzayże, iak to szczerze wyznanie musi mię wiele kosztować, aleś ty godzien onego.

GRAF.

Prawda, godzien jestem, tak....

LEONTYNA.

Niestety! godzina już upłynęła, a on nieprzychodzi.

GRAF.

Ukaże on się, nie wątpiy o tym. Upadnie on zaraz do nog twoich nayszczęśliwszy z ludzi. (rzucza się do nog iey.)

LEONTYNA

Coż ja widzę . . . Co robisz ?

GRAF.

Ach ! I nigdyż mię nie poznasz ?

LEONTYNA.

O Boże ! coż ja słyszę ! Czy to
bydź może ?

GRAF.

Tak, tak jest, ja jestem ow Amant
rozpalony.

LEONTYNA.

Ty, o Nieba ! . . .

GRAF.

Otoż to jest mój cały sekret.

LEONTYNA.

Co ! I jaż to jestem, która cię
kocham od lat ośmiu ?

GRAF.

Przebacz moim wybiegom, tajemni-
ca miłości powinna je usprawiedliwić.
Niestety ! mozem się obłąkać, ale
chciałem serce twoje pozyskać ? lecz
nie ofzukać. Zbytńia delikatność
przywiodła mnie do wybiegow, na
które sama teraz narzeka, a to ie-
szcze w ten moment, w który po-
winienem z niey pożytkować, w ten

moment mówię, gdy z ust twoich odbieram wyznanie, którego całym życiem dokupować mi się należało. Ale Pani! pozwalam ci się wrocić do siebie, i do twoiego załtánowienia, jesteś wolna, niceś mi nie obiecała, rozrządzay moim przeznaczeniem.

LEONTYNA.

Prawda, gdybym ci nie była winna najwyższego szczęścia i niespodzianego, przyznam się iż trudno by mi było darować tę lekliwość twoją, która mnie obraża. Jakiż moment sobie obrales na to okrutne niedowiarstwo. Jako! możeszże sądzić, abym była tak niewdzięczną, i jeszcze się chwiała?

GRAF.

Niceś mi nie winna, ja poszedłem za poruszeniem serca mego, a ty nie słuchay tylko twej skłonności.

LEONTYNA.

Otoż tak, cokolwiek wdzięczność, przyjaźń i miłość może sprawić najmiłszego i czulego, wszystko to czuję i mam dla ciebie.

G R A F.

Ach przez cożem zasłużył tę szczęśliwość, która sto razy przewyższa moje nadzieje?

LEONTYNA.

Tys więc ieśt któregom kochała!.. Tey chuci którąś mi tak czule odmalował, tey miłości którąś przez lat ośm karmił w sercu twoim, ią była celem! Biedny, ileż ci zadałam udręczenia! Ach! przywiązanie moje czy potrafi go nadgrodzić? To iedynym odtąd będzie mym staraniem, to iedyną zabawą życia moiego! Ach dla Boga! czemużeś mi dawniey nie powiedział? Będąc miłym i powabnym, tego ci tylko nie dostawało w oczach moich, abyś mi okazał serce czule, któreś ukrywał. Mogłam się na nim nie poznać, posądzać o surowość, obojętność, i pokrzywdzać nie raz!

G R A F.

Ach! Mogłamże drogo kupić to szczęście, kiedy mnie kochasz?

LEONTYNA.

Kocham cię, iakem nigdy nie kochała, to jest dosyć powiedzieć, wiesz o tym niestety! Ach! mogę wspomnieć bez wzdrygnięcia ow czas nieszczęsny, w którym stawszy się ofiarą chuci nierozsądnej, co dzień przez okrutne zaufanie, sztylet w serce twoje wrażałam. Tyś mię słuchał, a iam się rozpaczą napełniała. Przypomniy sobie tę miłość tak czułą tak gwałtowną, którą ci na ow czas wystawiała, a oraz wierz, że terazniejsza, którą mię zniewalaś jest sto razy żywsza.

GRAF.

Więc tedy co służyło na moje udręczenie, cdaż ma być moim uszczęśliwieniem? Gdyby mi przyszło kiedy na myśl to smutne wspomnienie, mogę sobie powiedzieć, że ona mię kocha dziś tym więcej. Ale czy pomyślisz dobrze co czynisz dla moiego uszczęśliwienia?

LEONTYNA.

Mogę kiedy wyrownać temu, coś uczynił dla mnie? Tyś dla mnie

wszystkołożył, iam ci wszystko winna; twoie rady przez lat ośm mną rządziły, twoja cnota, twoy rozsądek zwracał mnie na drogę rozumu. Bez ciebie, na cożbym była przyszła? Ach! każde wspomnienie, każdy moment życia mojego, który sobie przypominam, jest nowym obowiązkiem mey wdzięczności który przywiązuje do ciebie. Twoje poślępki, twoja wspaniałość są bez przykładu, i naśladowcy mieć nie będą! Ach! iak jest słodka kochać, co jest warto kochania! Jak mi teraz daiesz poznać ten sentyment rokoszny, któregoś sobie nigdy nie wystawiała!

SCENA III.

GRAF, LEONTYNA, DOROTA,
OFEMON.

JDOROTA, do Ofemona.
Uż wstała, ja ci powiadam, że już. Słyszałam iey głos. A widzisz, patrzajże!

LEONTYNA.

Ach poydź M. Panie Ofemōn, wszystko się odkryło. W. Pan mnie oszukiwałeś; ale iakżem ci wiele za to winna! (*do Doroty.*) Poydź kochana przylaciołko, dziel się moim szczęściem. Ten nieznałomy który cię interesował. . . .

DOROTA.

I coż?

LEONTYNA.

O to jest przed twoiemi oczyma. To on, on jest. . . .

DOROTA.

Kto, Graf?

GRAF.

Tak jest, oto mnie widzisz W. Pani Dobrodzika, który dopiąłem moich chęci.

DOROTA.

Czy doprawdy sądzisz, że uwierzę? . . .

LEONTYNA.

Jako!

DOROTA.

Tak, tak, ja jestem łatwowierna, ale nie tak daleko.

OFEMON.

Trzeba się spodziewać że przed
skonczeniem dnia dzisiejszego wcale
się przekonasz.

DOROTA.

Jak oni się wszyscy rozumieją. A
to piękna zмова i ładnie ułożona.

LEONTYNA, *do Ofemona.*

Poydź poszukay Pisarza, niech
przyidzie.

DOROTA.

Tak, tak, i nie baw się.

OFEMON.

Jest na dole z weselnikami, zaraz
go sprowadzę, i ogłoszę wesołą no-
winę w całym Pałacu. (*wychodzi.*).

GRAF, *do Leontyny*

Nie jest to tylko omamienie? Jako!
ty będziesz moją?

LEONTYNA.

Tak jest, oddaję mię tobie, tak,
jeszcze dziś nawet.

DOROTA.

A to przecudownie, iak z iedney,
tak z drugiej strony. Co Grafowi
nie dziwiuję się, bo znam iego przy-
mioty, ale Leontyna wielce mnie za-

dziwia, iey oczy, iey głos, iey mina
wszystko dowodzi.

LEONTYNA.

Jakże, czy jeszcze nie wierzysz,
nie dosyć dla ciebie spojrzeć na mnie?
Możnaż się oszukać, widząc tak szcze-
re i tak środkie ukontentowanie!

DOROTA.

Już co teraz, nie wiem co mam
myśleć.

SCENA IV.

GRAF, LEONTYNA, DOROTA,
OFEMON, ROZALIA, PIKARD,
JOHANKA, KOLIN, PISARZ,

i Gmin Wieśniaków wołających: *Pani
idzie za męż. . . Pani idzie za męż. . .*

Pan Graf jest bezimiennym.

DOROTA.

PRAWDZIWIE to on być musi! On
być musi pewnie naszym Amantem
bezimiennym. Ale to nie do wierze-
nia.

LEONTYNA.

Pozbądźmy się tego tłumu.

DOROTA.

A kiedy tak, już teraz wierzę. Ach! mój kochany Grafie, iak ty jesteś godzien tego daru, który nakoniec otrzymujesz! Jakżem ja kontenta! Ale mam się ciebie pytać o wiele rzeczy.

LEONTYNA.

Poydź do mego pokoju, to ci opowiemy.

GRAF, do Leontyny.

Już tedy przeznaczenie oddaie mi to, co mi była nierostropność wydarła! Po tylu zgryzotach i łzach wylanych, przecie znayduję ciebie; już więc jesteś moją!

DOROTA.

Co za Awantura, o Boże!... i to co się działo w Gaim... i Festyn... i list.... wszystko to było iego! Nie mogę przyść do siebie.

LEONTYNA.

Poydź zemną moja kochana Doroto, poydź bądźiesz widziała skutecznie nie szczęśliwości moiej. Mospanie

Ofemion

Ofemon, weź z sobą Pisarza. (*Graf podaje iey rękę, Dorota bierze ją z drugiej strony, wychodzą. Ofemon z Pisarzem idą za niemi.*)

OFEMON, *wychodzi.*

Poydźmy, ieszczem nie zapomniał po Łacinie w tym domu.

SCENA V.

i ostatnią.

ROZALIA, PIKARD, JOHANKA,
KOLIN, i *Wieśniacy.*

ROZALIA.

JUż tedy Amant bezimienny odkrył się. Jednakże Graf śłanie za Sylfa, bardzom kontenta, że się w niego przemienił.

PIKARD.

Dwa wesela razem ! co zo błogostawieństwo ! (*do Wieśniaków.*)

Tatr.

T

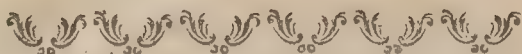
Poydźcie moje dzieci, tańcowaliście
aż do dnia, teraz tańcujcie aż do
nocy; obchodźcie uroczyście Miłość
i wytrwanie. Prawdziwie gdy te ra-
zem są złączone, zawsze swego do-
kazać muszą.

(*Wiśniacy zaczynają Balet!*)

Koniec piątego i Ostatniego Aktu.



MIŁOŚĆ
MACIERZYŃSKA
KOMEDIA.



OSOBY.

HRABINA de ROZAN.

KOMMENDOR de ROZAN, *Szwagier Hrabiny,*

BARONOWA de BLEMONT, *Kuzyna Hrabiny.*

L'ABÉ DURAND, *Nauczyciel Hrabiego de
Rozan, syna Hrabiny.*

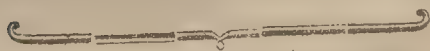
WIKTORJA, *Pokoiowa Hrabiny.*

MALGORZATA, *kobieta stara uboga.*

Scena w Paryżu u Hrabiny.



MIŁOŚĆ
MACIERZYNSKA
KOMEDIA
W IEDNYM AKCIE.



SCENA I.
L'ABE, WIKTORJA.

L'ABE.

PANI Hrabina czy wyiechała? . . .

WIKTORJA.

O dla Boga! tak, wyiechała; już
to dziś trzeci raz.

L' A B E.

Ona jest naturalnie niespokojna... przed nadchodzącą batalią, na której może utracić syna iedynaka, naylepsze dziecię. . . . naycnotliwsze. . . . Nie dla tego to mówię, że jest moim uczniem, ale że szczerze powiadam, iż żadnego z młodych nie widzę, któryby się z nim mógł porównać. . . . W piętnastym roku już tak dobrze umiał Łacinę, iak ja.

WIKTORJA.

A potym on tak kocha Matkę. . . . Ach dla Boga, iak czułe było ich pożegnanie. . . . Pan Hrabia, który nigdy nie widział wojny; z ochotą na nią wyieżdżał. . . . Ale z Jeymością pierwszy raz w życiu swoim rozstawał się, i pomimo chęci sławy miał serce żalem ściśnione. Jeymość z swojej strony chciała się wstrzymać od płaczu, ale widać było, że łzy dusiła. . . . i dla tego ledwie wyszedł z iey pokoju, mało nie umarła.

L' A B E.

Jednakże w czasie pokoju widziałem, że pragnęła szczerze wojny, aby

P. Hrabia de Rozan miał okazyą dy-
styngwowania się. . . . W ten czas
zdawało się, że mocno żąda sławy. . . .

WIKTORYA.

Prawda, ale tylko zdaleka. . . . bo
z bliska wierz mi, że iey się nie
zdaie bydz tak piękną.

L'ABE.

Nie pierwsza ona iest tego zdania.

WIKTORYA.

Jednakże nie zbywa iey na mę-
stwie; bądź tego pewny, iż gdyby
mogła poyść za Hrabia, i z nim dzie-
lic niebepiecznośćwa, których się
teraz lęka, byłaby bardzo szczęśli-
wą. . . .

L'ABE.

Powiedź mi M. Panno Wiktoryo,
gdzie iest Jejmość teraz? . . .

WIKTORYA.

U swoiey przyjaciółki Pani Mar-
szałkowej, chce się ad niey dowie-
dzieć iakiey nowiny. Ma ona dwóch
synow w wojsku, są oni ołydwa
przyjaciółami, a to iest co czyni
związek. . . .

L'ABÉ.

A potym Pani Marszałkowa ma ławieyszą sposobność mieć wiadomości, bo iest Siostrą Ministra....

WIKTORJA.

Wczoray była pogłoska, że była potyczka... ale to nie wzięło potwierdzenia... Ach! ieżeli ta niepewność potrwa zkilka dni, ia się bardzo boię o moią Panią... z nieśpokoyności i żalu umrę zapewne....

L'ABÉ.

To prawda, że iest bardzo zmieniona,

WIKTORJA.

Jey charakter ieszcze więcej się odmienił niż twarz; ia iey, która iest tak słodka, tak łagodna, od wyjazdu iey syna prawie nie poznaię... każda bagatela ią zmartwi, do gniewu pobudzi.... a potym ma wszystkie słabości, któremi sama przedtym gardziła.... wierzy w sny; kiedy iey się co złego przyśni, iuż będzie przez cały dzień w złym humorze. Wczoray rano sflukłam Zwierciadło, to ledwie nie płakała. Panie l'abé, ty

który ieścieś tak uczony, wytłomacz mi ieżeli możesz.

L' A B E.

To naturalna, Pani Hrabina iako i wszystkie Kobiety nie uczyła się nauk, ieśt nieuczona i łatwowierna, a te dwie rzeczy prowadzą do zaboronności.

WIKTORJA.

Ale ja iej służyć od lat pietnaśtu, i zawszem ją widziała aż do tego momentu bardzo daleką od tych błazeństw, sama się nawet z nich wyśmiewała, i mnie wyprowadziła, mnie która z tobą mówię. W czasie swoiey ciężkiey choroby, iakiegoż nie pokazała męstwa! . . . Załowała swego Męża i swego Syna, gdyż nieboszczyk Pan iejście żył na ten czas. . . ale tylko mówiła, zostawuję synowi memu dobrego oycy, umieram spokojnie; wszak W. Pan to dobrze pamiętaś.

L' A B E.

O! iak dziś.

WIKTORJA.

No, a przecie nie miała w ten czas więcey nauki iak i teraz, była iak

nazywasz Filozofką ; a co większa młodą i ładną ; iakże to wszystko pogodzić można ?

L'ABBE

Zdawna Mędrzec powiedział, że historia serca ludzkiego jest niedościgła i nie pojęta, a to zdanie mianowicie ściaga się do kobiet.

WIKTORJA.

Ja o twego Mędrca nie stoję, bo jest tak nie umiętny iak i ja,

L'ABBE.

Moje dziecię, cały owoc umiętności jest wątpliwość i niepewność.

WIKTORJA.

Na coż się przyda tyle męczyć nad książkami, kiedy uczony i ja, jesteśmy iedno. . . . Ale ktoś idzie...

L'ABBE,

To może Jeymość.

WIKTORJA.

Oy nie, to iej kuzyna, Pani Barowna de Blemont.

L'ABBE.

Och ! to ja odchodzę ; ona jest nadto wrzaskliwa dla mnie. To jest kobieta trzpiot, kokietka....

WIKTORJA, *śmiejąc się.*

Zle o niej sądzisz. . . . Ona umie
zawracać głowy. P. Hrabia de Rozan
mogłby o niej wiele powiedzieć....

L'ABBE.

To jest kobieta niebezpieczna!
Szczęściem że panowanie kobiet do
niej podobnych nigdy długo trwać
nie może. . . .

WIKTORJA.

Cichoż, cicho, oto i ona
(*L'abbé wychodzi.*)

SCENA II.

WIKTORJA, BARONOWA.

BARONOWA, *mówiąc we drzwiach.*

NO, to będę na nią tu czekała. . . .
Wiktorjo proźę cię day mi krzello,
bom bardzo zmordowana.

WIKTORJA:

Jeymość powroci nie bawiąc. . . .

BARONOWA.

Ja tu byłam wczoray, ale mi powiedziano że chora, i nikogo nie przyjmuję. . . .

WIKTORYA.

Ach dla Boga, tak; a to z przyczyny, którey zgadnąć nigdy nie można, gdyż usłyszała wystrzelenie z Armaty u Inwalidow że Krol przyjechał wczoray do Paryża....

BARONOWA.

I coż potym! . . .

WIKTORYA.

Oto M. Dobrodziko, ia byłam sama z nią w iej pokoiu, zdawała się być bardzo spokojną, gdy iednym razem usłyszawszy strzelenie porwała się i krzyknęła: *Coż to jest! coż to jest?* . . . I to Krol przyjeżdża M. Dobr. rzekłam. . . . Ach co za huk straszny, odpowiedziała. . . . A potym zaczęła płakać, i to trwało aż do wieczora.

BARONOWA.

Ach, bardzo jestem kontenta, więc ia nie sama jestem co się lękam wystrzelenie z Armaty! Od wojny zaczętey nie mogę słyszeć tego huku

nieszczęsnego bez uczucia i pomieszczenia.... zadrętwienia nerwow.... i iakieys opresyji! . . . Nie można tego wyrazić.... Słowem jestem bardzo rada, że Pani de Rozan jest tak, jak i ja, to samo pokazuje, że nie jestem nierozsądna.... Jak się ona ma dzisiaj?

WIKTORYA.

Och zawsze iednakowo; nie sypia.

BARONOWA.

A któżby spał podczas wojny? w takim pomieszaniu... Czy nie wiesz, Wiktorio, Jeymość czy będzie dziś w swoiey Łoży?

WIKTORYA.

Ja nie wiem. . . . gdyż od ogłoszenia wojny Jeymość i nie postała na Komedyi.

BARONOWA.

Co za nierozsądek! . . . Wszak to rozrywa.... Ja bym umarła bez Komedyi.... Im kto jest czulszy, tym więcey potrzebuie rozrywki. . . . Ja bywam na Operach, na Balach, upewniam że to czynię nie z przywiązania, ale przez rozum.

WIKTORYA.

Bez wątpienia; na co się przyda chorować.

BARONOWA.

Wiktoryo, iak ci się podoba moja suknia?

WIKTORYA.

Przedziwna; ale Jeymość Dobr. ubrała się bardzo wczas.

BARONOWA.

Och; ale bo ja przez cały dzień do siebie nie powroczę. . . . Cierpieć nie mogę domu. . . .

WIKTORYA.

Od odjazdu Pana Barona Blemont?

BARONOWA.

Mój dom zdać mi się bydz grobem. . . . To iest okrutna rzecz ta wojna. . . . Lękać się o męża, o braci, o krewnych, o przyjaciół. . . .

WIKTORYA, *na stronie.*

A nawet o Amanta. . . .

BARONOWA.

Wiktoryo, czy dawno iesteś u Pani Rozan?

WIKTORYA.

Tak M. Dobr. na siedm lub ośm lat przed W. Pani zamęściem.

BARONOWA.

To bardzo dobra Kobieta, ta Pani Rozan; słyżę była piękną iak powiadaia.

WIRTORYA.

Jeszcze i teraz ładna....

BARONOWA.

Powiadaia że maluje sobie brwi....
Ale ia temu nie wierzę.

WIKTORYA.

Czy tak iest, ia o tym nie wiem, ale to iest pewna, że iej piękność naymnicy ia zatrudnia, i nigdy o nią niedbała nawet za życia Jegomości...

BARONOWA, śmieiać się.

Za życia Jegomości.... Alboż rozumiesz, że wdowa nie powinna się starać podobać? ... Czy nie może bydź tey pretenfyi tylko dla Męża?...
Za życia Jegomości, to zabawna, muszę pamiętać.... Wiele masz lat Wiktoryo?

WIKTORYA.

Trzydzieſty pierwszy M. Dobrodziko.

BARONOWA.

Trzydziesty pierwszy? . . . Nadto
masz na twój wiek niewinności. . .
Och moje dziecko, podaj mi taboret,
bo mam nogi tak popuchłe... Prze-
klęty ten Bal wczorajszy....

WIKTORJA.

Jeymość Dobrodzika tańcowała tey
nocy? . . .

BARONOWA.

Ach dla Boga, tańcowałam.... Po-
wiadają że taniec pomaga bardzo
zdrowiu... To prawda, że dla mnie
jest bardzo potrzebny. Ja potrzebuję
koniecznie agitacyi... iak skoro tey
nie mam, zaraz choruję na spazmy...

WIKTORJA.

Czy mogę się spytać, iak się zowie
Doktor Jeymości Dobr.? . . .

BARONOWA.

Dla czego?

WIKTORJA.

Bo chciałabym go sobie także obrać,
gdyż zdaie mi się, że iego Recepta
jest nie zła.... Jakoż widzę że ona
W. Pani Dobr. dobrze służy; Jeymość
jest tak czerstwa. . . .

BARO-

BARONOWA.

Jednakże mocnom schudła... a do tego cierpieć nie mogę kłaść rużu zrana, i dla tego jestem blada iak śmierć.

WIKTORJA.

Czy do prawdy Jeymość Dobr. nie kładła rużu?

BARONOWA.

Ani odrobiny.

WIKTORJA.

Prawdziwie, nikt by nie uwierzył.
(*na stronie.*) I ja też temu nie wierzę.

BARONOWA.

Ale Pani Rozan nie przyjeżdża.

WIKTORJA.

Wrzeczy samey to ofobliwa. . . .
Tylko że podobno powracając od Pani Mariżałkowej wstąpiła do więzienia Pałacowego, albo do Podrzutkow.

BARONOWA.

Jako! Coż to się znaczy?

WIKTORJA.

Och, ale bo Jeymość Dobr. ieździ czasem uwalniać więźniów, i rozdać

Teatr.

U

iałmużnę w Szpitalu Podrzutkow, niekiedy bywa wzruszona do tego punktu litości nad temi biednemi, że ich bierze na swoje łtanie. Wiem nawet o czworgu, że ich sama wychowuje. Ona jest bardzo miłosierna.

BARONOWA.

To mi się bardzo podoba... Ja lubię dobroczynność. . . . Wiktoryo, obacz no, czy są tam moi ludzie proszę cię, bo muszę iechać. Powiesz Pani Rozan, że bardzo żałuję, iż nie mogę dłużej czekać, ale w wieczor powroczę. Czy miała ostatniey Poczty wiadomość o swoim synie?

WIKTORYA.

Miała M. Dobr. ale odtąd nic więcej.

BARONOWA.

Bardzo ubolewam nad iey niespokojnością, kocham ją serdecznie, i Syna iey także. . .

WIKTORYA.

W Pani Dobr. w rzeczy samey winna jesteś nieco przyjaźni J. Pana Hrabiego.

BARONOWA.

Bo jest moim Kuzynem, nie prawi-
wdaż Wiktoryo? . . .

WIKTORYA.

Ale zupełnie rozumiem Mościa
Dobr.

BARONOWA.

Pan Rozan mnie wielce interessuje...
Nie jest on moim przyjacielem, ale
czuję że nim będzie. teraz jeszcze
jest nadto młodym. . . .

WIKTORYA.

Ach M. Dobr. on ma lat dwadzie-
ścia i dwa. . . .

BARONOWA.

A czy wiesz Wiktoryo, że ja już
jestem stara, rokiem iednym jestem
starsza od niego.

WIKTORYA, *na stronie.*

Otoż jest, już się młodszą zrobiła
czterma laty. (*głośno.*) Prawdziwie
W. Pani Dobr. nie wydaiesz iak dwa-
dzieścia.

BARONOWA.

To prawda, że iabym się łatwo
mogła ukryć z moim wiekiem, ale ja
powiadam iawnie. Zegnam cię ko-

chana Wiktoryo. . . . Ale, ale, nie zapomniy spytać Pani Rozan, czy nie dysponowała swoją Łożą na Komedy i Francuskiej?

WIKTORJA.

Dobrze M. Dobrodziko.

BARONOWA.

Przyszlesz mi Bilet, ia tu zostawię iednego z moich ludzi, niech zaczeka.

WIKTORJA.

To ia zawołam kogo do W. Pani; Dobr.

BARONOWA.

Nie, nie potrzeba, tylko pamiętay o Łoży. . . .

WIKTORJA.

Dopełnię roszak W. Pani Dobr.

BARONOWA.

Byway zdrowa Wiktoryo, prawdziwie iesteś nie oszacowana: ale przyszlizyż moym Bilet i każ go napisać przy sobie, bo czasem Pani Rozan iest tak roztargniona, że może zapomnieć. Ach dla Boga uciekam, już trzy kwadranse na pierwszą.

(wychodzi)

SCENA III.*WIKTORA, sama.*

OT to głowa. . . . piękna wprawdzie. . . . ale szalona. . . . Moy Boże, co by to było za umartwienie dla Jeymości. . . . Widziałam taki moment, w którym Pan Hrabia uwiedziony iey umizgami, ledwie się do niey szczerze nie przywiązał... szczęściem że to długo nie trwało. Ale słyszę Karetę. . . . O co teraz zapewne moja Pani.

SCENA IV.*WIKTORA, L'ABE, HRABINA.**WIKTORA.*

A coż M. Panie l'abé, czy to Jeymość przyjechała? . . .

L'ABBE.

Tak jest, oto idzie.

(*Hrabina wchodzi.*)

WIKTORYA.

Ona widzę jest smutniejszy niż
była.

HRABINA.

Moy Szwagier czy powrócił?

WIKTORYA.

J. Pan Kommendor? . . . Nie. M.
Dobrodziko.

L'ABBE.

I iakże M. Dobr. nie ma żadney
wiadomości? . . .

HRABINA.

Nie ma. Pani Marzałkowa rano
wyšla jednego z swoich ludzi do
Wersalu i jeszcze nie powrócił. . . .
ten iak tylko powróci, zaraz mi przy-
szle respons swego Brata. Zostawi-
łam u niego Lapiera aby czekał. . . .

WIKTORYA.

O której godzinie Jeymość Dobr.
rozkaże obiad?

HRABINA.

Mnie się zdaie, że Lapier jest tru-
cien. . . . wolę na jego mieysce po-
stać Jana;

L'ABBE.

Tylko że M. Dobr. na przyniesienie listu, nie potrzeba wielkiego rozumu.

HRABINA.

Jednakże ja chcę aby poszedł Jan, Wiktorya, poydź mu powiedź. . . . Słuchayże, niech okulbaczy konia, aby prędzey powrocił.

WIKTORYA.

Konia kulbaczyć; aby doysć na koniec ulicy. . . . Muszę poyść. . .
(*chce wychodzić.*)

HRABINA, *wołając.*

Wiktorya, powiesz żeby koni nie wyprzęgano, gdyż ja w lada moment mogę wyjechać.

WIKTORYA.

Dobrze M. Dobrodziko. (*wychodzi.*)

HRABINA.

Moy l'abé proszę cię spytay się o moy Regestr, gdyż muszę przemazać niektóre osoby, które mi zapewne nic nie doniosą.

L'ABBE.

Zaraz poszukam. (*wychodzi.*)

HRABINA, *sama.*

O moy Synu ! . . . moy synu ! . . .
 Coż to jest za stan moy ? . . . Wszy-
 scy co mnie otaczają , są mi obmie-
 rzli. Niestety ! Zdaie się że nikt tak
 nie czuje , iak ja , oprócz iedney
 Marszałkowej , i dla tego , iak ja ją
 kocham ! . . . iak mi teraz stała się
 luba ! . . . (*siada.*) iestem dziś nie-
 zmiernie strapiona . . . nie mogę się
 utrzymać na nogach . . . Ja nie wiem
 fama co się ze mną dzieie . . . to
 nie naturalna . . . Moy Boże , czy
 to tylko nie przeczucie . . . Ach
 moy Synu . . . (*wspiera głowę na rę-
 kach.*)

S C E N A V.

HRABINA, L'ABÉ trzymając Regestr.

I coż l'abé, Jan czy poszedł ?

L'ABÉ.

Już Mościa Dobr. siada na Konia...
 (*podając.*) Oto iest Regestr któregoś
 chciała.

HRABINA.

Dobrze, czytaj.

L'ABBE. *czytając.*

J. Pan Prezydent d'Arcy ..

HRABINA.

Ach wymaż tego. . . . Wszystkich
ludzi cywilnych cierpieć teraz nie
mogę. . . . Są dla mnie nadto szczę-
śliwi

L'ABBE.

Ale J. Pan Prezydent jest Jcy
Wuiem?

HRABINA.

I coż mnie z tego?

L'ABBE

Szukam ołówka. . Oto jest. (*maże.*)
A Szwagier Jeymości Dobr. nie ma
co mówić. . . . Idźmy daley. (*czyta.*)
Pan Baron d'Erville. . . .

HRABINA.

O co tego zostaw. biedny on, tak
jest strapiony, iak i ja; iego syno-
wiec, iak i moy Syn są na pierwszej
Kampanii. . . .

L'ABBE.

Baron d'Erville. . . . to ten, co jest
tak stary i głuchy. . . . Bardzoś się

dla niego odmieniła; gdyż ja pamiętam, że cię podczas niezmiernie nudził.

HRABINA.

Daley.

L'ABBE.

Xiężna de Ponteuil

HRABINA.

Zmaż ją.

L'ABBE.

Ale Mościa Dobr. ona była twoją przyjaciółką.

HRABINA.

Moją przyjaciółką? . . . Kobieta prawująca się z moimi Dziećmi. . . . Kobieta która patrzyła oziębłe i z nieiaką frogością, gdy wyprawiała na wojnę Synów iednego po drugim. . .

L'ABBE.

Od dawnego czasu Interes rządził ludźmi. Kto czytał cokolwiek, wiadomo mu iest. . .

HRABINA.

Ach! przestań W. Pan M. Panie z swoiemi uwagami, proszę cokolwiek mam łaski. . .

L'ABBE; *na stronie.*

Co za humor! (*głośno czyta.*) Pani Senantes.

HRABINA.

Zmaż, zmaż. .. Ona jest Wdową; nie ma dzieci, ani Braci, nic ją nie obchodzi.

L'ABBE, *czyta*

Pani Baronowa de Blemont.

HRABINA,

Zostaw ją, zostaw.... chociaż już od dwóch tygodni nie słyszałam iey mowiącey....

L'ABBE.

O już co to, to mię zadziwia! Korkietka, która ci zadała tyle umartwienia, która jest przyczyną że Pan Hrabia odrzucił partycy tak pomyslną; Kobieta trzpiot, pułgłowiek, którey widziałem żeś się obawiała, a nawet i nienawidziła....

HRABINA.

Już tego wszystkiego nie ma więcej.... a nadewszystko nie ma złego ferca.... Ona kochała mego syna....

L'ABBE.

Ona kochała!.... ona kochała, i to ją zaszczycą?....

HRABINA.

Ach dla Boga! są słabości których nie należy potępiać, ale tylko ubolewać nad niemi... A do tego wiesz tak dobrze iako i ja, że ona nie ma nic w swych postępках procz rostrzepania. Baronowa jest letkomyślna, ale uczciwa.... a jeżeli na swoje nie szczęście pokazała się bydź czułą, mogęz iey odmówić tcy pociechy, aby wraz ze mną rozrzewniała się... Nie, nie, jeżeli iey serce cierpi w skrytości... niech będzie u mnie, niech tu przyidzie, będzie dobrze przyięta.

L'ABBE.

Prawdziwie M. Dobr. ty w którey upatrywałem tak czyste i delikatne sentymenta, zadziwiasz mię nieskończenie.

HRABINA.

Ja ciebie zadziwiam? ... Ach, to bydź tak powinno. ... Trzeba mieć serce czułe podobne mojemu, chcąc mnie zrozumieć. Ale kończ.

L'ABBE.

Już wszystko.

HRABINA.

Ktoś idzie. Moy Boże! to może
Jan.... Obacz... Ale nie, ja poydę.
(*Wstaje.*)

S C E N A VI.

HRABINA, L'ABE, KOMMENDOR.

KOMMENDOR.

Dobry dzień moja Siostró.... Coś
ieścieś pomieszana....

HRABINA.

A mogeż bydz spokojna? Moy
Braciszku nie wiesz tam co nowego?

KOMMENDOR.

Nie wiem nic. Idę od Baronowey
Blezac, która powinna co wiedzieć,
iak ci wiadomo....

HRABINA.

I coż!

KOMMENDOR.

Ja mowie, że musi co wiedzieć,
gdyż iey Synowiec kommanderuje
woyskiem.

HRABINA.

I coż, widziałeś go?

KOMMENDOR.

Ciężko jest bardzo, od niego się czego dowiedzieć.

HRABINA.

Coż ci powiedział?

KOMMENDOR.

Byłem u niego, i rozumiałem, że go zastań, gdyż choruje na pedogry, ale się omylił, bo wyjechał do Wersalu.

HRABINA.

Wyjechał do Wersalu?... pomimo pedogry.... to musi być coś....
moy Braciszku....

KOMMENDOR.

I coż tedy?...

HRABINA.

L'abé, poszli i jeszcze do Marszałkowej... Ale nie, poszliśmy raczej do Wersalu.... Moy Braciszku....

KOMMENDOR.

Ale to wszystko nadaremnie....
Uspokoy się....

L'ABÉ.

Pani Marszałkowa W. Pani Dobrze przybiecała....

HRABINA.

L'abé, moy kochany.... proszę cię
poydź do niey....

KOMMENDOR.

Ale co za szaleństwo!...

HRABINA.

Ja się chcę wrocić do niey,...

KOMMENDOR.

Tam do Kata, słuchayże... Ja mam
mego Kamerdynera w Werśalu. . . .
Osadziłem go u Blesaka z rozkazem
wyraźnym, aby zaraz powracał, skoro
uślyszy co nowego. Jest to Dumont,
ty go znasz, wiesz iak iest dowcipny
i sprawny. . . .

HRABINA.

Ale on gdy powroci; poydzie do
siebie. . . .

KOMMENDOR.

Och nie, bynajmniey, ponieważ
się myślę u ciebie zabawić, kazałem
mu tu powracać, gdyż mnie pewniey
tu załtanie, niż w moim domu.

HRABINA.

To ty mnie nie odstępisz? . . . Moy
Braciszku, coż to znaczy? . . . Dla

Boga! czy nie wiesz czego? Moy Braciszku może się stać przedemną...

KOMMENDOR. *Od. 17.*

Co u Diable ci się stało?...

HRABINA.

Nie wiesz o niczym?

KOMMENDOR.

Ala o czym?

HRABINA.

O batalii... Nic mi nie odpowiadasz?... Już zapewne jest wydana... Moy Synu!... *(upada na krzesło.)*

KOMMENDOR. *Od. 18.*

Moja Siostro, moja Siostro... Ty mnie z rozumu wyprowadzisz; nie wiem nowego, powtarzam ci i po-przyśięgam.... Dalibog masz głowę zawroconą.

HRABINA. *Od. 19.*

Ach odetchnęłam... Ach moy Braciszku wybacz mi... Nieszczęście! ktoż mnie usprawiedliwi, jeżeli nie ty?

KOMMENDOR. *Od. 20.*

Nie, ja cię nieusprawiedliwiam, jesteś bardzo dziwna. Coż u Diable, twój Syn jest moim Siostrzeńcem, ostatni z naszego imienia, czyliż rozumiesz

zumiesz, że mi nie jest równie miły
jak i tobie?...

HRABINA.

Ach nie równaymy się.

KOMMENDOR.

Coż u Kata! ia cię nie poznaię....
Przypomniy sobie, iak wiele razy
wraz ze mną pragnęłaś wojny?...

HRABINA.

To pragnienie było nie ludzkie, nie
rozumne, Bog mnie wysłuchał wpra-
wdzie, ale razem i ukarał, że przy-
szło do wojny....

KOMMENDOR.

A, iak widzę, gdybyś znalazła ia-
ki sposob powrocenia twego Syna,
zarazbyś go wykonała, i....

HRABINA.

O Nieba! coż ty myślisz?... Ach
iak źle mnie znasz... Bądź pewny, że
śława daleko mi jest miłszą nad iego
życie....

KOMMENDOR.

Ach! otoż to jest, iak powinna mo-
wić Francuska....

Teatr.

W

L'ABÉ.

Już druga godzina .. Czy Jeymość
Dobr. nie będzie u Stołu?

KOMMENDOR.

Poydźmy, poydźmy moja Siostro do
Stołu.

HRABINA.

Nie, nie będę dziś iadła.

KOMMENDOR.

Ja na to nie pozwolę... Czy chcesz
się umorzyć?

HRABINA.

Moy Biaciszku... prawdziwie nad-
tom iadła wczoray na wieczery...
Idź, proszę cię zostaw mnie, na mi-
łość Bożką zaklinam cię...

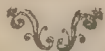
KOMMENDOR.

No, L'abé podźmy; tylko nas
dwoch przy rozumie w całym domu.
(wychodzi.)

HRABINA, sama.

Moy Syn, ostatni z tego Imienia, to
jest, co go uderzyło... Ach dla Bo-
ga! iak mu to głowę zaiąć mogło?...
Jak iest pycha podła i szpetna, która
przytłumia wszelki sentyment...
Naylepiey mi kiedy iestem sama...

i zupełnie od wszystkich oddalona....
Wstrzymują moy żal, ale mnie rozer-
wać i na moment nie mogą... Ja nie
żyję.... nie.... każdy poranek rada-
bym, aby był końcem dnia.... Nie-
pewność, oczekiwanie.... nadzieia
co moment dręczą mnie na przemia-
nę. Jakżem ja bezrozsądna, może....
Tak jest, może ten stan, w którym się
dziś znajduję, jest szczęśliwszy w po-
rownaniu z tym, który mnie czeka!..
Co za uwaga rozpaczy pełna! Nie-
stety! Ja żądam wiadomości, a ta mo-
że w grob mię wpędzi. ... Jeżeli ie-
stem przeznaczona na okropne nie-
szczęścia, to przynajmniej w tym
pociecha, że ich nie przeżyję.... Ja-
bym miała żyć na ten czas? ... a to
jak, i dla kogo? ... o moy Synu? ...
niechcę żyć tylko dla ciebie.... twój
los jest przeznaczeniem moiego.
(*Wspiera głowę na rękę zasłoniwszy chu-
stką twarz, siedząc u Stółika, który stoi
przy niej.*)



S C E N A VII.

HRABINA, WIKTORYA,
MAŁGORZATA.

HRABINA,
porywając się nagle, widzi Wiktoryę

K Toż tam? czego chcesz?

WIKTORYA.

I to nic M. Dobrodziko... to Małgorzata, ta łtara Kobieta, którąś wyprowadziła z nędzy, przyszła ci podziękować.

HRABINA.

Co za naprzykrzenie, w takim stanie iak jestem... czemuś iey nie odprawiła?

WIKTORYA.

Chciałam się spytać Jeymości Dobr.

HRABINA

To dobrze, powiedzże iey, że nie mogę z nikim się widzieć....

WIKTORYA.

Ta biedna Kobieta, iest także wielce strapiona. . . .

HRABINA.

Jeżeli ieszcze potrzebuie pieniędzy,
niech iey dadzą.

WIKTORJA.

Och to nie oto. Moy Boże! ona te-
ras z łaski W. Pani Dobr. iest dosyć
bogatą, tylko że ma Syna...

HRABINA.

Ona ma Syna!...

WIKTORJA.

Tak iest, ma Syna Zołnierzem,
i. . . .

HRABINA.

Ona ma Syna Zołnierzem!
Ach biedna Kobieta, iak ja iey za-
łuie. . . . Niech nie odchodzi, Wikto-
ryo chcę ią widzieć. . . .

WIKTORJA.

Jey Syn iest Zołnierzem właśnie w
Regimencie Pana Hrabiego. . . .

HRABINA.

Niech przyidzie, niech przyidzie...

WIKTORJA.

Poydę ią zawołam. . . Będzie bardzo
kontenta. . . . (wychodzi,)

HRABINA, *sama.*

Słodko mi będzie widzieć tę Kobiętę ubogą, słyseć, i płakać z nią razem. . . . Otoż i ona. . . . (*Wiktorya powraca z Małgorzatą, Hrabina wstaje i idzie ku niej.*) Przybliż się, przybliż. Wiktoryo poydź sobie. (*Wiktorya wychodzi.*)

MALGORZATA.

Wybacz Pani . . .

HRABINA.

Poydź. . . .

MALGORZATA.

Ach Pani, przez twoie wspaniałe opatrzenie życieś mi zachowała. . . . Wybacz mi Pani, że się stawię w oczach twoich nie wesołą. . . . i ieżeli po mimo mnie. . . .

HRABINA.

Ty płaczesz biedna. . . . iak mię ona rozrzęwnia! . . .

MALGORZATA.

Niestety! Pani, bo ia mam Syna..

HRABINA.

Tak, wiem. . . . Jak się nazywa?

MALGORZATA.

Tulip, Pani, to jest imię iego wojskowe, służy w Regimencie Pana Hrabiego.

HRABINA.

Wiele ma lat? ...

MALGORZATA.

Dwudzieśty pierwszy Pani, on jest jedyną moją pociechą.... Póki się nie zaczęła wojna, byłam Pani tak szczęśliwa... byłam zdrowa, mogłam pracować, miałam z czego żyć.

HRABINA.

Moja kochaneczko, bądź spokojna, nie będzie ci na nieczym zbywało.

MALGORZATA.

Och Pani, udarowałaś mnie nad potrzeby moje... ale Syn mój... Niestety! Pani, jeżeli zginie, wszystko coś dla mnie uczyniła, stanie się nieużytecznym.. Znam ją dobrze, co to zgryzota...

HRABINA.

Nie, nie, moja kochanko, Bóg się zlituje nad tobą i nademną... przywróci nam naszych Synów.

MALGORZATA.

Ach tak Pani, co dzień nawet zaczęłam Nowennę.

HRABINA.

dobywszy worka z pieniędzmi, dała jej.
Na moje dziecię. . . .

MALGORZATA.

Pani... prawdziwie nie przyszłam tu po to..

HRABINA.

Weź, weź... Schowaj te pieniądze dla swego Syna, oddasz mu iak pówroci...

MALGORZATA, *ocierając oczy.*

O! mój biedny Tulipie... Wybacz Pani, ty znasz co to być Matką...

HRABINA.

Słuchaj mię... Ja napiszę do mego Syna zalecając twego, i żeby mi doniósł o nim... Napiszę mowę, ięszcze tego wieczora...

MALGORZATA.

Ach Pani! iak ty mnie cieszysz; gdyż jeżeli Syn mój jest raniony, któż o nim mieć będzie staranie?

HRABINA.

Ach dla Boga ! co za smutne wyobrażenie ! . . . A jeżeli i z moim toż samo stanie się ? . . .

MALGORZATA.

Byle tylko jeszcze na tym skończyło się ! . . . , gdyż nieszczęścia ! gdy kto idzie na wojnę , ieden tylko Bog wie czy powroci zdrowo A iak na nieszczęście , im kto odważniejszy , tym prędzej wpadnie w niebezpieczeństwo A mój Syn jest tak śmiały , tak odważny !

HRABINA.

Idź sobie moje dziecię , idź
Zostań w moim domu , będziesz u mnie mieszkać , będę o tobie miała staranie , będę cię u siebie chowała . . .
Potym przydziesz do mnie , ale teraz idź sobie muszę sama zostać .

MALGORZATA.

Bog cię błogosławić będzie Tak Pani będziesz oglądała Syna twego , ujrzyysz go w krotce w zupełnym zdrowiu Serce moje to przeczuwa

HRABINA.

Ach biedna Kobieto! ty mnie cieszysz; jest to pierwszy moment pociechy, której doznaię. ... Uściskaj mnie....

MALGORZATA.

Ach Pani! Pani....

HRABINA.

Moja kochana przyjaciółko, iak moy Syn powroci, będę prosiła o abszyt dla twego, ożenię go, osadzę, przyrzekam ci.

MALGORZATA, *upadając do nog.*

Pani, czy to podobna!...

SCENA VIII.

HRABINA, MALGORZATA,
KOMMENDOR.

KOMMENDOR.

PRAWDZIWIE wyśmienicie podiałem.... Otoż znowu coś nowego... Co tam u Diabła moja Siostra robi?...
 6

HRABINA, *podnosząc Małgorzatę.*

Idź kochana Małgorzato, jeszcze się dziś nie raz z sobą obaczemy, idź.

MAŁGORZATA, *odchodząc na stronę.*

O moy Boże! ty jesteś sprawiedliwy, zachoway iey Syna....

(wychodzi.)

KOMMENDOR.

I coż moja Siostró, ty się łzami zalewasz. . . . Na moy honor tyś widzę oszalała.

HRABINA.

Czego chcesz moy Franciszku, ia się nie mogę odmienić.

KOMMENDOR.

L'abé mi powiadał o tobie iedną rzecz, która mię bawi.

HRABINA.

Coż takiego?

KOMMENDOR.

Ześ wszystkich wymazała z twego Regestru, a zostawiłaś Panią Baro-nową de Blemont, a to dla pięknych układów, które miała o twoim Synie.. Gdy sobie wspomnę wszystkie proro-ctwa, któreś mi o niey powiadała,

twoje boiaźni... twoje wzdychania, twoje płacze... Ach żałowałbym całe życie, i moiego głupiego politowania, i tyle nocy strawionych na zreflektowaniu ciebie. Pani Baronowa de Blemont jest szalona... osławiona... zgubiona... głupia, na którą ja sam, mam tysiąc przyczyn ulkarzania się....

HRABINA.

Czy już wszystko powiedziałeś?

KOMMENDOR.

Nie, bynajmniej, usłyszysz mnie aż do końca. Nie wchodzę, z jakiego powodu to czynisz, ale jeżeli ten jest omylny i dziwaczny, coż na to odpowiesz?

HRABINA.

Jak to?

KOMMENDOR.

Tak, Baronowa dla tego ma do ciebie przyłtęp, iż sadzisz że jeszcze kocha mego Synowca, nieprawda?

HRABINA.

I coż ztego?

KOMMENDOR.

A ja ci powiadam, że ona tyle o nim myśli, co o Sułtanie Tureckim.

HRABINA.

Prawdziwie moy Braciszku bez zaślepienia mogę sądzić, że moy Syn może być kochany; to pewna że ona miała skłonność do niego, okoliczności i niebezpieczeństwo w którym został, powinny utwierdzić sentymenta, które nie były zupełnie odmienione.

KOMMENDOR.

Sentymenta! ... Smieszna rzecz.... Tak, Baronowa jest Kobieta do Sentymentow.... Twoy Syn jest młody, ładny, kształtny, sądzę że miała do niego fantazyą żywą....

HRABINA.

Co za myśli! ... Co za wyrazy!..

KOMMENDOR.

I iakże, to cię jeszcze nie odraża? Ach ja ci radzę być rozsądną.... w ten czas nawet gdy chcesz przyimować naychętniey Kobiety, o ktorey... proszę mi nie wspominać.... Ale wróćmy się do rzeczy. — Otoż Mościa Pani, ja utrzymuję, że Pani Baronowa de Blemont nie ma żadney potrzeby, aby przyjeżdżała W. Panią cieszyć.

HRABINA.

Nie potrafisz odmienić moiego mniemania.

KOMMENDOR.

Tak właśnie, owzem potrafię, słuchay. . . .

HRABINA.

Dla Boga! moy Braciszku, day pokoy tey mowie.

KOMMENDOR.

Jeszcze tylko powiem iedno słowo. Baronowa była dziś rano u ciebie.

HRABINA.

Ach! ona u mnie była, a nikt mi o tym nie powiedział!

KOMMENDOR.

O była zapewne.

HRABINA.

Otoż widzisz, że o mnie nie zapomiała.

KOMMENDOR.

Ale czy wiesz dla czego? ... Zgadniy. . . . Otoż ia ci powiem, przyiechała prosić ciebie o Łożę.... I coż powiesz na to? a potym historycznie opowiedziała Wiktoryi, iak całą noc tańcowała. . . . A co! nic nie mo-

wisz? Otoż to Kobieta strąpiona,
Kobieta pełna sentymentu, którego
nigdy nie miała. . . . Moja Siołtro,
poznay się lepiej na twoich przyja-
ciolach; nie należy we trzydziętym
osmym roku bydz tak łatwowierną
iak iesteś. . . .

HRABINA.

Ach moy Braciszku, słyszę tam ha-
łas.... To zapewne z nowiną.

KOMMENDOR.

To może Dumont.

HRABINA.

Obacz. . . . obacz. . . . ach moy
Braciszku!

S C E N A IX.

HRABINA, KOMMENDOR, L'ABE,
WIKTORFA.

WIKTORFA, *biegąc.*

MOścia Dobr. oto List.

HRABINA.

List.... a od kogo? . . .

WIKTORJA.

Od Pani Marzałkowej.

HRABINA.

Ach day mi go... (*upada na krzesło.*)L'ABE, *pocichu do Kommendora.*

Wygraliśmy batalią. o innych okolicznościach nic nie wiem.

KOMMENDOR.

O Boże! tylko cicho. . . .

HRABINA.

*czyta odpieczetowany List, co się długo przeciąga dla iey zmieszania.*Niestety Mościa Dobrodziko jestem wielce strapiona. (*przerzywa.*) Ach moy Synu umieram... (*upada zemdlawszy.*)

KOMMENDOR.

Ach dla Boga, moja Siostro...

WIKTORJA, *biorąc ją za rękę.*

Ona jest bez zmysłów.

L'ABE.

Trzeba ją ratować.

KOMMENDOR.

Wody, wody. . . . Odepnięcie iey kołnierza. . . . L'abé zawołał na Ludzi. . . . (*L'abé przyprowadza Ludzi, którzy się krzątają.*)

WIKTO-

WIKTORJA.

Ona ieść iak nie żywa....

KOMMENDOR, *do Wiktorji.*
Czy trzymasz ją dobrze?...

WIKTORJA.

Trzymam Mości Dobr.

KOMMENDOR.

Obaczmy ten List nieszczęsny....
czy to prawda. . . . (Gdy Hrabinę ra-
tują, on bierze List i czyta pocichu, potym
przeczytawszy zawoła głośno.) L'abé,
L'abé, moy Siostrzeniec zdrow cuda
dokazywał, i najmnieyszey rany nie
odnioś.

L'ABÉ.

O Boże!

WIKTORJA.

Ach M. Panie Kommendor poydź,
przywroć moley Pani życie....

KOMMENDOR.

Ona przeczytała tylko pierwsze sło-
wa Listu... Co u Diabła! te Kobie-
ty zawsze zaczynają od mdłości...
Ona mię tak zmieszała... że aż mi
ślabo. . . .

Teatr.

X

WIRTORIA.

Zdaie mi się, że przychodzi do siebie.

L'ABE.

Poczekajcie poczekajcie, przyszło mi na myśl. Gdy powroci do zmyśłów, a powiemy nagle o prawdzie, trzeba się obawiać, aby gorzej nie zapadła. Bywają przykłady, że Kobiety od radości nagle pomarły, iak owa niegdyś sławna Lacedemonka....

KOMMENDOR

Co tam L'abé teraz wyieżdżasz z tą Lacedemonką. . . .

WIKTORJA.

M. Panie Kommendor, ja rozumiem że Pan L'abé dobrze mówi . . . potrzeba koniecznie Jeymość Dobr. troche przygotować.

KOMMENDOR.

Z Panem Bogiem, ale zrobcie to sami, bo ja tego nie umiem. . . .

L'ABE.

Dobrze, dobrze, spuść się na mnie... i nie mów nic, poki ja nie dam znaku.

KOMMENDOR.

Dobrze, byle to było nie długo...

WIKTORJA.

Już bladeść z twarzy ustępuje trochę. . . .

L'ABBE. . . .

Przychodzi do siebie. . . . przychodzi. . . . M. Panie Kommendor stań tam za nią, bo iak na ciebie spoyrzy, to będzie po wszystkim....

KOMMENDOR.

Dobrze, dobrze, ale spiesz się.

HRABINA, *otwierając oczy.*

Moy Synu! . . . moy Synu!...

L'ABBE.

Pani pamiętaj się.

HRABINA.

Moy Synu! . . . Puśćcie mnie. . . .
Daycie mi umrzeć . . .

L'ABBE.

Ale W. Pani Dobr. tego Listu nie dokończyła, a my go czytali. . . .
ieszcze dla niey zoltaie iakaś nadzieia. . . .

HRABINA.

Czy żyje ieszcze?...

KOMMENDOR.

Tak, tak, życie....

HRABINA.

Ach moy Braciszku! ach moy kochany Braciszku!... To tylko śmiertelnie raniony?...

KOMMENDOR.

Nie, nie....

HRABINA.

upadając na Kolana.

O moy Boże!... moy Boże, chciałam umrzeć, przepuść mi.... Zachowaj mi Syna mego....

KOMMENDOR.

Dosyć tego przygotowania....
L'abé!

L'ABBE.

Jeszcze momencik....

HRABINA.

Moy Braciszku... Moi Przyjaciele... Syn moy czy nie jest śmiertelnie raniony? ... Czy tylko mnie nie zwodzicie? ...

KOMMENDOR.

I moja Siostró....

L'ABÉ.

Uspokoy się W. Pani Dobr. podziękuy Bogu. . .

HRABINA.

Powinnam mu dziękować. . . Ach Boże ! o moy Boże ! Życie moje ci poświęcam, jeżeli Syn moy ieſt zdrow.

KOMMENDOR.

Jeżeli ty L'abé nie skończysz, to ona się wyrzeczce Świata, ieſzcze moment to i Karmelitką zoſtanie. Moia Sioſtro ſłuchay, otrzyi ſzy daremne, nie powinnaś ich wylewać tyko od radości. Rozumieſz mię? . . .

HRABINA.

Od radości. . . . Ale Syn moy ieſt raniony. . . .

KOMMENDOR

Nie, mowię ci że wcale nie. . .

HRABINA.

wſtaſzſzy rzuci ſię Bratu na ſzyję.

Coż ia ſłyſzę ! ach moy Braciſzku, czy to bydź może ? . . .

KOMMENDOR.

On się ma lepiej od nas.

HRABINA, *ściskając Brata.*
O nieba! ... moy Braciszku...

L'ABE.

Tak Mościa Dobr.

WIKTORYA.

Nayukochańsza Pani moia, nic prawdziwszego. ...

HRABINA.

Ale ten list...

KOMMENDOR.

Marzałkowa ci donosi, iż bardzo jest śtrapiona, że Syn iey iest raniony, ale zletka. Pisał nawet sam do Matki donosząc o sobie i o twoim Synie, który iak powiada dystyngwował się sposobem nayswietniejszym...

HRABINA.

On się dystyngwował! ... Ach nie wątpiłam o tym... ale on żyje... nie iest raniony?...

KOMMENDOR.

I batalia wygrana. ... zupełnie, i pokoy wkrotce nastąpi...

HRABINA.

Pokoy! ... pokoy.... I przezcożem załłużyła na tyle pomyślności?

Moy Synu, będę cię oglądała, po ty-
lu łzach i udręczeniu! Ty mi bę-
dziesz powrocony.... Moy Braciszku
uściskayże mnie, i ty także kocha-
ny L'abé, i ty moja biedna Wiktoryo...
Winiszycie wszyscy Matce nayszczę-
śliwszey w Świecie. (*Kommendor i*
L'abé ściskają ją, a Wiktorya całuje w ręce.)

H R A B I N A.

Lisť moy.... gdzie on jest, niech
go przeczytam....

K O M M E N D O R.

Oto jest, (*bierze go.*) Co za dzień
szczęśliwy batalii wygranej... Jak
mi żal żem porzucił służbę.... Za co-
żem nie dośłużył do tego momentu
pomimo mego wieku i pedogry!

H R A B I N A, *przyczytawszy.*

Ach Synu moy, moy kochany Sy-
nu!... Coż za szczęśliwość moiej
wyrowna!... Ale ta biedna Marszał-
kowa.... Poydźmy Braciszku, po-
cieszmy ją.

K O M M E N D O R.

Syn sam pisze do niej że jest lekko-
raniony,

H R A R I N A.

Ach! wiem ia, iak ieſt trudno po-
cieſzyć ſerce Macierzyńskie... Poydź
moy kochany Braciſzku, nie odſtępuy
mnie, a nadewſzyſtko ukrywaymy
zbytek naſzey radoſci przed nią, aby
ſię nie pomnożyło iey udręczenie.

(wychodzą.)

K O N I E C.



WIEZIENIE

K O M E D Y A.



OSOBY.

BARON de TERVILE.

ORPHISE,

Siostra Barona.

ZOFIA,

Córka Barona.

TERVILLE,

Brat Zofii.

KLEANT,

przyjaciel Barona.

LINDOR,

Amant Zofii.

MARTA,

Pokoiowa Zofii.

Scena w Zamku Barona.



WŁĘZIE NIE

KOMEDYA

W IEDNYM AKCIE.



SCENA I.

Teatr wystawia Salon.

BARON, KLEANT.

BARON.

ZNAYduiesz nas wszystkich od godziny w wielkim zamieszaniu; o przyczynie tego powiem ci zaraz.

KLEANT.

Coż się stało ?

BARON.

Oto jest tak : Ja ci obiecałem moją Corkę, i że nie poydzie za kogo innego ; nasza dobra przyjaźń, nasze Dobra w Sąsiedztwie, wszystko to jest powodem....

KLEANT.

Ale do czego zmierza ta mowa? proszę mów, o co idzie moy kochany Baronie.

BARON.

O to idzie, że Zofią kocha inny Młodzieniec, którego ja także wielce kocham, a ten jest Lindor moy Synowiec.

KLEANT.

I za coż mu nie daiesz pierwszeństwa? . . .

BARON.

Ty żartujesz ze mnie, Lindor jest w wieku Zofii, porodzili się właśnie iednego dnia, i w tym samym pałacu. . . .

KLEANT.

Ja to znajduię bardzo czule. . . .

BARON.

Tak, bardzo czule, otoż właśnie
iak moja Siostra....

KLEANT.

Z tego wszystkiego wnoszę, że mi
się należy ustąpić; w moim wieku
nie potrzeba passować się z miłością,
i młodością połączoną....

BARON.

Co za bzdury!... Rozumiesz pe-
wnie, iżbym mógł ci przyobieczać
Corkę, gdybym nie był pewny, że iey
serce jest zupełnie wolne?

KLEANT.

Znam dobrze szacunek wdziękow
i powabow Zofii, który zasadam na
nierozzerwanym węzle naszey przyia-
źni; ale ja jestem w wieku tym,
gdzie rozum powinien strzedz od mi-
łości, i Rywał który się wydarza....

BARON.

Piękny Rywał, który nie ma lat
siedmnaštu, Student!...

KLEANT.

Takich się naywięcey obawiać po-
trzeba. . . .

BARON.

Ja ci powiadam, że Zofia ani myśli o nim, ona jest bardzo rozsądna...

KLEANT.

Ponieważ tak mówisz, dość dla mnie, jestem spokojny; ale jeszcze raz powiadam, ja nie poynię, iak chęć tego młodzieńca nie nakłoniła cię na jego stronę.

BARON.

Bo jest nadto młody, i nie bardzo bogaty. Brat mój stracił fortunę i zolał mi tego chłopca na moję opieczę. Zofia i on byli razem wychowani w tym pałacu.

KLEANT.

Przyznaj sam, że prawie sam los przeznaczył jedno dla drugiego.

BARON

Oy nie, to roztropność Rodziców stanowi los dla Dzieci.... Tak tedy Lindor nie wiedząc sam o niczym zakochał się w Zosi, a iako mam dobre oko na wszystko, postrzegłszy to, wysłałem go do Strazburga; przyjął służbę od ręki, i już będzie dwa lata iak nie widział swoję Kuzynk,

w piętnastym roku z nią się rozsta-
wszy. Ty znasz dobrze co to jest ta
chuć piękna i iak bywa gruntowna;
ale biedny chłopiec ma głowę żywą,
jest z natury popędliwy i gorący....
Dowiedziawszy się w Strazburgu, że
mam wydać Zosią za męża, wyiechał
natychmiast i przybiegł tu dopiero;
otoż to jest com ci miał powiedzieć.

KLEANT.

Jak to, on tu jest?

BARON.

Tak, tu się znajduje. . . . Wszedł
sekretnie do pokoju mego Syna, któ-
ry mnie o tym przestrzegł; nie chcia-
łem go widzieć, tylko posłałem moją
Sióstrę, aby mu głowę zmyła należy-
cie, i kazała mu się wrocić nazad.
Gdyż nie omylnie ożenisz się jutro z
moją Corką, musimy się dziś go po-
zbydź koniecznie.

KLEANT.

A Zofia wie o tym? . . .

BARON.

Nie wie i odrobiny o tym wszy-
stkim. — Ale słyszę głos Orphisy,
dowiemy się, czy Lindor nakłonił się
wyiechać dobrowolnie.

S C E N A II.

BARON, KLEANT, ORPHISE.

BARON.

I Coż moja Siostró ?

ORPHISE.

Ach biedne Dziecko, biedne !

BARON.

I coż pojechał ?

ORPHISE.

Jeszcze, ale ja mówiłam mu z powagą i żwawo, że zapewne się pomiarkuje powoli. Z tym wszystkim strasznie mi zranił serce, iak się dowiedział, że kuzynka jego jutro idzie za męż; omdlał, a potym wpadł w furę, i raz płacze, drugi raz się gniewa, na koniec zostałam go z twoim Synem, który go zechce zaspokoić; i kazałam Marcie, aby tu do nas przyprowadziła Zofię, żeby się nie spotkała z tym szalonym Młodzieńcem.

BARON.

BARON.

Coż tedy będziemy robili? Jeżeli zostanie, zrobi tysiąc głupstw....

KLEANT.

A choćbyś mu gwałtem kazał wyiechać, on się skryje gdzie blisko....

BARON.

O! nie bardzo mnie łatwo oszukać.: Ale mi przychodzi myśl wyborna, słuchajno co ja myślę... (do Kleanta.) Co byś się miał jutro żenić, weź ślub dzisiaj w wieczor. Nic łatwiejszego; intercyza jest gotowa: . . .

KLEANT.

I coż za tym poydzie?

BARON.

Oto tak; poydę do mego Synowca; będę go namawiał łagodnie, a ty wyiechał, z kondycją iednak, że mu dla konwoiu do Strazburga przydam Kamerdynera, którego iestem pewny.

ORPHISE.

Tak, la Fleur.

KLEANT.

Bardzo dobrze, a ieżeli nie zechce konwoiu?

Teatr.

Y

BARON.

O! na ten czas użyję mocy, i zamknę iak nieposłusznego w Oficynie nowej aż do jutra.

ORPHISE.

To nadto surowo.

KLEAAT.

Prawda, ta konieczność byłaby okropna.

BARON.

Jednakże tak musi być, upewniam. . . .

ORPHISE.

Ach mój Braciszku! . . .

BARON.

Ach moja Siostro, ja wiem dobrze że ty masz litość nad Lindorem, ale tu idzie o to, aby uprzedzić złe skutki, które być mogą niebezpieczniejsze, niż niewola przez 24 godzin. . . .

ORPHISE.

Ale gdy go zamkną, a on zacznie wrzeszczeć. . . .

BARON.

O! niech wrzeszczy iak chce, nie będzie słyszany od nikogo; ta Ofi.

cyna jest dobrze opatrzona, nikt w niej nie mieszka, dziedziniec i ogrod ją oddziela, więc...

ORPHISE

Jak sobie chcesz, mów tedy z nim, tylko ja bardzo wątpię żebyś co wykorzystała.

BARON.

O! on się mnie boi, spodziewam się że mnie usłucha i wyiedzie. Bądźcie zdrowi: Ty moja Siostró miej oko na Zofię, żeby o tym wszystkim nic nie wiedziała, boby się na nic nie przydało. (*wychodzi*)

SCENA III.

ORPHISE. KLEANT.

KLEANT.

PASSYA tego młodzieńca wielce mnie obchodzi, tak prawdziwa i tak gwałtowna. Czy W. M. Pani rozumiesz, iż Zofia dowiedziawszy się do

jakiego stopnia on ją kocha, okaże na to ferce nieczułe?

ORPHISE.

Kto! Zofia?... Ona jest tak prosta i niewinna!

KLEANT.

Czy nigdy nie słyszała o miłości swego Kuzyna?

ORPHISE.

Ach! mogę cię zapewnić, że najmniej rzeczy o tym nie wie; iam ją wychowała, ja ją znam lepiej iak mnie samą, bom ją starała się poznać szczegulniey, a wiesz dobrze że mi nie zbywa na przeniknieniu. Zofia jest dobra, łagodna, powolna, ale co chuci iej wszystkie słabe i umiarkowane; ona przy moim staraniu nie zna nazwiska nawet miłości, i po-przyśięgam ci, że nie jest zdolna uczuć ją kiedy.

KLEANT.

Będzie tym szczęśliwsza.

ORPHISE.

Ma ona wszystkie przymioty, które męża uszczęśliwić mogą; powiem ci nawet, że gdyby Lindor miał sześc

lub siedm lat więcey, mogłabym nakłonić Brata mego, aby wydał Zofią za niego, a na uwieńczenie tego związku, byłoby mi miło zapisać cały moy majątek; ale moy Siostrzeniec może się lepiej ożenić, ma piękne imię, urodę kształtną, mam napiętą dla niego żonę, Corkę bogatą iednego z Poborców. . . . Ale podobno słyszę głos Zofii, muszę iey oznaymić że ślub będzie tego wieczora.

KLEANT.

Ja ciebie z nią zostawuję, tylko moja Pani, nadewszystko proszę, abys się iey skłonności w niczym nie sprzeciwiała. (*wychodzi.*)

ORPHISE, *sama.*

O ja nie pozwolę, aby miała skłonność przeciwną moiey woli; nigdy ja nie zcierpiała z sobą rezonować ani tłumaczyć. Tak to potrzeba edukować młode Panienki! Ale otoż i ona. . . .



S C E N A IV.

ORPHISE, ZOFIA, MARTA.

ORPHISE., *na stronie.*

MUSZĘ wprzód pomiarkować czy już nie wiedzą o czym. (*głośno.*) Zbliż się Zofio; spożyłaś się tu z twoim przybyciem, czyś się z kim nie spotkała?

ZOFIA.

Nie Mościa Dobr.

ORPHISE.

A ty Marto?

MARTA.

Spotkałam się z P. Kleantem, który miał mnie smutną i zamyśloną, właśnie nie przystałą na P. Młodego przed swym ślubem.

ORPHISE.

Ale, ale, moja Siostrzenico, mam ci powiedzieć dobrą nowinę; miałaś jutro poyść do ślubu....

MARTA.

Czy się już rozeszło wesele ?

ORPHISE

Cicho, milcz.... (*do Zofii.*) Ułożyliśmy że weźmiesz ślub tego wieczora ! . . .

ZOFIA.

Tego wieczora ! . . . (*na stronie.*)
o. Nieba ! . . .

MARTA.

I koniecznie z P. Kleantem ? . . .

ORPHISE

Co zagłupie pytanie, a z kimże ?

MARTA.

Ale W. Pani Dobr. powiedziała, że masz powiedzieć dobrą nowinę !

ORPHISE

Już to od dawnego czasu Marto, twoje głupstwa są mi nieznosne, potrafię ukrocić one.

ZOFIA.

Tego wieczora ! . . . Przyznaj moia Ciotko, że ten pospiewak cię zadziwia.

ORPHISE

Jestem pewna, że ci owo cię przykreści, idziesz za M. . . . uczciwego i kochanego . . .

MARTA.

Och ! . . .

ORPHISE.

Eyże . . .

MARTA.

Ja Mościa Dobr. nic nie mówię.

ORPHISE.

Znasz twoje powinności i posłuszeństwo, które jest nadewszystko, związek który cię czeka, pewnie nie zasmuci twego serca.

MARTA, *na stronie.*

Piękny wniosek i rozumny....

ORPHISE.

Muszę uczynić rozporządzenie potrzebne względem wesela; wy tu obydwie zostaniecie, i nie wychodźcie poki wam nie każę. . . . Rozumiesz Marto?

MARTA.

Rozumiem Mościa Dobr. ale nie poymię, dlaczego tu nas osadzasz w areście....

ORPHISE.

Ja nigdy nie daię przyczyny, kiedy rozkazuję, powinnaś to wiedzieć.

MARTA, *na stronie.*

Chwalebny i przyjemny zwyczaj!...

ORPHISE.

Zegnam cię, staray się bydź wesołą,
i nie przychodź dziś w wieczor z mi-
ną posępną, która wcale nie przystoi
do twego Stanu. (*wychodzi.*)

SCENA V.

ZOFIA, MARTA.

MARTA.

TAK, tak, nie daway nam przy-
czyny, wiemy my dobrze co mamy
czynić....

ZOFIA.

Ach Marto!....

MARTA.

I coż Mościa Panno; coż będziemy
czyniły? Naradźmy się. Lindor iest
tu; gdyby iako można sztucznie go po-
stawić na miejscu Kleanta. . . .

ZOFIA

Ach w ostatniey iestem rozpaczy.

MARTĄ.

Czynisz swoją powinność, tak być powinno; ale ja co więcej mam krwi zimnej, mogę pomyśleć i załtanować się. . . . Powiedz mi M. Panno, czy to Brat W. Panny opowiedział wszystkie okoliczności tak nagłego przybycia?

ZOFIA.

Jużem ci powiedziała, Brat mi oznajmił o wszystkim w swoim bilecie.

MARTĄ.

Powiadalaś mi to bardzo krótko, i tak prędko.

ZOFIA.

Lindor jest u mego Brata, który na niego nalega, aby wyjechał. . . .

MARTĄ.

Ale twój Brat, który cię tak kocha, powinienby zrzadzić abyście się z sobą widzieli, co łatwo być mogło w ten czas, gdy twój Ojciec, Ciotka, i mniemany Kawaler tu bawili.

ZOFIA.

Moy Brat dał słowo Ciotce, że Lindor nie wyidzie od niego, ale widząc swego Kuzyna nieszczęsnego w rozpacz, tyle mu łaski na prośbę jego uczynił, że mu pozwolił napisać list, który do mnie odesłał.

MARTA.

Dobrze i to.

ZOFIA.

Oto ten list luby i ukochany, który mi wolno jeszcze skrapiać rzewliwemi łzami, bo jestem wolna; ale tego wieczora, o Boże! będę musiała wyrzucić z pamięci miłość iak czułą tak nieszczęśliwą.

MARTA.

Prawdziwie ty pięknie rozprawiasz; każdyby to słyszac powiedział, że szczerze kochasz, a jednak nie ma nic z tego.

ZOFIA.

Jak to?

MARTA.

Ach gdybyś W. Panna kochała, nie byłabyś tak bojaźliwą w oświadczeniu się Rodzicom i odśpieniu swego Amanta bez odporu.

ZOFIA.

Coż chcesz abym czyniła? Nauczono mnie dwóch tylko prawideł, które były zasadą moiej edukacyi; słuchać i milczeć; Ja ich dopełnię, ale i żyć przestane.

MARTA.

Tam do Kata, piękne nauki; a ięszcze dla Kobiety.

ZOFIA.

Moja Ciotka nie pozwoliła mi nigdy i na moment poufałości do siebie. . . .

MARTA.

Prawda, ona nie lubi ani odpowiedzi, ani wymowki, i gdy sama się nagada do woli, każe milczeć, i nic nie chce słuchać. Ja wiem mówi ona, że ty myślisz to, że w tym zdanie twoie jest przeciwne; a co najsłabsza, że iey domysł nigdy nie jest sprawiedliwy, i zawszeby można odpowiedzieć przeciwnie. . . .

ZOFIA.

I dla tego byłoby mi bardzo trudno przed nią z czym otworzyć się. Ach iakby mi było miło patrzeć na

nią iak na Przyziaciółkę, iey się poradzić, wyznać przed nią moje słabości, obrać ią sobie za przewodniczkę, i poyść za radą podaną z dobroci i przywiązania!

M A R T A.

Ach Mościa Dobr. pociesz się tym przynajmniey, że rzeczy są ułożone lepiej dla ciebie i dla mnie. Gdyby twoia Ciotka była twoią przyziaciółką, iabym nie była twoją Konfidentką, a rady które ci podam, będą pewnie zdatnieysze do twoich zamyśłów, niżeli którebyś od niey odbierała.

Z O F I A.

Słyszę kogoś. . . . Ach dla Boga! to moy Brat. . . .

M A R T A.

Tak iest, właśnie.

S C E N A VI.

Z O F I A , M A R T A , T E R V I L L E.

Z O F I A.

A C H moy Braciszku. . . . A coż Lindor?

T E R V I L L E.

Oyciec moy chciał go namowić do wyjazdu, ale Lindor z niepojętą zaciętością oświadczył się, że nie go na świecie do tego nakłonić nie potrafi; że ielleś ielsezce wolca, że chce się z tobą widzieć, mówić, i innych tyśiąć głupstw nagadał.

Z O F I A.

I coż moy Oyciec uczynić zamysła?

T E R V I L L E.

Ach ieden sposób; który ci się zda być gwałtowny, ale iednak w istocie. . . .

Z O F I A.

Jak to moy Braciszku?

T E R V I L L E.

Ale uspokoy się. Dałem słowo memu Oycu, że nie dozwolę Lindorowi widzieć się z tobą, tobie zaś przyrzekłem zdawna moje za fanie i dochować wiernie moich obowiązków. Otoż tak powiadam ci szczerą prawdę. Oyciec moy kazał sobie zawołać Lindora do nowej Othcyny, tam po długiej rozmowie Lindor przez swoją u-

porczywość przywiódł Oycę mego do ostatniego.

Z O F I A.

I coż? ..

T E R V I L L E.

Oto Oyciec mój wyszedł nagle z pokoiu i drzwi za sobą na dwa rygle zamknął, a biedny Lindor został w więzieniu.

Z O F I A.

Jak to! w więzieniu?

M A R T A.

Otoż nieszczęście!

T E R V I L L E.

Tak jest w więzieniu, ale tylko do jutra, gdyż moja Siostra dziś w wieczór poydziez za Kleanta; po twoim ślubie Lindor będzie wolny, i zapewne sam będzie chciał odiechać....

Z O F I A.

Nieszczęsny, będąc tak czułym i popędliwym, iak się musi gniewać! o Nieba! a mój Oyciec i Ciotka, nie lękaia się iakiego nieszczęścia?

T E R V I L L E.

Kamerdyner La Fleur jest z nim.

MARTA.

Ach tym gorzej, to jest Głupiec
nie ublagany.

T E R V I L L E.

Zofio, ty płaczesz?

Z O F I A.

Ach! nie kryję się z tym. . . . o
Lindor! nieszczęśliwy Młodzieniec
na którego z tak dawna poglądała
jak na Brata; Ja to iestem przyczyną
twoich troskow. Jedną szczegulnie
litość moja dla ciebie pozostała, a i
ta na nic ci się nie przyda; Coż mo-
wię! może on rozumie że i ja iestem
spolniczką obrzydłej zмовы, która
mu nawet wolność wydiera.... ach!
ta jutro będzie mu przywrócona, ale
ja, ja, o Boże! . . . (upada na krze-
sło i zakrywa sobie twarz chustką.)

T E R V I L L E.

Moja Siostro, dla Boga upamiętaj
się, gdyby cię kto zastał w tym sta-
nie.. . .

Z O F I A.

Ach przynajmniey pozwol mi mo-
wić ten raz ostatni.

T E R.

TERVILLE.

Zdawna ja czytam w sercu twoim.

ZOFIA.

Nie, nieznasz wcale moicy słabości, byłam kochana, kochałam, co większa, odważyłam się wyznać...

TERVILLE.

Jako! to wie Lindor, że go kochasz?

ZOFIA.

Wyieżdżając de Strazburga pisał do mnie, nie odpisywałam mu przez sześć miesięcy, aż na koniec...

MARTA.

Korrespondencya się zaczęła ciągle z obu stron, upewniam.

TERVILLE.

Zadziwiam się nad milczeniem Lindora, nie wymówił i jednego słowa z kądy: można posądzić....

ZOFIA.

Zachowuje moy rozkaz; gdy mi moy Oyciec oświadczył przed ośmiu miesiącami, że mnie ma wydać za Kleanta, pisałam do Lindora odcyrując mu wszelką nadzieję, ale dla

Teatr. Z

wszystkiego ostrzegłam go, że moje postanowienie nie może być prędzej iak za lat dwie lub trzy; prosiłam go, aby żadnego nie czynił kroku, przydając że więcej pisać do niego nie będę.

TERVILLE.

Jako! czy to być może, aby Lindor z natury tak popędliwy, mógł to zachować, czegoś po nim wyciągała?

ZOFIA.

Ach! czułość uśmierza jego zapędy, boiaźń mnie się niepodobania, lub osławienia, wszystko nad nim może, i wola moja jest dla niego wyrokiem nieodzownym. Dotego podchlebiał sobie, że czas odmienić może ułożenie Ojca mego. . . . Ale dowiedziawszy się o moim ślubie z Kleantem w tych dniach nastąpić mającym, rozpacz i miłość tu go sprowadziły; nie chciał on pewnie tylko widzieć się ze mną, i odwołać się do prawa którem mu pozwoliła nad sercem moim. . . . Niektety! ten był iedyny jego zamiysł, mógł wszystko obiawić

memu Oycu, pokazać mu moje listy, lubom się tego nigdy nie obawiała. Ach znam ja Lindora, jest on gwałtowny, popędliwy, zdesperowany, ale iednak milczeć potrafi, i nigdy bez mego zezwolenia skrytości naszych nie wyiawi.

MARTY.

Dalibog! Mościa Panno, iabym rada żeby on się przyznał; P. Kleant ułapiłby mu mieysca, i iego nieuwważność byłaby dla nas pożyteczniejszą, niżeli milczenie.

TERVILLE.

Ach! moja Siostra czemużem ja dawniey o tym nie wiedział!...

ZOFIA.

Nie byłeś obecny, i nie powrociłeś się aż po czasie, gdym iuż nie mogła otworzyć ci serca mego, będąc obiecana Kleantowi....

TERVILLE.

Ach, iakżeś nie przeyrzała, że zbytnia młodość Lindora, i szczupłość maiątku iego, będą nie przełomaną zawadą?...

ZOFIA.

Ja go kocham od moiego poznania, wymówiłam się przed nim, wprzód nim wiedziałam, co jest miłość, którą we mnie wzniecił....

MARTA

A potem kiedy się wie, to milczy, i nie śmie się słowa wymówić, ale samo milczenie mówi; Amant się domyśla, zapytuje, nalega, gniewa się, lęka, frasuje; nie kłamiąc wysyła się do Strazburga List dowcipny, który znosi wszelką wątpliwość.

T E R V I L L E.

Moja kochana Zofio, iak ia ciebie żałuję! . . . Lindor jest bardzo młody! . . . wierzay mi, iż niech ma największą miłość ku tobie, gdy straci nadzieję, wkrótce zapomni o wszystkim, i o dolegliwościach których doznał. Względem zaś ciebie moja Siostró, przywiązanie Familii której dopełnisz życzenia, wesprze twoie męstwo w pierwszych momentach. Ciota zawsze nadgradza ofiarę dla siebie uczynioną. Doznasz kochana Zofio; a dotego Kleant ma tyśiąc

pięknych przymiotów, nie jest pierw-
wszey młodości, ale ma rozum, łag-
odność, a nadewszystko chęć uczy-
nienia cię szczęśliwą.

ZOFIA.

Ja go szacuję, i poważam jego
przymioty.... ale mogęż się spodzie-
wać bydź kiedy szczęśliwą? . . . Ty
mowisz moy Braciszku, że Lindor o
mnie zapomni, niestety! ja życzę
dla jego uszczęśliwienia, ale wierzyć
temu niechcę!

TERVILLE.

Wspomniy, że on ma lat siedmna-
ście.

ZOFIA.

I to ma bydź dowodem? Nie jeste-
śmyż iednych lat? . . .

MARTA.

Cicho, cicho, ktoś idzie. . . .

ZOFIA.

O Nieba!

TERVILLE

Jakże cała jesteś drżąca. . . . Moia
Siostro pamiętaj się! . . .

ZOFIA.

Zdaie mi się, że słyszę głos Kle-
anta. . . .

MARTA.

Nie, nie, to Pani Orphise...

ZOFIA.

Ach mój Braciszku nie odstępuy
mnie!

TERVILLE.

Nadewszystko uday dobrze, że nie
wiesz o niczym.

MARTA.

O! nie boj się, my jesteśmy pra-
wda bojaźliwe, ale umiemy pięknie
ukrywać.

S C E N A VII.

ZOFIA, MARTA, TERVILLE,
ORPHISE.

ORPHISE, do Zofii.

ZOFIO, Oyciec ciebie woła, idź
zaraz do niego.

ZOFIA.

Jak to moja Ciotko! . . . czy już
do. . . .

ORPHISE.

I coż to znaczy ta mina wystraszo-
na, o czym to sądzisz? powiedz mi.

ZOFIA.

Czy już do podpisu...

ORPHISE.

A choćby i tak było?... Albo nie
wiesz że dziś masz iść do ślubu?...
Otoż szloch! prawdziwie robisz się
dziecięciem....

TERVILLE.

Ach moja ciotko, mow z nią po-
wolniey.

ORPHISE.

Nie, ona mnie gniewa... (do Zofii.)
Ty jesteś kontenta, że idziesz za
mąż, znasz dobrze pożytki, które ci
iednają... a iednak płaczysz... to
nie zgadza się z rozumem. No, otrzy-
te łzy, jestem pewna że są oślatnie
które widzę; już się na ciebie więcej,
nie gniewam, uścilkay mię.

ZOFIA.

Moja Ciotko, czy moy Oyciec sam
ieft?

ORPHISE.

Tak, sam ieſt, czeka na ciebie. Idź
Zofio, Marta poydź za nią.

ZOFIA,

na ſtronie wychodząc.

Ach iakże ukryję frafunek, który
ſię pomnaża co moment. ... (*wychodzi.*)

S C E N A VIII.

ORPHISE, TERVILLE.

ORPHISE.

TRUDNO ieſt uchodzić te młode
głowy, muſzę użyć wszelkich ſpoſo-
bow, abym ſwego dokazała.

TERVILLE.

Jakże moja Ciotko, co robi Lin-
dor?

ORPHISE.

Wielki harmider, prawdziwie
w okropnym ieſt ſtanie. Coś to w
tym bydź muſi, zapewne ſądzi że go
ona kocha... w tym wieku wſzyſtkie-
mu ſię wierzy.

T E R V I L L E.

To dobrze, czy tak myślisz?

O R P H I S E.

Był wychowany razem z Zofią, odebrał wiele dowodów przyjaźni, i założę się, iż rozumie, że go ona kocha.

T E R V I L L E.

A ty rozumiesz pewnie, że on się myli?

O R P H I S E.

O! iam ją wychowała, iestem spokojna, patrzyłam na nią zbliżka....

T E R V I L L E.

I Zofia ma dobrą naturę....

O R P H I S E.

Przytym Edukacya daie wszystko.

T E R V I L L E.

Prawda, to iest pewna; i choćby w czym Zofia wykroczyła, nie można by narzekać tylko na ciebie.

O R P H I S E.

I ia tegoż iestem zdania. Ach mój Siostrzeńcze, znam twoy rozsądek i serce, więc ci ieszcze chcę powierzyć ieden sekret, ale day mi słowo honoru, że nie wspomnisz o tym

przed nikim, nawet i przed Klean-tem.

TERVILLE.

Daię go.

ORPHISE.

Nie ieśteś dzieckiem, można ci prawdę powiedzieć.

TERVILLE.

O coż to idzie?

ORPHISE.

Oto w ten moment twoy Oyciec opowiada Zofii o wszystkim, a między innemi i to, że Lindor przez to ieśt naywinnieyszy, że od trzech miesięcy ułożył ożenić się z iedną Panienką z tey Prowincyi, gdzie sam ieśt w Garnizonie, że ta Panienska ieśt bogata, i ładna, słowem że iuż wszystko było gotowo, gdy Lindor dowiedziawszy się o zamęściu Zofii w taką wpadł cholerę, iż nie wiedzieć z iakiego powodu nagle tu przyiechał....

TERVILLE.

Ale moja Ciotko, coż za koniec tey historyi?

ORPHISE.

Ale zaraz obaczysz. . . . Zofia będąc niewinna, i łatwowierna, uwierzy temu wszystkiemu; potym moy Brat przyda, że jestem bardzo zagniewana na Lindora i że go wydziedziczę, gdyż wiem, że w ten czas gdym układała iego ożenienie, pisał do twoiey Siostry list miłosny, i dla tego ona jeżeli chce, żebyśmy się przebłagała i uczyniła wolnym Lindora, niech wyzna przedemną iego głupstwo, iż sama nie poymie iak sobie mógł uroić w głowie, że go ona kocha, kiedy nie ma żadney skłonności do niego, i że z chęcią poydzie za Kleanta.

TREVILLE.

Jakto! Zofia ci to wszystko ma powiedzieć, i na coż się to zda?

ORPHISE.

Ona tu będzie mówiła ze mną. . . . O ściane tey sali masz swoy gabinet, day mi tedy klucz, a ia tam każę wprowadzić Lindora. Przez to przepierzenie będzie slyszal naszą rozmowę, a na ten czas gdy się przekona, że Zofia nie ma żadney chęci ku niemu,

łatwo ztąd wyiedzie. Coż mówisz o tym wynalazku, wszak nie zły?

TERVILLE.

Ale moja Ciotko, czy doprawdy rozumiesz, że Lindor pisał do moiej Siostry?

ORPHISE.

Nie, to tylko dla poruszenia umysłu Zofii, udawać będę że się gniewam na Lindora. . . . Zofia miałaby odbierać Bilet miłosny, bez moiej wiadomości, toby była rzecz bardzo śmieszna. . . Oy! Panienska moiej pieczy powierzona, musi być dobrze strzeżona, wierzy mi; a potem niech to będzie między nami, twoja Siostra wcale się na niczym nie zna. . .

TERVILLE.

A ty moja Ciotko tak przebiegła!.

ORPHISE.

O! ia się z tym nie chwale; przenikłość jest darem z Nieba, oddzielnym od rozumu i doświadczenia; iam się tak urodziła. . . Ale nie traćmy czasu, daj mi klucz.

TERVILLE, *oddając klucz.*

Zyczę żeby się ta sztuka udała po-
dług twoiej myśli, ale nie wiem,
bardzo się boję, żeby to na złe nie
wyszło.

ORPHISE, *idąc.*

Nie turbuj się, ja się nigdy nie
troszczę o skutek tych rzeczy, do
których się przyłożę.... Bądź zdrow,
czekaj tu na mnie, powrocę za mo-
ment. *(wychodzi.)*

SCENA IX.

TERVILLE, *sam.*

SMIAć mi się chce z iej przenikło-
ści!... Gdyby chciała być Kobieta,
nie taką jak jest, Zofia by ją kocha-
ła, a zaufanie byłoby ją zachowało od
kłopotu, do którego Intryga nieszcze-
śna ją przywiodła.... Biedna Zofio!
zła edukacya nabawiła cię nieszcze-
ścia i błędów!... Co za koniec bę-
dzie tego wszystkiego?... Jak ja się

lękam czułości moiej Siostry, oraz popędliwości iey Amanta! Jak on ją kocha! Jak iest godzien politowania w swej chuci! A co mnie naywięcey w nim zadziwia, to iego milczenie i delikatność, przy tak żywym charakterze tyle mieć utrzymałości! . . . Ach! zaitte, miłość gdy iest prawdziwa, oświeca rozum; formuje serce, i umie nowe utwarzać cnoty.... Ale słyszę już głos moiej Ciotki, tak iest nie myślę się, ona iest, ach iak zadyfżana!

S C E N A X.

TERVILLE, ORPHISE.

TERVILLE.

A co, przyidzie?

ORPHISE.

Przyidzie zaraz... Trzeba żebyś wiedział, że już szukał tyfiącznych sposobow na uludzenie La Fleur, czemu ia bardzo rada, gdyż iak

wiesz, umiem ze wszystkiego pożytkować.... Nałtroiłam La Fleur, aby mu w ten moment powiedział, iż tknięty na koniec jego stanem, pozwala mu posłuchać mowiącey Zofii, która jest w sali, i

TERVILLE.

To dobrze, La Fleur sprowadzi go do gabinetu; ale czy rozumiesz, że Lindor raz wyszedłszy z więzienia, zechce potym nazad powrócić?

ORPHISE.

Q! wszystkim ja przewidziała.... Mam ja głowę nie dla kształtu. . . . La Fleur mu więc powie, że ta jest jedyna łaska, którą mu uczynić może, ale pod kondycją, jeżeli mu da słowo honoru, że za pół godziny powroci dobrowolnie do Oficyny.

TERVILLE.

Ach moja Ciotko! już co tego pochwalić nie mogę; Lindor ma lat siedmnaście, jest zakochany, pewnie słowa nie dotrzyma!....

ORPHISE.

Prawda, i ja się tego trochę lękam.. Jednakże La Fleur przełoży mu iku-

tki niebezpieczne, gdyby miał uchybić swemu przyrzeczeniu...

TERVILLE.

Młodość, miłość, i rozpacz dokażą tego na nim, że zapomni o wszystkim...

ORPHISE.

To prawda... i to jest iedno, co mnie czyni niespokojną...

TERVILLE.

Ale to jest punktem najistotniejszym. ... Nie bezpieczna jest wystawiać Lindora na niedotrzymanie słowa... Dla Boga moja Ciotko, ty która jesteś tak zdatna do wynalazków, czybyś nie znalazła inszego na to sposobu? Prawdziwie co tego, trzeba koniecznie odstąpić, który wystawia honor na niebezpieczeństwo.

ORPHISE.

O! już nie ma czasu, La Fleur pewnie powiedział, co miał powiedzieć, już się stało...

TERVILLE.

Tym gorzej, to jest co mię smuci.

ORPHI-

ORPHISE.

Nie masz już na to sposobu, trzeba zapomnieć... Ale czego tam chcą?... to pewnie... ktoś idzie do mnie z ostrzeżeniem... . . .

LOKAY.

La Fleur przyśłał mnie....

ORPHISE.

Czy już wyszli z Oficyny?...

LOKAY.

Tak Mościa Dobr. już idą....

ORPHISE.

Dosyć, idź sobie, przyjdiesz mi powiedzieć, iak Lindor wniydzie do gabinetu. (*Lokay wychodzi.*) Twoja Siostra miała tu być, idź poszukaj iey, i zaraz mi ją tu przyszlizy.

TERVILLE.

Otoż jest, właśnie i ona, ia odchodzę.... ale koniec tego wszystkiego wielce mnie trwoży... (*wychodzi.*)



Teatr.

Aa

SCENA XI.

ORPHISE, ZOFIA.

ORPHISE, *na stronie.*

JAK ona ma minę smutną!

ZOFIA, *na stronie.*

Lindor by mnie miał ofszukać!...
o Nieba!... ach moja Ciotko, szu-
kam ciebie.

ORPHISE.

I coż? ... Ale poczekayno mam ci
coś powiedzieć. . . . (prysyfuwa się do
Loknia który wchodzi i szepcze iey do ucha,
ona kończąc.) Dobrze, idź sobie. (na
stronie.) Jest już w Gabinecie, trzeba
się przysunąć do przepierzenia.
(Siada naprzeciw przepierzenia, Zofia stoi
przed nią zamysłona, i nie uważa iey ru-
szenia.)

ORPHISE.

I coż Zofio! poydźże. . . czego
chcesz?

ZOFIA *zbliżając się.*

Moja Ciotko, ja wiem, że Lindor tu się znajduje, że jest zamknięty w nowej Oficynie.

ORPHISE, *głos podnosząc.*

Ach! ach, ktoż ci to powiedział?

ZOFIA.

Moy Oyciec.

ORPHISE.

I coż tedy na to mówisz?

ZOFIA.

Ale moja Ciotko, ja tego nie rozumiem wcale.

ORPHISE.

Zdaie się że Lindor w tobie zakochał się?

ZOFIA.

Och, nie, moja Ciotko.... nigdy inie nie kochał, iełtem pewna.

ORPHISE.

Ale iednak iego postępek pokazuje przeciwnie; mnie się здаie żeście mieli z sobą porozumienie, i....

ZOFIA.

Ale moja Ciotko to cię naywięccy powinno przekonać, żeśmy się nie

kochali, gdy mię widzisz powolną
Oycu memu bez oporu...

ORPHISE, *bardzo głośno.*

To prawda, żeś pokazała radość z
wyboru Kleanta, ale możesz nas zwo-
dziła, przyznay mi się teraz szcze-
rze, wszak ieszcze nie po ślubie,
czy z ochotą poydziesz za Kleanta?..

ZOFIA, *na stronie.*

Ach co za proba...

ORPHISE, *ciszey troche.*

Odpowiedz tedy.

ZOFIA.

z miną przymuszoną.

Tak moja Ciotko... z ochotą...

ORPHISE, *głośno.*

Otoż to iest mowić z szczerego
ferca, z wyrażeniem i miną która
mnie przekonywa; No, iuż tedy ci
wierzę. Taką rzeczą Lindor byłby
szalony, bezrozumny...

ZOFIA.

Ach ! pewnie w iego postępkach
nie upatruię tylko nieuwagę i nie-
rozsądek... Ale dla Boga ! coż to ia
słyszę za hałas za ścianą?...

ORPHISE.

Coż ci jest, blednieiesz? ...

ZOFIA.

Ja nie wiem, coś za głos w ten moment. . . .

ORPHISE.

O! to w gabinecie. . . . to Brat twoy zapewne. . . .

ZOFIA.

Poiąć nie mogę, iakem się zmieszala!

ORPHISE, *na stronie.*

Co to jest Instykt. . . . Idź Zofio do swego pokoju, iak będzie czas, to ci dam znać. . . .

ZOFIA.

Moia Ciotko, czy koniecznie dzisiaj?

ORPHISE.

Dzisiaj, o poł nocy poydziesz za Kleanta, to jest za cztery godziny.

ZOFIA, *na stronie odchodząc.*Za cztery godziny, o Nieba!
(wychodzi.)ORPHISE, *sama.*

Lindora zapewne już nie ma w gabinecie, muszę się dowiedzieć. . . . Ale otoż i moy Brat!

S C E N A XII.

ORPHISE, BARON, TERVILLE.

A ORPHISE.
coż Lindor? . . .

BARON.

Biedny chłopiec, dotrzymujący
słowa, wrocil się iak baranek do swe-
go więzienia.

ORPHISE

O! ia bylam tego pewna, przewi-
działam to.

TERVILLE.

A co ia przyznam się, bardzom się
obawiał, i ten sam Lindora postępek,
tym więcej mnie do niego przywią-
zuie.

BARON.

I ia z moicy strony podsłuchiwa-
łem; Lindor wyszedł zapalczywy,
czy nie słyszałaś iak zawołał?

ORPHISE.

Bardzo wyraźnie, i Zofia także, ale
ona nic się nie domyśla, zupełnie się

zdaie na twoię wolą; już tedy dzięki moim staraniom, zupełnie wyszliśmy z kłopotu.

BARON.

Kazałem Kamerdynierowi, aby go zamknął w jego pokoju i zostawił samemu; będzie miał dwie godziny do namyslenia się, a potem po wieczery poydę do niego, i zapewne go nakłonię do wyjazdu. Gdyż dobrze mówisz, że on sądzi iż jest kochanym, co naywięcey dowodzi jego rozpacz żeś rozmawiała z Zosią.

TERVILLE.

Można mu wybaczyć to rozumienie, bo w rzeczy samey wart jest kochania. I gdy się zastanawiam, ja nie poymięm moy Oycze, za co miłość tego młodzieńca ciebie nie wzrusza? Zosią byłaby szczęśliwa za nim.

BARON.

Ty mówisz podług swego wieku, a ja czynię według mego. Czy chcesz żebym uchybił słowa danego, żebym afrontował mego przyjaciela od lat ośmiu, abym odstąpił tak pomyślnego pośtanowienia dla moicy Córki,

a to wszystko dla głupiego pobłażenia,
dla szaleństwa iednego Dziecka, któ-
re za dwa tygodnie o wszystkim za-
pomni.

TERVILLE.

Ale moy Oycze,...

BARON.

Ale ia nie lubię perswazyi, powinie-
neś wiedzieć, że iestem nieodmienny,
i że nie umiem się sprzeciwiać moim
ułożeniom... Poydźmy moja Siostro,
poydźmy, poszukaymy Kleanta do pod-
pisania Intercyzy, i skończmy potrze-
bne przygotowania do ślubu. Poydz.

ORPHISE.

Idę. (*wychodzą.*)

TERVILLE, *sam.*

Jużem chciał wszystko odkryć mo-
iemu Oycu, ale boiaźń wydania Zofii,
wstrzymała mnie. A potym ten se-
kret nie iest moim, muszę go zacho-
wać. Gdyby Zofia przełomała swoją
boiaźń, upadła do nog Oycu, wyzna-
ła przed nim wszystko, możeby. . . .
Ale słyżę iey głos... to ona, iakże
ma minę smutną i stroskaną!



S C E N A XIII.

TERVILLE, ZOFIA.

ZOFIA.
ACH moy Braciszku!... (ogląda się.)
Czy nas tu kto nie wysłucha?

TERVILLE.
Nie, jesteśmy sami.

ZOFIA.
Jeszcze ci raz chcę odkryć serce
moje! . . . Ach! co to jest mieć
serce głęboko zranione! Czybyś mógł
uwierzyć moy Braciszku? Lindor
mnie zwiodł! . . . Ale ty zapewne już
wiesz o wszystkim.

TERVILLE.
Prawda moja Siostro... (na stronie.)
Ach za coż mi nie wolno iey wypro-
wadzić z błędu! . . .

ZOFIA.
Widziałeś mnie niedawno rozpa-
czającą. . . i sądziłam że jestem iedy-
nie kochaną; Niektety, nie wiedzia-
łam że mię cięższy frasunek czeka!..

Już teraz nie mogę się nic gorszego spodziewać. . . . Ach mój Braciszku, iak ja jestem nieszczęśliwa!

TERVILLE.

Ale jeżeli rozumiesz, że Lindor jest nie ślady, jeżeli go więcej nie poważasz, iakże go możesz jeszcze żałować?

ZOFIA.

Gdybym tracąc jego serce mogła dla niego zachować szacunek, mogłabym z czasem znaleźć pociechę. . . . ale pisując do mnie Lili tak czule, zezwalał skrycie na ułożenia Ciotki mojej, krył się przedemną z niemi, i mnie oszukiwał. . . . Ach bez wątplenia, musi znać tę osobę, z którą się ma żenić, jestem pewna że ją kocha, mój Braciszku ty o tym wiesz, powiedź mi. . . .

TERVILLE.

Ja upatruję w twoich boiaźniach kochana Zofio, zbytęk twej namiętności, która nad tobą panuje. Czy chcesz usłuchać mojej rady, wszak jeszcze czas jest, wyznay wszystko przed Oycem, ja cię sam zaprowadzę do nog jego. . . .

ZOFIA.

Co ty mówisz? o Boże! co, w ten moment gdy odkrywam najszybką zdradę... Miałabym teraz czynić to dla Lindora, czego bym nie uczyniła w ten czas, gdy go sądziła być wiernym? ... Czytaj mój Braciszku w sercu moim, potrzebaż było, aby zdradzieństwo Lindora oświeciło mnie, do jakiego punktu kocham go, zapamiętana, oszukana; ja mówię, którą znasz jak jestem bojaźliwa? gdybym mogła pomyśleć że się powroci do mnie, poszłabym do Ojca, tak, miałabym tyle odwagi... Ale Ojciec mój jest nie wzruszony, wszelkie usiłowania moje byłyby nadaremne.

T E R V I L L E.

Nie, bynajmniej; wszystko sobie obiecuy po jego miłości, poydź moja Siostró.

ZOFIA.

Nie mogę, nadto bym się upodliła.. Ach! los mój już jest zrobiony, miłość nim rządzić więcej nie może; Lindor, Lindor sam potargał więzy, które mię z nim krępowały.

T E R V I L L E, *na stronie.*

Ona mi ferce rani.

Z O F I A.

Ciotka to moja sprawiła, że mi Oyciec daje Kleanta, ona wymusiła na mnie przyzwolenie; ona używając na złe swcy powagi, bez porady może i Lindora ułożyła jego nieszczęsne ożenienie; z tym wszystkim winniemy on jest nademnie, ja musiałam go odstąpić, on jest powolnym iak i ja, ale przynajmniey ofzukać go nie byłam zdolną. . . . Tak jest, gdyby mi się był przyznał, nasz stan byłby podobny; moy Braciszku, iak sądzisz, czy on mię ieszcze kocha? co za powod do tey podroży, do tak nagłego tu przybycia! . . . Rozpacz którą okazał, zdała ci się być tak prawdziwą, iżem widziała żeś był tknięty!.. Ofiary powinności i posłuszeństwa może oboie warci iesłesmy politowania! . . . Ach gdyby to była prawda.. należałoby dźwigać iarzmo tak okrutne i nieludzkie; coż mowisz na to moy Braciszku?

TERVILLE.

Posłuszeństwo moja Siostro, nie ma zaślugi, tylko w ofierze..

ZOFIA.

Ale Ciotka moja, i Oyciec nawet mają prawo wymuszać na mnie przysięgę przeciwną sercu memu?

TERVILLE.

Jeżeli poydziesz za Kleanta, a masz duszę cnotliwą, nic nie przyrzekasz, czegośbyś dotrzymać nie mogła.

ZOFIA.

Będę więc posłuszna, ale żyć prze-
stanę. . . .

TERVILLE.

Jeszcze ci raz mówię moja Siostro, poydźmy do Oyca... Ale ktoś idzie... to Marta, coż znaczy ta mina prze-
straszona! co ona tu nam powie?

SCENA XIV.

TERVILLE. ZOFIA, MARTA.

MARTA, *biegnąc prędko.*

AACH! M. Panno. . . . już nie
mogę. . . .

ZOFIA.

Coż się stało?

TERVILLE.

Mow.

MARTA.

Ach nie mogę, załękłam się. . . .

Lindor. . . .

ZOFIA.

Lindor, i coż. . . .

MARTA.

Uciekł z więzienia.

ZOFIA.

Pojechał?

MARTA.

Och nie.

ZOFIA.

Gdzież jest?

TERVILLE.

Skończ że Marto.

MARTA.

Przestraszył mnie! . . . nie mogę przyść do siebie. . . . Oto cała historia. . . . Ten głupi La Fleur, zostawił go samego w pokoju, aby się iak powiada namyślił. Lindor upatrzywszy moment, wybił w oknie Taflę, i wikoczył do Ogrodu. . . .

ZOFIA.

O nieba ! . . . Dobrze że się nie zabił.

MARTA.

Pewnie, skakać na półtora sążnia, to piękna dla Amanta. . . . Upadł powoli na trawę, i znalazł się w ogrodzie, potym przelaźł przez mur, i wzięwszy nogi za pas, uciekał niewiedząc sam gdzie, gdy tym czasem ja spotkałam go szczęściem na dziedzińcu.

ZOFIA.

I coż ?

MARTA.

Oto, chociaż noc ciemna postrzegam ładnego młodzieńca szybko biegnącego prosto na mnie ; ja pytam kto jest, zdało mi się że go poznała, nakoniec wołam po Imieniu ; zrazu załtanowił się z bojaźnią, potym mnie poznawszy począł prosić, abym mu dała bezpieczne schronienie. Ja będąc z natury dobra, zwłaszcza że nalegał, dałam się nakłonić, i zaprowadziłam go do mego pokoju.

ZOFIA.

On jest w twoim pokoju ?

MART A.

Jest M. Dobr. Teraz proszę, co ja mam z nim robić? biedne dziecko, bardzo smutny, chciałby powiada, mówić z tobą ten raz ostatni, i wyiechać.

T E R V I L L E.

To nie podobna pozwolić mu tey łaski.

MART A.

Niepodobna! Mnie się zdaie, nie łatwiejszego, ja ...

Z O F I A.

Nie, nie powinnam go widzieć. ... Jednakże moy Braciszku, już raz ostatni!

T E R V I L L E.

Dałem słowo, że ci nie podam sposobu widzenia się z nim. . . .

MART A.

Ale my się obedydziemy wyśmieni. cie bez W. Pana; zostań tu, a Panna niech idzie do mego pokoju. . . .

Z O F I A.

Nie, iabym chciała, żeby moy Brat był przytomny naszej rozmowie. . . . Ale mi przychodzi na myśl. . . . Moy

Bra-

Braciszku, tu jest twój gabinet, gdybym się odważyła.... Ach zlituj się nad moim pomieszaniem, w którym zostałam!

TERVILLE.
I co? wytłomacz się.

ZOFIA.

Możnaby Lindora wprowadzić do tego gabinetu, ja tu zostanę, i będę mówiła do niego przez to zwierciadło.... Ty się śmiesz mój Braciszku, ta myśl zda ci się dziwna. Ach! jeżeli mnie kochasz, nie odmawiaj mi tego, wiedz że tym sposobem mogę mówić z nim, nie będąc od nikogo postrzeżoną, niechcę tylko pożegnać go na zawsze....

TERVILLE, *na stronie.*

Pocieszne spotkanie! (głośno.) Zostaw, a moje słowo?

MARTA.

Ale nie uchybisz go, oni się nie będą widzieli.

ZOFIA.

Mój Braciszku, na imię naszej przyjaźni, zezwól na tę ostatnią dla mnie pociechę.

Teatr. B b

TERVILLE, *na stronie.*

No, to już muszę im obojemu przy-
służyć się. (*głośno.*) Już tedy Zofie,
pozwalam.

ZOFIA.

Ach moy Braciszku!

TERVILLE.

Marto, day mi klucz od twego
pokoiu, poydę po Lindora, i wpu-
szczę go do gabinetu.

MARTA, *klucz podaje.*

ZOFIA.

Drogie dla nas są momenta, spiesz
się Braciszku.

TERVILLE.

Bądź spokojna. (*wychodzi*)

SCENA XV.

MARTA, ZOFIA.

MARTA.

OCH! Pan Baron i Pani Orphise,
ieszcze z dobrą godzinę zabawią.

Teraz stroją Kaplicę, gotują Illuminacyą w Łasku....

ZOFIA.

Co za przygotowania, o Nieba!... a ja w ten moment zezwalam na rozmowę sekretną, i z kim? ... Drżę cała.... Coż mi powiem? ... Zem go powinna nienawidzieć, ... zapomnieć o nim.... i wyrzec się na zawsze....

MARTA.

Ja W. Pannie Dobr. przepowiedziałam, że to wszystko wyidzie na dobre; niewolnik się wymknął, co jest rzeczą nayistotniejszą; ja nie wiem, ale ja mam bardzo dobre przecucia.

ZOFIA.

A ja okropne. Ja sobie wyrzucam co moment ten ostatni postęppek, który mnie miesza, i czyni niepokojną. Ach! gdyby nie surowość Ojca i Ciotki moiej, nie wstydziałabym się tey moiej słabości....

MARTA.

Nigdy nie widziała żałośniejszych Amantów, bo i Lindor z swojej strony płacze i narzeka.

ZOFIA.

On płazze ! . . .

MARTA.

Gdybyś wiedziała iak iest rozrzu-
wniony ; a przytym piękny iak Słoń-
ce, podrośli, wyładniał. . . .

ZOFIA.

Dla Boga ! . . . słyszę głos. . . .

MARTA.

Coż to iest słabo ci ? ... Co za bla-
dość ! . . .

ZOFIA: *upada na krzesło.*

Nie mogę się na nogach utrzy-
mać. . . .

MARTA:

Ach ! otoż i Pan Terville.

ZOFIA.

O ! Nieba. . . .

S C E N A XVI.

MARTA, ZOFIA, TERVILLE.

T E R V I L L E.

NIE trać czasu, moja Siostro. . . .
Lindor iest w gabinecie. . . .

ZOFIA.

Co! Lindor? . . .

TERVILLE.

Zabiegając iego nierozmyślności,
zamknąłem go. . . . Tłomacz mu się
na osobności, ia wychodzę. . . .

MARTA.

A kto będzie pilnował, żeby tu kto
nie przyszedł?

TERVILLE.

Ty Marto. . . . Byway zdrowa moja
Siostró. (*na stronie*) Jedno o dru-
gim sądzi, że są zdradzeni, będzie
żwawa rozmowa między niemi.

ZOFIA.

Nie, moy Braciszku, nie odstępuy
mnie. . . .

TERVILLE.

Niechę ci bydź przykrym, żegnam.
(*na stronie odchodząc.*) Muszę prze-
strzedz mego Oyca. (*wychodzi.*)



S C E N A XVII.

ZOFIA, *siedząc na miejscu patrzy
na Przepierzenie.*

ON tam jest ! . . . nie śmiem się przybliżyć. . . o Boże ! . . . Słyszę głos jego ! . . . woła na mnie ! . . . (*czyni kuka kroków i zatrzymuje się.*) Jak serce we mnie biie ! . . . (*zbliża się do przepierzenia i siada.*) (*a*) = Coż ia słyszę = Tyż to iełteś, co rozumiesz że masz prawo mi wyrzucać ? =

(*a*) Kreski pojedyncze i podwoyne w tej Scenie znaczą krotsze lub dłuższe milczenie, które Zofia zachować powinna przy słuchując się. Powinna także według nich mówić wolnym głosem lub głośniey, niż w zwyczajney rozmowie. Ta Scena acz w czytaniu żadnego nie wydaie skutku, w reprezentacyi jednak iest szczególną; tylko najwięcey tego przestrzegać potrzeba, aby twarz Aktorki wyrażała dokładnie rozmaite uczucia, które słuchając okazywać powinna.

Zem ia ciebie nigdy nie kochała! =
 Prawda, dałam słowo = tak, tego
 wieczora. = Nie powin nabym ciebie
 żałować. . . . (*głosniey.*) Nie powin-
 nabym ciebie żałować. = Tak, po-
 wiedź ieszcze głośniey. = A ty wier-
 na? . . . Smiesz to mówić? . . . =
 I coż! . . . i coż, więc ia jestem
 niesprawiedliwa, niewdzięczna? =
 Jako? = ach, na przykład. . . . —
 Infza. . . . infza. . . . na moim miey-
 szu nienawidziłaby cię. = Nie. — Ale
 przynaymniey z moiey obojętności
 (*na stronie.*) Przebog! — (*placząc.*)
 nie mogę mu odpowiedzieć, poznał-
 by moje szaleństwo. = (*placząc*) Nie,
 ia ciebie słyszę, siedzę na iednym miey-
 scu. — Nic mi iesť. . . . — (*placze
nieprzestając.*) Ja ci powiadam że mi
 nic — (*na stronie.*) Klęczy, o Nic-
 ba! — Włtańże — Włtań mówię proszę
 cię. . . . — Jakie są twoie przewinie-
 nia? — Uwolnij mię od wyliczania
 onych. — Ach! . . . znasz ty ie le-
 piey odemnic. . . . — Nie miałżeś się
 żenić? — Jakto, ia miałem się że-
 nić? — Co! będziesz się zapierał? .. —

Moja Ciotka nie odebrała od ciebie słowa? — Twoja Ciotka! — O! nieba, czy to bydz może! . . . — Ale moy Oyciec — tak moy Oyciec powiadał toż samo. . . . — O Boże, mógłż mię tak zwodzić? . . . — Ach! Lindor, chciałżebyś ieszcze i ty mnie zwodzić? . . . — Co! w tym samym gabinecie! — w tym gabinecie! — tyś mię wysłuchał! — Oyciec moy tak mi mowić rozkazał... — Oboie nas oszukiwano. . . . — Ach Lindor! . . . — Jako! ty mnie zawsze kochasz! . . . — I ia ciebie więcej nad życie moje! . . . — Kocham, śmiem to wyznać — tak, Lindor, zwyciężę moją bołąźń — wyznam wszystko przed Oycem moim; — tylko wyieżdżay — wyieżdżay proszę cię — schroń się przed zapalczywością iego w pierwszych momentach: — pod tą kondycją iedynie przyrzekam; — I coż nie ufasz mi? .. — Ach! wierzę ci. . . . — Miłość i czas. . . . — Jedź, wroć się do Strazburga, a zday na mnie całe łtaranie o nasze uszczęśliwienie. . . . — Nie-

stety, muszę... muszę — Więc mi
 obiecuiesz?... = Ach! iak wszystko
 wyrażasz co ja czuję!... — Jakto?
 (*uśmiecha się.*) (*na stronie.*) Co za sza-
 lenistwo!... Zebym rękę położyła na
 ścianie?... — Zebym, zdieła rękaw-
 wiczkę?... — Ale iak ci pokazać
 mieysce?... (*uderzając w ścianie.*) ...
 Prawdziwie ja nie śmiem — nie
 śmiem.... — No, no, niegnieway
 się. — (*do siebie samey.*) To czyście
 dzieciństwo!... — Tylko poczekay,
 niech zdeymę rękawiczkę!... —
 (*kładzie rękę na ścianie, uderzając zleotka.*)
 A coż, czy słyszysz? oto tu moja
 ręka, tu, tu.... (*zrywa rękę nagle.*)
 Ach! to ośbliwsza.... Ale, właśnie
 iakby mnie pocałował, uczułam, u-
 czułam.... — Ja nic nie mówiłam,
 i zawstydziłam się.... Ale prawdzi-
 wie mnie się zdać, że ty mnie wi-
 dzisz!... — Ach zapewne radbym... —
 Niestety! za moment trzeba nam się
 rozstać! — trzeba się rozstać!

ORHISE,

(*ukazuje się w głębi teatru i mówi.*)

Ona gadała.... (*przysłuchując się za-
 trzymuje.*)

ZOFIA, *nie widząc iey wcale.*

Jeżeli mnie kochasz, bądź spokojny, spuść się na moje przyrzeczenia....

ORPHISE, *przyśwajając się.*

Ale ona głupia! ... Coż ja słyszę? wszak to głos Lindora!...

ZOFIA, *postrzegłszy Ciotkę.*

Ach! dla Boga, to moja Ciotka!...
(*upada na krzesło.*)

ORPHISE.

Zdaie mi się żem we śnie! ...

ZOFIA.

rzucając się do nog Ciotki.

Ach moja Ciotko, chciej mi wybaczyć, i jeżeliś kiedy była na mnie łaskawa....

ORPHISE.

Ach! ach! odkrywam twoie Intrygi; W. M. Panna Martę postawiłaś na łtraży; ale to nie mnie oszukać można; postrzegłam snującą się Martę, nie kazałam tu wchodzić, aż załtaię.. Toś to ty dopomagała ucieczce Lindora, który się w tym gabinecie kryje, O! dobrze M. Panno, wybieray się zaraz do klasztoru....

ZOFIA.

Moja Ciotko ...

ORPHISE.

Aha ! chcieliście mnie oszukać ?
smiały nadto zamyśli ! . . . (*Przyslu-
chuje się.*) Teraz z kim innym . . .
(*ślucha.*)

ZOFIA.

Czy słyszysz go moja Ciotko ? ...

ORPHISE.

Ciszy ! . . . (*ślucha*) Jak to ! on wy-
skoczył przez okno Oficyny ? . . .
(*Przysłuchuje się*) (*na stronie*) W rze-
czy samej on mię rozrzewnia.

ZOFIA.

Ach moja Ciotko, i iakże nie ze-
zwolił na nasze prośby, na łzy na-
sze ? . . .

ORPHISE.

Ale Kleant ; ale ślub ? . . .

ZOFIA.

Ty wszystko możesz nad Oycem
moim, my nie mamy nadziei tylko w
tobie.

ORPHISE

Zagłuszacie mnie oboje, niewie-
dzieć któremu mam odpowiadać, ra-

zem gadacie.... Cicho, oto i Oyciec
tway, cicho mówię, dajcie mi to
wszystko ułożyć powoli.

ZOFIA.

Moja kochana Ciotuniu!...

SCENA XVIII.

ZOFIA, ORPHISE. TERVILLE,
BARON.

BARON, *wchodzi mówiąc do Syna.*

IDź, idź mój Synu, uwolnij go z
więzienia.

TERVILLE

Biegnę.... a ty Zofio podziękuj
najlepszemu Oycu.... (*wychodzi.*)

ZOFIA.

Ach mój Oycze!... (*rzuca się do
nog jego, który ją przyciska.*)

BARON.

Trzeba im wybaczyć, nie prawda
moja Siostró?...

ORPHISE.

Więc już Terville o wszystkim ci
powiedział?...

BARON.

Tak jest, i Kleant uwolnił mię dobrowolnie od moiego przyrzeczenia.

ORPHISE.

Zdaie mi się, że Terville powinien był się udać do mnie!...

BARON.

Daymy temu pokoy, bez urazy, otoż i nasz waryat!...

S C E N A XIX.

i ostatnia.

ZOFIA. BARON, ORPHISE,
LINDOR, TERVILLE trzymając
LINDORA za rękę.

ZOFIA, *na stronie.*

ACH iak jest niezwyuczayne moje pomieszanie, rownie iako i radość.

LINDOR.

Zofio. . . . Gdzie ona jest? (zatrzymuje się i przypatruie Zofii, która na niego

pogląda z boiaźnią. Inne Osoby na nich patrzą, potym Lindor rzuca się do nog Barona i Orphise, ktorzy stoia blisko siebie.)
Ach czegożem wam nie winien?...

TERVILLE.

Co za dzień szczęśliwy!

ZOFIA.

Ach moy Braciszku....

BARON.

Przyłtap Zofio.... I coż! Moie dzieci patrzcie na siebie, czyście nie postarzeni, nie odmienili się?... Możecie sobie ieszcze wymowić....

LINDOR.

Jakże! ia oglądam Zofią!.... Co? ia znayduię ią, abym nigdy więcej od niey się nie odłączył?... Ty mi daiesz Zofią.... Ach tu dopiero odbieram życie, tu mówię odbieram iedyne dobro, które mię przywiązuie do życia!.... Ach moja Ciotko, i ty moy Stryiu, wy, prowadźcie moią młodość, nauczaycie mnie, informuycie, uczynicie ieżeli można godnym waszego dobrodzieyństwa, godnym mówię Zofii... Miłość i wdzięczność

to jeszcze moje cnoty iedyne, ale do usprawiedliwienia waszego wyboru w oddaniu mi Zofii, jestże co, czego bym nabyć nie zdołał? ...

BARON.

Sama chęć twoja obiecuie wszystko.

ORPHISE.

No, to musimy ułożyć infzą Interцыzę. Moy Braciszku schoway sobie Pofag Zofii, ja biorę na siebie ieypofażenie i wyprawę; przysposobiam sobie Lindora i Zofią, i chcę im zapisać cały moy Majątek.

ZOFIA.

Ach! Lindor.... niezapominaymy nigdy tylu łask i dobrodzieystw!

BARON.

Bądźcie szczęśliwi moje dzieci, a stanie się nam zadosyć.

LINDOR.

Ach! zbytek mego szczęścia nie może być poięty ani wyrażony....

ZOFIA, *wskazując na Brata.*

A przyiaźń będzie onego udziałem. . . .

LINDOR, *ściskając Terville.*

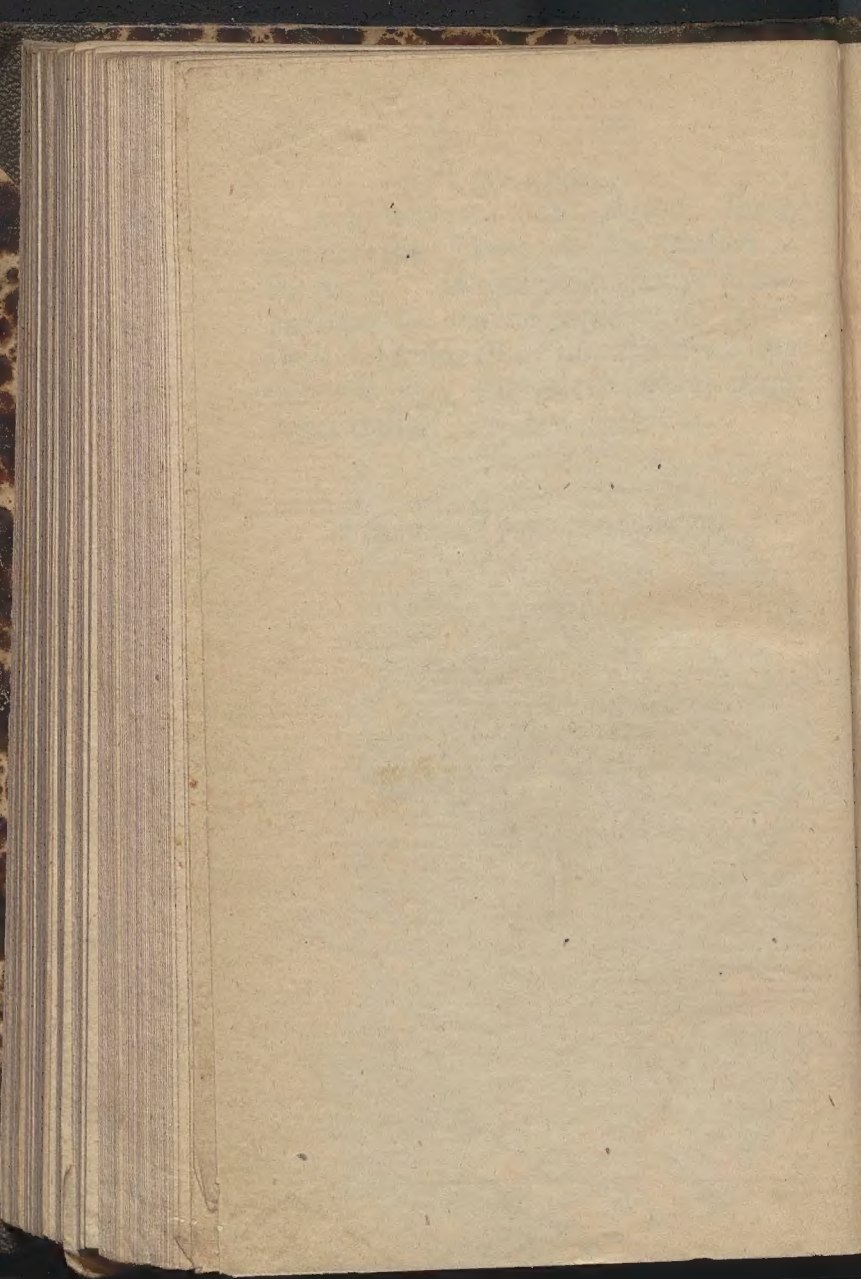
I onę pomnoży.

BARON.

Zachowuycie moje dzieci senty-
menta tak czułe i prawdziwe, a
wierście, iż jeżeli w swej familii
znaleść nie można przyjaciół szcze-
rych i pewnych, nie podobna spo-
dziewać się, aby gdzieindziej poży-
skani byli.

Koniec Tomu pierwszego.





Biblioteka Jagiellońska



stdr0023583

